

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

STEELE Z KRÓLEWSKIEJ KONNEJ

Curwood James Oliver

ROZDZIAŁ I

SZEREGOWIEC FILIP STEELE

Filip Steele nie odrywał ołówka od papieru, jak gdyby sam fakt pisania listu, choć list ten nigdy nie miał dojść do rąk adresata, wystarczał do częściowego rozproszenia samotności.

Na zewnątrz szaleje wiatr. Spoza jeziora lecą tumany śniegu zmieszanego z deszczem, niby ładunki śrutu, a wszystkie dzikie demony tych dzikich krain zdają się szarpać i tarmosić wielkie nieciosane bale, z których zbudowana jest moja chata. Prawdę mówiąc, jest to okropna noc, gdy się ją spędza samotnie, mając wkoło rozetkaną pustkę, a nad głową niebo, przesycone straszliwymi dźwiękami. Nawet poprzez grubą zaporę ścian słyszę, jak fala ryczy między skalami i wali — niby tysiącem taranów — pniami niesionych prądem drzew niemal w moje drzwi. Mimo woli budzi się przykry dreszcz. Śród zawodzeń burzy wysokie sosny nad dachem jęczą i skarżą się rozpaczliwie, podczas gdy wichry targa ich powykręcane konary.

Jutro rozścieli się tu śnieżna pustynia. Śnieg zalegnie po Zatokę Hudsona i dalej po biegun, a kędy dziś hula wichry, niosąc grad i deszcz — zapanują niepodzielnie cisza i spokój, co wychowały ród milczących ludzi północy. Tej nocy jednak jest to słabą pociechą. Wczoraj złapałem w mące małą myszkę i zabiłem ją. Żałuję obecnie tego postępu, gdyż, bez wątpienia, hałas i łomot, jakie teraz panują, wygnałyby ją z norki i dotrzyzymałyby mi towarzystwa!

Zresztą, nie byłoby znów tak źle, gdyby nie ta czaszka! W ciągu ostatniej półgodziny wstawiałem trzykrotnie, by zdjąć ją z półki, zawieszanej ponad prymitywnym piecykiem, w którym płoną smolne szczapy. Ale za każdym razem coś kazało mi się cofnąć. Jest to ludzka czaszka! Niedawno jeszcze należała do żywego człowieka, obdarzonego mową, wzrokiem, mózgiem — i to właśnie działa na mnie w przykry sposób. Stara czaszka nie wywierałaby podobnego wrażenia. Ale ta jest świeża! Chwilami, gdy żywiczne polana zapłoną czerwiejszym ogniem, zdaje mi się, że w pustych oczodołach błyszczą oczy; i zdaje mi się również, że pod pozbawionym mózgu czołem musiały pozostać resztki dawnych namiętności, a oblęd tej nocy zbudził je na nowo. Ze sto razy już żałowałem, że przechowuję ten głupi przedmiot, jednak nigdy tak, jak dziś!

Jakże ten huragan wyje, a sosna nad dachem skrzypi! Przez komin wleciał kłęb śniegu i na plecach uczułem dreszcz, jak gdybym zobaczył diabła; dym snuje się wokół pieca i raz po raz zasłania czaszkę. Nie ma sensu kłaść się do łóżka i próbować usnąć, gdyż z góry wiem, jakie by były moje sny. Tej nocy ujrzałbym czaszkę i — twarz. Kobięcą twarz!

Steele przestał pisać, śmiejąc się nerwowo zerwał się z krzesła i z okrzykiem, co wśród tumultu burzy zabrzmiał niby przekleństwo, zmiął w dłoni papier i cisnął go między płonące głownie.

— Co za głupstwo! — zawołał, zgodnie ze starym przyzwyczajeniem sam ze sobą wszczynając rozmowę. — Co za głupstwo, Filipie Steele! Stajesz się nerwowy, sentymentalny, zaczynasz prawie tęsknić do swoich! Brr!... Co za fatalna noc!

Zwrócił się ponownie w stronę ognia, podczas gdy nowy kłęb śniegu wpadł przez komin.

— Lepiej było poprzestać na samej lampie! — mruknął, nabijając fajkę tytoniem. — Myślałem, że tak będzie raźniej! A to dmie!... Ani się zająknie!

Zaczął się przechadzać wszerek i wzdłuż po nierównej podłodze, ułożonej z ledwo ociosanych bali, trzymając ręce w kieszeniach i zapalczywie ćmiąc fajkę. Zazwyczaj przyjemnie było spoglądać w twarz Filipa Steele, lecz tej nocy nie malowała się na niej zwykła pogoda ducha. Było to oblicze szczupłe, o wydatnych szczękach i jasnych, stalowosiwych oczach, w których obecnie gorzał dziwny

błysk, gdy patrzył na białą czaszkę. Zawrócił potem w stronę prymitywnego stołu. Oświetlał go skrawek bawełnianej materii, pływający w miseczce pełnej tłuszczu karibu. W słabym blasku tej improwizowanej lampy widniały dwa otwarte i zmięte listy; właśnie wczoraj przyniósł je Indianin z Nelson House. Jeden list był bardzo krótki. Zawierał oficjalny rozkaz odnalezienia niejakiego Bucky Nome'a, w forcie Lac Bain, o sto mil dalej na północ.

Filip wziął do ręki drugi list, przyglądając mu się po raz kolejny od chwili otrzymania. Składał się on z pół tuzina kart, wypełnionych kobiecym pismem, i Steele wchłonął znów delikatną, słodką woń hiacyntów.

Właśnie ów zapach działał nań niepokojąco; rozstrajał go od wczoraj, a tej nocy zbudził w nim tęsknotę za domem. Przypomniawszy mu dni, nie tak dawne, gdy on sam należał do świata, z którego ten list pochodził, i gdy życie zdało się dlań chować wszystkie możliwe ponęty. Błyskawicznie przemknęła mu przed oczyma wizja owych czasów, kiedy, on, Filip Steele, syn wielomilionowego bankiera, był jednym z wybrańców losu. Podwoje arystokratycznych klubów stały dlań otworem; piękne kobiety słały mu uśmiechy, a dziewczyna o hiacyntowych perfumach mamiła go błędnym ognikiem swego serca. Jej serce! Zapewne była go pozbawiona całkowicie, a wchodziło w grę jedynie jego bogactwo. Steele roześmiał się pogardliwie, pokazując białe, mocne zęby.

Usiadł, wciąż jeszcze z listem w dłoni, i myślał o innych ludziach, których dawniej znał. Co się stało z Jackiem Moodym, poczciwym Jackiem, kolegą szkolnym, który kochał tę samą dziewczynę całą siłą szczerego, uczciwego serca, lecz na którego ona nie zwracała najmniejszej uwagi, bo był biedny. I gdzie się podział Whittemore, młody makler giełdowy, którego szanse znikły wraz z jego ruiną finansową; Fordey, co darowałby jej z chęcią dziesięć lat własnego życia oraz z pół tuzina innych.

Jej serce! Steele roześmiał się cicho, unosząc jednocześnie list tak, by jego słodka woń stała się silniejszą. Jakże nęciła go ongiś! Ot, choćby tej nocy, na balu u Hawkinsa, zwyciężyła niemal! Przymknął powieki i podczas gdy smolne szczapy trzaskały w palenisku, a wicher wył wokół chaty, ujrzał ją ponownie taką jak wówczas — wspaniale piękną. Wspomnienie czaru jej głosu, oczu, włosów rozpałiło mu krew jak dobre wino. I ta bogini mogła się stać jego własnością; nawet dziś, byle zechciał, mógł ją brać. Wystarczy napisać parę strofek... Rzucić jedno słowo!...

Steele wyprostował się raptem. Zmiał karty papieru i cisnął je w ogień — z wyjątkiem jednej. Ostatni arkusz, ten, na którym widniał jej podpis, zatrzymał w dłoni, przyglądając mu się chwilę, jak gdyby szukał w literach imienia odpowiedzi na jakiś problem. Wreszcie odłożył go na bok. Oszłamiająca słodycz hiacyntu pozostała jeszcze w powietrzu. Gdy ostatecznie znikła, Steele badawczo wciągnął nozdrzami powietrze; wstał z uśmiechem przypominającym dawną beztroskę, schował końcową kartę listu do plecaka i zaczął napełniać fajkę.

Filip Steele niejednokrotnie już myślał o tym, że stanowczo urodził się o sto lub dwieście lat za późno. W swoim czasie podzielił się tym przekonaniem z paroma kolegami, lecz wyśmiali go. Pewnego wieczoru zwierzył się częściowo pannie o hiacyntowych perfumach — po czym nazwała go dziwakiem. W głębi duszy wiedział dobrze, że różni się znacznie od reszty współczesnych, że w jego krwi pulsują tętna zapomnianych pokoleń, gdy dzielność serca i siła ramion znaczyły dla mężczyzny więcej niż pieniądze i stosunki, a romantyzm i przygody istniały jeszcze.

Z gimnazjum Filip przeszedł na politechnikę, która, jak mu się zdawało, otwiera przed ludźmi szersze horyzonty; a gdy skończył studia, ściągnął na siebie gniew rodziny, biorąc udział w całorocznej wyprawie do Ameryki Środkowej. Ta wyprawa właśnie zadecydowała o jego dalszych losach. Wrócił z niej jako odważny i dzielny chłop: śniady niby Aztek, nienawidzący miast i wielkomięjskich rozrywek, a tak dalece obojętny względem milionów swego ojca, jak gdyby one w

ogóle nie istniały. Posiadał zresztą własny fundusz, lecz nie wydawał nawet procentów, które tylko powiększały kapitał. Odbył nową wyprawę, tym razem do Brazylii i wrócił, by spotkać dziewczynę o hiacyntowych perfumach. Potem zerwał więzy, krępujące wciąż Jacka Moody'ego, Fordeya i Whittemore'a i ruszył w świat w poszukiwaniu dalszych przygód.

Północ wabiła go najmocniej. Wśród bezkresnych pustyń, śnieżnych kniei i martwych prerii, zalegających między Zatoką Hudsona a dziką krainą Athabaska, znalazł nowych ludzi, znalazł tajemniczość i romantyzm, co go uniosły ku zamierzchłym czasom i zamierzchłym istnieniom. Pewnego dnia, w Regina, szczupły, atletycznie zbudowany młody człowiek zaciągnął się do Północno-Zachodniej Królewskiej Konnej Policji. W ciągu pierwszego półrocza wyróżnił się kilkakrotnie, po czym został odkomenderowany na daleką północ, gdzie polowanie na ludzi jest wspaniałą grą jednego przeciw jednemu wobec wrogiej lub obojętnej przyrody. I nie śniło się nikomu, nawet pannie o hiacyntowych perfumach, że człowiek, zapisany urzędowo jako szeregowiec Filip Steele jest Filipem Steele, synem milionera z Chicago.

Steele'a bawił szczerze komizm tej sytuacji. Kładąc do pieca nowe polano, roześmiał się wesoło, myśląc, co by też powiedzieli jego wytworni koledzy, a szczególnie piękna panna, zobaczywszy go teraz w tym otoczeniu. Chichocząc wziął do ręki grube, wełniane skarpetki, suszące się tuż przy ogniu; koszlawe buty, pokryte warstwą jeleniego sadła, lśniły w blasku płomieni, zaś jedyna zmiana bielizny, którą wyprał przed kolacją i uczepił u sufitu, w półmroku chaty robiła wrażenie niezmiernie chudego i pozbawionego głowy wisielca. Wśród gęstych cieni tylko jedna rzecz jaśniała niepokalaną bielą: martwa kość czaszki ponad piecem. Gdy Steele patrzył na nią, twarz mu zszarzała, a wargi zacisnęły się mocno. Nagłym ruchem wyciągnął ramiągo., wziął czaszkę do ręki i chwilę trzymał tak, by skoncentrować na niej cały blask ognia. Z lewej strony, nad uchem, na jednej linii z pustym oczodołem, widniała dziura wielkości wróblego jajka.

— Zatem, zgodnie z rozkazem, mam się udać do Bucky Nome'a, do człowieka, który to zrobił! — mruknął macając palcem wyżębione krawędzie otworu. — Mógłbym go zabić za to, co zaszło w Nelson House, panie Jeanette, i może uczynię to pewnego dnia!

Przyglądał się czaszce, trzymając ją na dłoni, na poziomie własnej twarzy.

— Doskonały ze mnie materiał na Hamleta! — rozważał drwiąco. — Coś mi się zdaje, panie Jeanette, że cisnę cię w ogień! Zanadto mi grasz na nerwach!

Urwał raptem i złożył czaszkę na stole.

— Nie! Nie spalę ciebie! — kończył. — Włóczyłem się z tobą taki szmat drogi, więc zabiorę cię i do Lac Bain. Pewnego ranka ofiaruję cię panu Bucky Nome'owi na śniadanie. A wtedy zobaczymy, co zobaczymy...

Nieco później nakreślił parę słów na kawałku papieru i przypiął kartkę do wewnętrznej strony drzwi. Przypuszczalny przechodzień miał znaleźć następujące wyjaśnienie i przestrożę:

Uwaga!

Ta chata oraz jej zawartość należą do mnie! Jedz i spocznij, ale nie napęlniaj kieszeni!

Steele z Królewskiej Konnej.

ROZDZIAŁ II

NOCNA PRZYGODA

Steele dotarł do faktorii w Lac Bain, należącej do Kompanii Zatoki Hudsona, na siódmy dzień po ustaniu wielkiej zawieruchy. Podczas gdy grzał się przed piecem w pustym i pozbawionym towarów sklepie, agent Breedy dzielił się z nim ważnymi nowinami.

Niejaki pułkownik Becker z żoną opuścił fort Churchilla nad Zatoką Hudsona, udając się do Lac Bain. Poza tym Bucky Nome przed tygodniem wyruszył na zachód i jeszcze nie wrócił. Breedy był strapiony nie z racji długiej nieobecności Bucky Nome'a, lecz ze względu na oczekiwany przyjazd tamtych dwojga. Zgodnie z listem, pisany przez agenta z fortu Churchilla, pułkownik, zajmujący wysokie stanowisko w zarządzie kompanii, przybył wraz z żoną z Londynu ostatnim statkiem, dowożącym żywność. Pan Becker był człowiekiem starszym. Faktycznie, nie miał nic do roboty w Lac Bain. Chciał tylko spędzić wakacje na zaznajamianiu się z życiem północnej głuszy. Twarz Breedy'ego, pokryta szpakowatym zarostem, wyrażała niemal rozpacz.

— Dlaczego nie jadać do faktorii Jork albo do Nelson House? — pytał Steele'a. — W Nelson mają pierzyny, trzy niewiasty i agenta światowca, a tu nie znajdziesz nawet jednej białogłowy!

Steele wzruszył ramionami.

— Kobiety są teraz tylko dwie! — ozwał się. — Odkąd przeszedł tamtędy niejaki Bucky Nome, trzecia pojechała na południe!

— No dobrze, ale dwie są! — upierał się Breed, nie dostrzegłszy dziwnego błysku w oczach Filipa. — A ja ci mówię, Fil, że tu nie ma żadnej, nawet Indianki i ten brudas Cree, Jack, pitrasi jedzenie. Czy wiesz, że przed dwoma dniami złapałem go, jak miesił ciasto na suchary — w miednicy! A ja te suchary jadłem od dnia, gdy nasi myśliwi ruszyli na linie sideł! Więc ty, Nome, dwaj Cree, jeden Metys i ja — oto cała ludność Lac Bain aż do połowy zimy, nim zaczną znosić futra. Na rany boskie, cóż tu pocznie biedna, stara pułkownikowa?

— Masz dla niej łóżko?

— Tapczan twardy jak skała!

— Masz dużo żywności?

— A jakże! — warknął agent. — Każdy traper porobił ogromne zapasy w tym sezonie i zostaliśmy na sucho. Fasola, mąka, cukier, suszone śliwki, no i mięso karibu. Mówię ci, ile razy je powącham, tylekroć mam wrażenie, że mi się żołądek przewraca! Dałbym miesięczną pensję za funt wieprzowiny! Ale, wracając do tamtej sprawy, spójrz no, Fil! Jeśli to nie jest elegancki list, dam się porąbać na sztuki! Zupełnie jakby pułkownikowa pisała do swojej sympatii!

Breedy wyjął najpierw z kieszeni kopertę ze złamaną lakową pieczęcią, a z koperty dobył złożony we dwoje arkusz kremowego papieru. Zaledwie Steele wziął list do ręki, przebiegł go wnet nagły dreszcz. Nim odczytał pierwszą strofkę, wyczuł już w powietrzu ów słodki i upajający zapach — woń hiacyntów. Nie tylko zresztą perfumy były identyczne; nawet odcień welinu i delikatny charakter pisma przypominały mu list spalony przed tygodniem. Nie zdołał powstrzymać okrzyku zdziwienia. Podnosząc oczy, spotkał zdumiony wzrok agenta.

— To, doprawdy, dziwny zbieg okoliczności — rzekł, z wolna odzyskując równowagę. — Przysiągłbym niemal, że pisze osoba, którą doskonale znam! Oczywiście, podobna rzecz jest wykluczona! Ale rozumiesz, Breed, że trochę mnie to zaskoczyło. Czy możesz mi zostawić ten list do wieczora? Chciałbym go porównać z innym!

— Możesz go w ogóle zatrzymać! — machnął ręką agent. — Mam nadzieję, że na ten temat opowiesz mi coś ciekawego przy kolacji. I doprawdy, byłbym okrutnie rad, gdyby się okazało, że znałeś już dawniej naszych gości.

W dziesięć minut później Steele znalazł się w małej chatce, będącej mieszkaniem jego i Bucky Nome'a na czas postojów w Lac Bain. Jack, Indianin z plemienia Cree, rozpałił szczodry ogień w pękatym żelaznym piecyku, toteż zaledwie Filip otworzył drzwiczki, fala jaskrawych blasków lunęła w mroczną szarość wczesnego zmierzchu. Przysunąwszy fotel w pobliże ognia, Steele ponownie wyjął list. Badał charakter pisma — litera po literze i słowo po słowie. Był silnie podniecony, jakkolwiek z innych względów niż poprzednio. Im głębiej wnikał w treść wyrazów, tym pewniej rozumiał, że nie ma mowy, by oba listy-pisała jedna i ta sama kobieta.

Pułkownik Becker przybył z żoną do Churchill przed miesiącem — statkiem, płynącym wprost z Londynu; Steele pamiętał doskonale, że list, który odebrał przed tygodniem wysłano o pięć tygodni wcześniej. W owym czasie państwo Becker bądź przebywali w Londynie, bądź w Liverpoolu albo też płynęli właśnie przez Atlantyck.

Filip wygodniej zasiadł w fotelu, przymknął oczy i poddał się ciepłej pieszczocie ognia. Stare widma otoczyły go ponownie. Instynktownie usiłował się ich pozbyć, walcząc z urokiem pięknej panny, jak walczył już parokrotnie od dnia otrzymania jej listu. Lecz zarówno wtedy, jak i dziś, wszelki wysiłek szedł na marne. Widział ją wyraźnie z uśmiechem w głębi źrenic i na pąsowych wargach, w koronie złotych włosów. Taką była właśnie na pamiętnym balu.

Z trudem otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Pochylił się, chcąc zamknąć drzwiczki pieca i zastygł raptem w tej postawie zgarbiony, z wyciągniętą ręką. Na jego kolanie, lśniąc bogato niby złota nić, leżał długi, kobiecy włos.

Steele wstał z wolna, trzymając włos w świetle. Palce mu drżały; oddychał z wysiłkiem. Oczywiście złota nić wymknęła się z koperty, lecz on byłby przysiągł, że pochodzi ze splotów — tamtej!

Z domu agenta doleciał głęboki głos rogu, wzywający go na kolację. Steele starannie zwinął złotą nić na palcu i umieścił ją pośród papierów i listów, noszonych w skórzanym portfelu na piersi. Wchodząc do izby, w której oczekiwał Breedy'ego, wiedział, że twarz płonie mu silnym rumieńcem. Od dnia balu u Hawkinsa, gdy w jego dłoni drżała drobna rączka, gdy czuł na twarzy ciepły oddech, a na ustach drażniącą pieszczotę włosów — nie doznał na myśl o kobiecie podobnego wzruszenia. Toteż rad był, że agent zbyt jest pochłonięty własnymi troskami, by zauważyć zmianę w jego rysach.

— Mówię ci, Steele, że ta sprawa grozi mi dymisją! — wywodził Breedy ponuro. — Lac Bain stało się obecnie jedną z najmniej ruchliwych i najbardziej podupadłych faktorii od Athabaski po Zatokę Hudsona. Mieliśmy raz po raz dwa kiepskie sezony i wszystko idzie na opak. Pułkownik Becker jest jednym z macherów Kompanii. Jestem niemal pewny, że postanowi, iż należy tu dać kogoś młodszego!

— Co za brednie! — wykrzyknął Steele. Lecz spojrzawszy bacznie na strapioną twarz agenta, dodał: — Zresztą, wiesz co, może bym pojechał na spotkanie tego ekscelencji? To będzie coś niby powitalny komitet w jednej osobie. Po drodze dam mu chytrze do zrozumienia, jak tu rzeczy stoją i że sprzysięgły się przeciw tobie różne nieprzewidziane okoliczności!

Breedy rozpromienił się momentalnie.

— Doprawdy, Fil, mógłbyś mnie uratować! Zrobisz to? — Ależ oczywiście! Z przyjemnością!

Pochylił się nad talerzem, by ukryć rumieniec, który, jak fala ognia, zalał mu twarz.

— Pewien jesteś, że to starsi ludzie? — spytał na pozór obojętnie.

— Tak przynajmniej pisał mi MacVeigh z Churchill. To jest podkreślił, że pułkownik jest w

starszym wieku!

— A jego żona?

— W każdym razie wariatka! — burknął Breedy, bez cienia szacunku. — Gdyby przyjechał sam pułkownik, byłoby pół biedy. Ale stara baba, brr... Taka, to już wejrzy w każdy szczegół i podjudzi męża przeciwko mnie! Ręczę ci za to!

Steele pomyślał o rodzonej matce, traktującej podwładnych męża z góry i niezyczliwie — i roześmiał się z przymusem.

— Tak czy owak — pocieszał — wyjdę im na spotkanie. Niech tylko Jack przygotuje mi nieco żywności. Ruszę wnet po śniadaniu.

Był rad, gdy kolacja skończyła się wreszcie i mógł zapalić fajkę, samotny w czterech ścianach własnej chaty. Niemal z uczuciem wstydu wyjął z kieszeni portfel i dobył zeń włos, lśniący złościście w blasku ognia.

— Masz bzika, Fil! — przemówił głośno. — Jesteś wariatem! Mój stary, co ciebie może obchodzić pani pułkownikowa Becker? Cóż stąd, że ma złote włosy, używa kremowego papieru oraz hiacyntowych perfum! Dajże pokój głupstwom!

Rozluźnił palce. Włos opadł ku ziemi, a pochwycony przeciągiem, znikł w jakimś mrocznym kącie.

Steele położył się dopiero o północy. Wstał wraz z pierwszym, siwym brzaskiem. Potem cały dzień szedł uparcie prosto na wschód, po udeptanym szlaku, wiodącym do faktorii ku Zatoce Hudsona. Na dwie godziny przed zmierzchem zdjął rakiety śnieżne, rozbił lekki namiot, zgromadził jodłowe łąpki na posłanie i tuż przed wejściem do swego schronu rozniecił ogromny ogień, którego tło stanowiła potężna skała. Noc jeszcze nie zapadła, gdy położył się już, okutany w derę, wyciągając nogi w stronę refleksów ciepłych, bijących z gładkiej opoki.

Miał wrażenie, że wokół jest nienaturalnie cicho. Poza świetlnym kręgiem gęstniał mrok, miarowo zacieśniając pole widzenia. Ponura samotność zasiadła u wezglowia Filipa. Był to gość dotychczas nieznan, więc Steele wzdrygnął się — pełen wstrętu i, uniesiony na łokciu, spojrzął w płomień.

Otaczało go przecież to samo milczenie, ta sama martwota tajemniczych pustkowi, które zwabiły go na północ. Do niedawna kochał je prawie. Lecz dziś smucił go brak objawów życia, więc wyteżał oczy, chcąc sięgnąć wzrokiem poza skały i ogień, wyteżał słuch, łowiąc nie istniejące dźwięki. Rozumiał doskonale, że tęskni do czyjejś obecności. Wiedział również, że nie chodzi tu bynajmniej o towarzystwo agenta lub któregoś z kolegów — łapaczy ludzi. Pragnął widoku kobiet i mężczyzn, znanych dawniej, a stanowiących część jego świata. Trwając z zaciśniętymi rękoma i skupionym wyrazem żrenic, czuł, że przede wszystkim tęskni do niej. Jej oczy, jej usta, jej słoneczne włosy towarzyszyły mu po tylomiesięcznym niewidzeniu. Kusząca twarz uśmiechała się powabnie, wyglądając spośród płomieni; nęciła go, przyzywała z powrotem. Może ustąpi?

Zwarł dłonie tak mocno, aż paznokcie weszły w ciało, i zaklął szpetnie. W tym odruchu więcej było rozpaczy niż gniewu. Wreszcie znużenie raczej aniżeli chęć snu przymknęło mu powieki i leżąc na wznak — zdrzemnął się. Jednocześnie kobieca twarz spłynęła bliżej, bliżutko, tuż, przemawiając ruchem warg i grą oczu. Usłyszał ponownie dźwięczny, dziewczęcy śmiech, który go tak czarował. Brzęczał odległy szum i gwar innych głosów, oraz zupełnie wyraźny głos młodego Chesbro. Na pamiętnym balu jego niespodziewane nadejście w samą porę otrzeźwiło Steele'a i pozwoliło mu opanować wzburzone nerwy.

Filip poruszył się niespokojnie, a po chwili, uniesiony na łokciu, spojrzął w ogień. Zdawało mu się, że Chesbro przemawia nadal i raptem zadygotał cały, gdyż wyraźnie usłyszał śmiech kobiecy.

Pełen zdumienia siadł na posłaniu, jak gdyby podrzucony sprężyną, i wytrzeszczył oczy. Sen czy jawa?

Ognisko płonęło jaskrawo i to jedno już świadczyło niezbicie, że drzemał zaledwie krótką chwilę.

Ruch w mroku, skrzyp kroków na śniegu i w obręb światła wstąpiła jakaś postać.

Była to kobieta!

Steele zdławił krzyk rwący mu się na wargi i siedział bez ruchu, niby skamieniały. Postać dała jeszcze jeden krok, zaglądając jednocześnie w ciemne wnętrze namiotu. Filip dostrzegł błysk płomienia na kosztownym futrze, biel ręki i przez mgnienie rozróżnił twarz. Zesztywniał jeszcze bardziej. Uśmiechnęły się do niego wesołe oczy i śnieżne zęby, zadźwięczał radosny śmiech, po czym twarz znikła. Lecz on gapił się wciąż jeszcze, jak gdyby usiłując wywołać ją na nowo.

Wreszcie oprzytomniał. Kaszlnął, chcąc uprzedzić, że nie śpi, odrzucił derę i wyszedł z namiotu. Obok ogniska, po prawej jego stronie, stali mężczyzna i kobieta, pochyleni, grzejąc ręce. Na odgłos kroków wyprostowali się oboje.

— Doprawdy, niezmiernie mi przykro, panie Steele! — zawołał mężczyzna, spieszenie dążąc na spotkanie Filipa. — Zbudziliśmy pana niechcący! Mieliśmy właśnie rozbić obóz na jednym ze wzgórz, ale, widząc ogień, podeszliśmy bliżej. Przepraszam najmocniej!

— Ależ za żadne skarby świata nie chciałbym się z państwem rozminąć! — zaprotestował Steele, ujmując wyciągniętą rękę. — Idę z Lac Bain na spotkanie pułkownika Beckera i...

Urwał rozmyślnie, a białe zęby błysnęły mu w wesołym uśmiechu, którego nieznierna szczerłość niewoliła ludzkie serca.

— Właśnie pan ich spotkał! — uzupełnił wesoły głos. — Czy daruje mi pan, panie Steele, że zajrzałam do namiotu i zbudziłam strudzonego wędrowca? Ale pana nogi wystawały na zewnątrz i były takie śmieszne! Zapewniam zresztą, że nie widziałam nic ponadto, chociaż okropnie wytrzeszczałam oczy. Za to od razu spostrzegłam pana imię i nazwisko, wypisane na ścianie namiotu!

Steele poczuł, że rumieni się gwałtownie pod naporem ślicznych źrenic, spoglądających nań spoza ramion pułkownika. Kobieta uśmiechała się przyjaźnie. Wobec ciepła, bijącego z ogniska, odrzuciła do tyłu futrzany kaptur i Filip stwierdził, że jej włosy mają odcień czerwonego złota, zaś oczy, usta i twarz są niemal odbiciem tych, o których śnił przed chwilą. Szczerze mówiąc, był prawie pewien, iż spotka młodą i ładną istotę, jednak wyjątkowy urok dziewczęcych rysów przyprawił go o zawrót głowy. Nie mógł oderwać oczu od wiośnianej postaci. Oprzytomniał raptem, zdając sobie jednocześnie sprawę z niewłaściwości podobnego zachowania.

— Spałam mocno i — śniłem — wybełkotał, a wraz z mową wróciły mu również pewność siebie i obycie towarzyskie, toteż ciągnął dalej głosem zupełnie naturalnym. — Śniłem o pewnej kobiecej twarzy i oczywiście zaskoczyło mnie przybycie państwa! Ponadto osoba, o której mówię znajduje się o tysiące mil stąd, lecz jest tak niezwykle podobna do pani, pułkownikowo!

Spojrzał na pana Beckera. Pułkownik śmiał się, szczerze ubawiony. Był małego wzrostu, prosty niby lufa fuzji, blady, z wyjątkiem nosa, czerwonego od mrozu. Miał klinowatą bródkę, równie srebrną, jak śnieg pod stopami. Twarz, widoczna pomiędzy szerokim kołnierzem futra i bobrową czapką, promieniała radością.

— Doprawdy, mocno się cieszę, Steele, że ci humor służy! — zawołał, z punktu obierając koleżeński ton. — Muszę jednak zaznaczyć, że gdyby nie Iza, nikt by panu snu nie przerwał! Ale uparła się, że musi zobaczyć kto i co — jak to kobieta! No, kochanie, jesteś teraz zadowolona?

— W każdym razie nie przypuszczałam, że ktoś będzie spał o tak wczesnej porze! — odparła pani Becker.

Buchnęła śmiechem wprost w twarz Filipa, a wydęcie jej purpurowych warg było tak zalotnie kuszące, tak przekorny był blask oczu, aż Steele uczył, jak krew uderza mu do głowy.

— Istotnie, dopiero szósta! — rzekł, spoglądając na zegarek. — Zazwyczaj czuвам o wiele dłużej. Ale tym razem byłem nieco zmęczony, choć już najzupełniej wypocząłem! — dodał szybko w obawie, że jego słowa mogą być źle zrozumiane. — Siedziałbym chętnie i gawędził do rana! Tu się tak rzadko spotyka ludzi stamtąd! A gdzie poganiacze?

— Zostali tam! — odparł pułkownik, wskazując dłonią mroczną dal. — Iza kazała im spocząć, podczas gdy my szliśmy na zwiady. Jest dwóch Indian, dwoje sań i stosy wszelkich gratów!

— Można by ich tu przywołać! — radził Filip. — Namiot państwa zmieści się świetnie obok mego, na wprost tej skały. Grzeje jak prawdziwy piec!

Pułkownik uczynił kilkadziesiąt kroków, wracając po własnych śladach, i huknął na poganiaczy. Filip odwrócił się i spojrzał na panią Becker. Wlepiała weń oczy, wyzbyte już roześmianych iskier. Była jakby trochę nieśmiała i niepewna. Przez chwilę miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć, lecz raptem pochyliła się, ujęła krótki patyk i zaczęła nim grzebać w ognisku.

— Pani jest zapewne mocno zmęczona — rzekł Steele. — Ponieważ tu tak ciepło, radziłbym zrzucić to ciężkie okrycie. Będzie o wiele wygodniej. Zaraz rozścielę derkę, by pani mogła spocząć.

Wszedł do namiotu i wrócił po chwili, niosąc gruby koc. Rozpostarł go starannie u stóp wielkiej sosny, o pół tuzina kroków od ogniska. Tymczasem pani Becker, zrzuciwszy już okrycie, stała przed nim szczupła i dziewczęco giętka. Uśmiechała się czarująco w podziękowaniu za troskliwość i usiadła w wygodnym gniazdku, które dla niej wymościł. Przez chwilę pochylił się nad nią, otulając kolana i stopy futrzaną derą. Z gęstwy włosów uderzył mu w twarz słodki zapach, niby kwietnej grzędy, aż zadygotał cały i zacisnął szczęki.

Gdy wyprostował się, pułkownik stał opodal, uśmiechając się domyślnie. Z wyrazu oczu, przebiegających bezustannie z twarzy Izy na jego własną twarz, Steele wywnioskował, że musiał się czymś zdradzić. Toteż był ogromnie rad słysząc, że Indianie już nadchodzą. Śpiesznie ruszył ku nim, a pomagając wyładowywać sanie oraz wiązać psy klął w myśli szaleńczy żar krwi i niepokojące wizje mózgu. Wracając do ogniska, omal nie zaklął na cały głos. Już z daleka dostrzegł, że pułkownik siedzi pod sosną, wsparty plecami o pień, a Iza tuli się do niego i z głową na ramieniu męża szepcze mu coś z uśmiechem, niemal usta w usta.

Przystanął na moment niepewny, czy wolno mu przerwać czułą scenę, i właśnie w tej chwili zobaczył, jak młoda kobieta nagina ku sobie starczą twarz, całując ją serdecznie. Widząc szczerą radość tych dwojga, Steele zrozumiał raptem, że odtąd wizerunek zalotnej panny z dalekiego miasta zmierzchnie w jego wyobraźni, natomiast do końca życia wryje mu się w pamięć ten wdzięczny obrazek, uosobienie miłości takiej, jakiej zawsze pragnął, o jakiej zawsze marzył i którą znalazł wreszcie, niestety — nie dla siebie!

Ruszył znów naprzód, rozmyślnie głośno miażdżąc butami śnieg, a na chrzęst ciężkich stąpień Iza podniosła nań oczy dziecinnie czyste. Pułkownik spojrzał również, z dobrym uśmiechem w głębi źrenic. Steele uczył nagle, jak mu serce zalewa ogromna radość. Opadł nalot samotności i tęsknoty, gniojący go do niedawna. Gdy zaś po długiej pogawędce przy ognisku Iza spytała sennie, czy wolno jej spocząć, roześmiał się wesoło, patrząc, jak serdecznie tuli różany policzek do pergaminowej twarzy pułkownika, podczas gdy mąż, niosąc niemal, prowadzi ją do namiotu.

Filip otulił się kocem i leżał długi czas, roztrząsając dziwaczny splot dzisiejszych wydarzeń. Z wolna myśli zmaćił sen, więc, półprzytomny, marzył o złotych włosach kobiety siedzącej na śniegu, pod sosną. Zdawało mu się, że jest to ta sama dziewczyna, która pociągała go tak silnie na balu u Hawkinsa, jednak prócz zewnętrznego piękna, zdobyła teraz piękno serca i duszy. Poznał, że stęsknił

się za nią niezmiernie. Śnił całą noc, że tuli ją w ramionach. Lecz, gdy zbudził się rankiem, wiedział już, że to tylko mrzonki, tylko złudy, że jego słoneczna dziewczyna jest żoną pułkownika Beckera.

ROZDZIAŁ III

CZASZKA I FLIRT

Do Lac Bain przybyli dopiero nad wieczorem i Steele, w krótkich słowach przedstawivszy agenta pułkownikowi oraz jego żonie, śpiesznie podążył do swojej chaty. W progu natknął się na Bucky Nome'a. Obaj mężczyźni widzieli się po raz ostatni przed miesiącem, w Nelson House, lecz Steele witał kolegę raczej chłodno, bez cienia serdeczności.

— Idę im złożyć swe uszanowanie! — wyjaśniał Nome, przystając na chwilę. — Psia służba, Steele! Jakże ci się podoba to niańczenie zmarzniętej żony starego pułkownika, czy też zmarłego pułkownika starej żony?

Steele jakby zeszywniał, słuchając idiotycznej gawędy. Raptem odwrócił się i syknął w ślad za odchodzącym:

— Przypomnij sobie, jakieś łągał w Nelson, byle otrzymać podobną funkcję! A czy pamiętasz jeszcze, co z tego wynikło?

— A tobie zazdrość? — odparował Nome, chichocząc szyderczo. — Na wojnie i w miłości, mój drogi, dozwolone są wszelkie fortele! Tam zaś była miłość, krótkotrwała, nie przeczę, ale jednak miłość! He, he...

Steele zacisnął wargi i, wchodząc do chaty, zatrzasnął za sobą drzwi. Nie po raz pierwszy Bucky Nome chichotał lubieżnie na wzmiankę o tamtej kobiecie. Ta podłość właśnie wzbudziła w sercu Filipa nienawiść do kolegi. Fizycznie bowiem Nome był wspaniałym okazem i bezsprzecznie najprzystojniejszym mężczyzną w policji na północ od Winnipeg. Toteż, podczas gdy towarzysze pogardzali nim z powodu wielu brudnych sprawek, kobiety łąnęły doń impulsywnie, zanim, zbyt późno zazwyczaj, nie poznały całej głębi jego zepsucia.

Właśnie na tym tle rozegrała się niedawno ponura tragedia w Nelson House, na wspomnienie której Filip miał ochotę zdusić własnymi rękoma pięknego uwodziciela. Ciekaw jestem, co będzie teraz? — myślał. Wzdrygnął się, niby pod strumieniem zimnej wody, lecz natychmiast buchnął wesołym śmiechem, uprzytomniając sobie dziecięcą czystość wejrzenia młodziutkiej pułkownikowej.

Śmiał się nadal, wyciągając spod tapczana swój plecak, lecz wesołość w nim wygasła. Z plecaka wydobył pakunek, owinięty w miękką brzożową korę, po odrzuceniu której została mu w dłoni trupia czaszka. Był to czerep samobójcy, przywieziony z południa. Steele zachichotał wymuszenie, obrzucając wzrokiem mroczne wnętrze chaty. U belkowania sufitu dyndała wielka, olejna lampa, opatrzona w blaszany reflektor. Po chwili namysłu Filip uwiesił czaszkę tuż pod nią.

— Przyozdabiasz całą izbę, panie Jeanette! — zawołał, nie spuszczać oczu z białej kuli, rozchwianej lekko u końca rzemienia. — Klnę się na Boga, że Bucky Nome cię pozna, choć żyję tu przestałeś!

Zapaliwszy mały kaganek ogolił się starannie i zmienił ubranie. Nim skończył toaletę, zapadła absolutna ciemność, lecz Nome nie wracał. Steele wyczekał jeszcze kwadrans, po czym włożył futro i czapkę, zgasił kaganek, zapalił lampę z reflektorem i ruszył ku drzwiom. W progu przystanął i obejrzał się. Spotkał martwe wejrzenie trupich oczodołów. Na białej kości, nad uchem, czerniał wyraźnie krągły, szarpany otwór.

— Dziś ty prowadzisz, grę, panie Jeanette! — powiedział Steele półgłosem i wychodząc, zatrzasnął za sobą drzwi.

Całe towarzystwo było zebrane w bawialni agenta, przed kominkiem, w którym płonęły

olbrzymie smolne szczapy. Filip od razu zrozumiał, dlaczego Bucky Nome nie wrócił do chaty. Breedy i pułkownik ćmili cygara, zgarbieni nad zniszczoną rachunkową księgą potężnych rozmiarów i najwidoczniej byli w zupełności pochłonięci robotą. Pani Becker patrzyła w ogień, a Nome siedział tuż obok, pochylony ku niej, mówiąc coś zdławionym szeptem. Słyszając kroki Filipa uniósł głowę i Steele dostrzegł w jego oczach wstrętny, lubieżny błysk.

Lecz dopiero gdy Iza, witając przybysza, zwróciła ku niemu twarz, Filip uczuł w sercu nagły chłód. Policzki młodej kobiety płonęły jaskrawym rumieńcem, źrenice lśniły nienaturalnym podnieceniem. Steele uklonił się, milcząc, i podszedł do mężczyzn sprawdzających rachunki. Pułkownik serdecznie uściśnął jego dłoń, lecz Filip zauważył natychmiast, że pan Becker spogląda raczej w kierunku pary siedzącej przed kominkiem. Spostrzegł również, że ilekroć dobiega ku nim stłumiony śmiech pięknej pani i jej zalotnika — pułkownik lekko marszczy brwi i mniej zważa na kolumny cyfr oraz na wywody agenta.

Gdy podano kolację, Filip zaklął w duchu widząc, jak Nome szarmanckim gestem ofiarowuje ramię pułkownikowej. Iza przyjęła je zresztą bez wahania, tylko rzuciła w stronę męża krótkie, rozbawione wejrzenie. Błada twarz starego pana ani drgnęła i Filip ścisnął pięści, raniąc niemal paznokciami dłoń. Przy stole Nome jeszcze wyraźniej niż dotąd emablował swą sąsiadkę. Raz, pod pretekstem przysunięcia półmiska, wyszeptał parę cichych słów do ucha młodej kobiety, aż zapłonęła niby róża. Spojrzała potem na męża i Steele wyczytał w oczach pułkownika wyraźne niezadowolenie. Atmosfera zaczynała nabierać przykrych cech. Steele przygryzał wargi, myśląc, że Nome chyba oszalał! Co zaś do niej...

Ich oczy właśnie się spotkały. Zmrużyła na chwilę powieki i lekko ściągnęła brwi. Zauważył, że rumieniec znika z jej' twarzy, ustępując miejsca bladości. Raptem wstała i oznajmiła dość głośno, nie spuszczać z niego oczu:

— Jestem bardzo zmęczona! Proszę mi wybaczyć, że odejdę...

Nome przyskoczył ku niej momentalnie, lecz ona odwróciła się od niego bez słowa i spojrzała na pułkownika, który wstał również.

— Odprowadź mnie do mego pokoju — rzekła niemal błagalnie. — Możesz potem wrócić.

Ukradkiem spojrzała na Filipa. Aż się zdziwił, tak była blada. Wyszła, wsparta na ramieniu męża. Wytężył słuch i usłyszał skrzyp, a potem trzask drzwi. Nome, który odprowadzał wychodzących, wracał właśnie. Już w progu wołał:

— Daję słowo, co za skończona piękność! Mówię ci, Steele...

Wyraz oczu kolegi powstrzymał raptem potok jego wymowy. Steele, z wypiekami na twarzy, uczynił parę kroków naprzód i chwycił Nome'a za ramię.

— Tak, jest piękna, bardzo piękna! — syczał, wpijając palce w ramię towarzysza. — Bierz płaszcz i czapkę, Nome! Mam z tobą do pogadania!

Drzwi otworzyły się ponownie i wszedł agent. Steele wypchnął niemal Nome'a z izby, sam zaś zwrócił się do Breeda.

— Bucky i ja mamy coś do załatwienia u siebie! — tłumaczył. — Gdy państwo... to jest, gdy pułkownik wróci powiedz, proszę, że przepraszamy bardzo i że przyjdziemy za chwilę, by wspólnie wypalić fajkę.

Uśmiechnął się z przymusem i wyszedł, doganiając Bucky Nome'a.

— Co to wszystko znaczy, do diabła?! — spytał Nome, gdy zrobili parę kroków po śniegu. — Ugryzło cię co, Steele?

— Tak, właśnie! — przerwał Filip szorstko. — Zaraz będziesz wiedział, o co mi idzie! Ona, to jest żona pułkownika, jest istotnie bardzo piękna, co do tego nie może być dwóch zdań! No, a ty — tu

zachichotał drwiąco — szczęściarz jak zwykle! Już się w tobie zakochała, co? Doprawdy, szkoda, że zesłała tak nie w porę! Ale co jej się stało?

— Nie wiem! — burknął Nome. Czuł, że Steele coś przed nim tai, lecz z powodu ciemności nie mógł nic wyczytać z jego rysów.

— Oczywiście, że nie wiesz! Skądżebyś wiedział? — trzepał Steele. — Właśnie dlatego prowadzę cię do naszej chaty. Zaraz ci wyjaśnię, z jakiego powodu pani Becker zasłała i dlaczego była tak blada, wychodząc. Czeka cię nie lada rewelacja! Zdziwisz się, mój drogi, wiem, że się zdziwisz!

Przystanął na sekundę i Nome pierwszy wszedł do izby. Steele podążył w ślad za nim, po czym zamknął drzwi, chowając klucz do kieszeni. Wreszcie, za nim tamten zdołał ochłonąć ze zdziwienia, zrzucił płaszcz i wskazał palcem bielejącą czaszkę.

— Pozwól, że ci przedstawię jednego z mych starych znajomych — rzekł ochoczo. — Oto pan Jeanette z Nelson House!

Nome skoczył naprzód z wściekłym przekleństwem. Był czerwony na twarzy i zaciskał pięści, jak do bitki, lecz w pół drogi wstrzymał go chłodny błysk rewolwerowej lufy, spoza której płonęły niebezpiecznym ogniem siwe źrenice Steele'a.

— Siadaj, Nome! — komenderował Filip. — O tu, pod czaszką człowieka, którego zabiłeś! Siadaj, do diabła, bo ci łeb rozwalę! Tak, dobrze, a ja sobie siadę naprzeciw, i uważaj, co ci mówię, że mój rewolwer patrzy wprost w twoje podłe serce!

Mówił spokojnie. Tylko w miarę, jak Bucky jeżył się coraz wyraźniej pod zimnym wejrzeniem lufy, czerwone plamy na twarzy Filipa gorzały jaskrawiej.

— Dziś Jeanette jest górą! — panie Bucky Nome! Gra we własnym imieniu oraz w imieniu pułkownika Becker, jednak przede wszystkim — we własnym! Pamiętaj o tym, Bucky! Na razie tamta sprawa jest na porządku dziennym!

Podniecił się. Oddychał szybciej i chrypiał mówiąc, gdyż dławiła go wściekłość.

— To kłamstwo! — histerycznie wykrzyknął Nome, szary na twarzy, jak popiół. — To kłamstwo! Ja go nie zabiłem!

Palec Steele'a niebezpiecznie drgnął na cynglu.

— Jak mi Bóg miły, położyłbym cię na miejscu! — warknął. — Uwiodłeś mu żonę, złamałeś życie i dlatego przecie Jeanette popełnił samobójstwo! Złożyłeś raport w dowództwie, że to był wypadek z bronią na polowaniu! Łgałeś jak pies! To ty włożyłeś mu broń do ręki! Wziąłem ze sobą czaszkę, by dowieść w razie potrzeby, że kula, która przebiła skroń, pochodzi z rewolweru, a nie z myśliwskiej fuzji! Pani Jeanette nie była, niestety, pierwszą twoją ofiarą, ale ręczę, że tak czy inaczej zrezygnujesz z pani Becker!

Nome otworzył usta, chcąc przemówić, lecz zamilkł trwożnie, lufa rewolweru bowiem trąciła niemal jego nos.

— Milcz, draniu! — huknął Steele. — Jeśli raz jeszcze rozdziawisz brudną gębę, nie wytrzymam i palnę! Czyż nie rozumiesz, do czego doprowadziłeś dziś wieczór? Czyż nie wiesz, że pani Becker straciła głowę i choć opamiętała się w porę, jednak mąż jej odcierpiał swoje?

Wyciągnął rękę, szarpnął i, urwawszy rzemień, ujął w dłoń czaszkę.

— Patrz, łajdaku! Patrz, kanalio! Tegoś zabił, ale uważasz, że to mało! Chciałbyś nowego biedaka dołączyć do kolekcji?

Zniżył głos do syczącego szeptu i z wolna przesunął czaszką przez stół, aż martwa kość dotknęła niemal piersi Noma.

— Rozważaliśmy, pan Jeanette i ja, jak należy w tym wypadku postąpić — ciągnął Steele. — I

otóż doszliśmy do przekonania, że darujemy ci życie, lecz musisz opuścić służbę! Zrozumiano?

— A... więc chcesz mnie wygryźć?

Prawa ręka Bucky Nome'a nieznacznie przemknęła w kierunku kieszeni spodni i dłoń Steela zacisnęła się mocniej na kolbie rewolweru.

— Łapy na stół! — huknął. — Tak, teraz w porządku! Roześmiał się i tłumaczył trochę drwiąco:

— Więc pan Jeanette i ja nie życzymy sobie, byś nadal nosił mundur. Masz naprędce spakować najpotrzebniejsze graty i zmykać bez zwłoki! Radzę ci udać się stąd wprost do Głównej Komendy i złożyć podanie o dymisję. Mac Gregor zna cię wcale dobrze, Bucky, i słyszał coś niecoś o twoich miłych sprawkach, toteż przypuszczam, że zwolni cię bez przeszkód, choć termin służby jeszcze nie upłynął. Jako przyczynę podasz zły stan zdrowia! Jednak, gdybyś nie dość stanowczo postawił kwestię, gdyby cię nie chciano zwolnić — w takim razie opowiem, co wiem, a nieszczęsna kobieta z Nelson House oraz liczni świadkowie potwierdzą. Poza tym, Buck, jesteś stanowczo pysznym materiałem na złoczyńcę, i o ile tylko nie pohamujesz wrodzonych skłonności, to w krótkim czasie dotychczasowi koledzy zaczną ci deptać po piętach. Radzę ci więc, póki czas, wróć na prostą drogę! Jednak na razie, ruszaj! Pozwalam ci *zabrać* derę i trochę żywności!

Nome usiłował wstać, zatoczył się i spojrzał na Steele'a rozszerzonymi oczyma.

— Na miłość boską, Fil, ty chyba żartujesz! Steele wolną ręką wyjął z kieszeni zegarek.

— Rób, jak chcesz! — rzekł sucho. — Tylko uprzedzam, że jeśli będziesz tu jeszcze za piętnaście minut, biorę cię za kark, prowadzę przed pułkownika i agenta, opowiadam sprawę pana Jeanette, pakuję cię pod areszt i posyłam raport do Głównej Komendy! Wybieraj!

Zapadła cisza. Nome wstał wolno, niby półprzytomny. Milcząc zaczął ładować do plecaka żywność i drobiazgi, niezbędne w długiej podróży. Skończywszy, ruszył ku drzwiom. W progu przystanął na chwilę i zwrócił się do Filipa, trzymającego wciąż w dłoni rewolwer. Steele uśmiechnął się.

— Pamiętaj, Bucky — rzekł spokojnie — że czynię to wszystko dla dobra twego i ludzkości.

Z twarzy Nome'a znikł już wyraz lęku. Panowała w niej niepodzielnie nienawiść tak zażarta, że zęby błyskały spod ściągniętych warg, niby kły dzikiej bestii.

— Do diabła z ludzkością! — syknął. — Ale pamiętaj, Steele, spotkamy się jeszcze!

— Może być! — Filip parsknął śmiechem. — Do widzenia, Bucky Nome, dezterterze!

Drzwi trzasnęły ostro. Nome wyszedł.

— A teraz dalszy ciąg, panie Jeanette! — rzekł Steele, zapalając fajkę.

Zachichotał drwiąco. Po czym milczał długą chwilę, puszczając w powietrze gęste kłęby dymu.

— Udał mi się dzisiejszy dzień! — oznajmił wreszcie, nie spuszczać oczu z trupiej czaszki. — Teraz należałoby cię posłać tej kobiecie, która wespół z Bucky Nome'em skłoniła cię do samobójstwa.

Urwał raptem i oczy rozgorzały mu jak dwie pochodnie.

— To jest myśl! — zawołał.

Zamilkł ponownie. Fajka wygasła, lecz nie zważał na to. Nie spuszczał wzroku z czaszki. Ktoś patrzący z boku mógłby odnieść wrażenie, że trupia kość przemawia, a Steele usiłuje zrozumieć jej głos. Wreszcie Filip oprzytomniał. Wytrząsł fajkę, a schowawszy ją, począł gromadzić swe zapasy i drobiazgi, pakując je do plecaka. Skończywszy siadł przy stole, mając przed sobą arkusz papieru, a w ręku ołówek. Był bardzo blady, lecz zupełnie spokojny.

— Zdaje mi się, że postąpię dobrze! — rzekł półgłosem. — Panie Jeanette, nie tylko Bucky Nome cię skrzywdził! Skrzywdziła cię również kobieta! Ciebie już nic nie uratuje, lecz za to ty możesz kogoś ocalić! Pójdiesz do niej z przestrogą.

Choć milczysz, głos twój jest przerażający, ale tym pewniej cię usłucha! Ja ze swej strony opowiem jej twoje dzieje oraz dzieje kobiety, która z żyjącej głowy uczyniła ten chłodny, biały przedmiot. Może zrozumie ukryty morał? Tak, mam nadzieję, że zrozumie!

Pochylił się nad stolikiem i pisał dość długo. Skończywszy zapieczętował list, umieścił go wraz z czaszką w pudełku i zawiązał je rzemykiem. Teraz skreślił na karcie parę słów przeznaczonych dla agenta i przypiął to do zewnętrznej strony pudełka. Tłumaczył pokrótce, że jest zmuszony, wespół z Bucky Nome'em, ruszyć śpiesznie na zachód. Dodał, że pudełko ma być oddane do rąk własnych pani pułkownikowej i że jeśli Breedy dba choć trochę o przyjaźń Filipa Steele, powinien to zrobić w ten sposób, by pułkownik Becker niczego się nie domyślił. Ostatnie zdanie podkreślił grubą linią.

Była ósma, gdy wyszedł z chaty w mrok nocny, mając wór podróżny na plecach. Pudełko zostawił na stole. Mruknął coś z zadowoleniem, stwierdziwszy, iż prószy śnieg, gdyż miał teraz pewność, że ślady jego i Bucky Nome'a do rana staną się niewidzialne. Poprzez głęboką ciemność nieliczne światła w domu agenta mrugały niby gwiazdy. Jedna lampa płonęła jaśniej i Steele wiedział, że znajduje się ona w pokoju, który Breedy przeznaczył dla pułkownikowej.

Przystanął na chwilę, nie mogąc oderwać oczu od tego okna. Raptem lampa rozgorzała jeszcze jaskrawiej i Filip doznał wrażenia, że przez szyby czyjaś twarz spogląda w kierunku jego chaty. W następnym mgnieniu wiedział już, że jest to twarz kobiety. Potem otwarły się drzwi domu i jakaś postać wyszła na próg, a z progu na otwartą przestrzeń. Filip ukrył się w cieniu i czekał. Poznał pułkownika. Pan Becker zbliżył się do chaty i trzykrotnie, coraz to mocniej, zapukał do drzwi.

— Z przyjemnością uściskałbym mu dłoń! — pomyślał Steele. — Powiedziałbym mu chętnie, że nie on jeden stracił dziś wieczór wiarę w swój ideał! Jednak mogło być gorzej...

I nie patrząc już w stronę oświetlonego okna zawrócił, kierując kroki na zachód, ku ciemnej smudze boru.

ROZDZIAŁ IV

JEDWABNY SZAL

W miarę jak Lac Bain pozostawało coraz dalej w tyle, Filipa ogarniała samotność, męcząca aż do bólu. O pół mili od faktorii przystanął pod osłoną gęstych sosen i trwał, nasłuchując. Dobięło do niego odległe wycie psa. Wzdrygnął się. Myślał o Izie, o tym, czy słusznie względem niej postąpił. Mignęła mu przed oczyma piękna twarz Bucky Nome'a i roześmiał się chrapliwie. Co do tego łotra nie mogło być dwóch zdań!

Zobaczył raptem całkiem wyraźnie scenę, oglądaną dwadzieścia cztery godziny temu: płonące ognisko, złotą głowę Izy, wspartą na ramieniu męża, i błękitne oczy, pełne ufnej miłości, wpatrzone w starczą twarz. Lecz wnet nadleciała inna wizja. Ujrzał niezdrowy rumieniec, wywołany na policzki kobiety przyciszonym głosem Bucky Nome'a, omdlałą senność źrenic, karmin warg — i blade, surowe rysy pułkownika.

Tak, postąpił dobrze! Opamiętała się w czas, to prawda, lecz utoczyła nieco krwi z serca męża i z serca Filipa Steele'a. Zniweczyła jego ideał: świetlaną postać, o której zawsze śnił. Czymże się dziś różniła od dziewczyny z Chicago? Obie były piękne i obie nie umiały uszanować prawdziwego uczucia ani zapanować nad porywem zmysłów. Może tragiczne dzieje życia i śmierci pana Jeanette znajdą u niej posłuch?

Ruszył dalej, usiłując skierować myśl na inne tory. W odległości siedmiu mil na południowy zachód stała chata Metysa Jacka Pierrot, który posiadał psy pociągowe i sanie. Steele miał zamiar wziąć go ze sobą na objazd zamiast Bucky Nome'a. Po powrocie do Nelson House zamierzał złożyć w dowództwie raport o dezercji tego ostatniego, był bowiem absolutnie pewien, że Nome ani myśli rozwiązać swój służbowy stosunek w sposób legalny.

Zastanowił się przez chwilę, co też on sam dalej pocnie. Lecz wnet beztróska wzruszył ramionami. Miał jeszcze przed sobą czternastomiesięczny okres służby. Jak dotąd w szeregach Królewskiej Konnej nie zaznał ani chwili nudy czy też monotonii. Niebezpieczna walka z przestępstwem i bezprawiem stanowiła dlań sens życia. Zmiana usposobienia przyszła z chwilą, gdy otworzył list pani Becker, pachnący kwieciem hiacyntu. Zaciśnął zęby, taka ogarnęła go pasja.

— Co się ze mną dzieje?! — syknął. — Zwariowałem chyba! Co mnie może obchodzić taka kobieta i do tego cudza żona!

Nim dotarł do chaty Metysa, zapadła głęboka noc, lecz w oknie domostwa płonęło światło. Filip rzucił rakiety śnieżne i zapukał do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast i Metys, stojąc w progu, spojrzął ze zdumieniem na ośnieżoną postać gościa.

— Mój Boże, to pan, panie Filipie?

Steele wyciągnął dłoń na przywitanie i rozejrzał się po izbie. Coś się tu zmieniło od jego ostatniej bytności. Metys nosił lewe ramię na temblaku, twarz miał bladą i wychudłą, a czarne oczy zapadłe i pozbawione blasku. Wnętrze chaty nosiło piętno sierocego opuszczenia i Filip zauważył, że ciemnowłosa żona Jacka oraz jego pół tuzina dzieciaków gdzieś znikli.

— To pan, panie Filipie! — wykrzyknął Metys ponownie, a twarz pojaśniała mu radością. — Czemu tak późno? Pan pewnie głodny?

— Jadłem już kolację — odparł Steele. — Idę wprost z Lac Bain. Ale co ci jest, stary?

Wskazał ramię, uwieszone na temblaku, i pytającym wzrokiem obwiódł chatę.

— Iowla jest w Churchill wraz z dziećmi — odpowiedział Metys. — Nie słyszał pan nic w Lac

Bain? Moja żona zachorowała ciężko, bardzo ciężko i ugh! — tu wzdrygnął się nerwowo — doktor powiedział, że ją trzeba krajać! Odwiozłem ją sam do Churchill i teraz już dobrze, ma prędko wrócić do domu. Dzieci zostały z nią. Mówiła, że to jej przypomni męża i lasy. Jutro dwa tygodnie, jak ją widziałem po raz ostatni, a tak mi pusto, panie Filipie, tak pusto, że ani miejsca sobie znaleźć nie mogę!

— Ach, więc jeździłeś do Churchill? — pytał Steele, zrzucając plecak i kurtę.

— *Oui, monsieur* — w ferworze Metys przeszedł na francuski język. — Siedziałem tam od listopada. Pan Breedy nic o tym nie wspominał?

— Nie! Nic! Zresztą widziałem go bardzo krótko. Urwał i, zapalając fajkę, stanął plecami do ognia tak, by mieć twarz w zupełnym cieniu. Ciągnął obojętnie:

— Spotkałeś może w Churchill jakichś obcych ludzi? Przyjechali tam pewni państwo z Londynu, starszy mężczyzna i kobieta.

Na bladą twarz Metysa buchnął płomień podniecenia.

— O, panie Filipie — krzyknął nagle — to nie kobieta, to anioł! Moja Iowla nigdy o niej inaczej nie mówiła, jak tylko — anioł. Proszę spojrzeć! — tu wyciągnął obandażowane ramię. — Jeden z moich psów, indyjski kundel, tak mi rękę rozdarł! To było akurat przed składem kompanii. Upadłem i wstawałem z trudem, a krew buchała z rany jak fontanna. Właśnie wtedy zobaczyłem ją, bladą na twarzy niby śnieg. Stała chwilę, aż podbiegła ku mnie z głośnym krzykiem, zerwała coś z szyi i owinęła mi tym rękę. Odprowadziła mnie potem do chaty i odwiedzała nas co dzień. Wykąpała małego Pietrka i obcięła mu włosy. Wykąpała Jankę i Maballę. Kołysała najmłodsze, a śmiała się i śpiewała, aż Iowla poczęła się śmiać i śpiewać. Raz rozplotła włosy mojej żony: są długie, aż do ziemi, a potem ułożyła je na nowo bardzo pięknie i mówiła, że chciałaby też mieć takie. Ale śmieliśmy się wszyscy, bo trudno o piękniejsze, niż ma ona sama. Czyste złoto, panie Filipie! Potem Iowla uczesała ją po naszemu, jak Indiankę Cree. A kiedyś przyszedł z nią stary pan, taki dobry. Powiedział, że zna doktora i że sam z nim załatwi i że nic nie trzeba płacić! Zaraz pokażę, czym owinęła mi wtenczas rękę...

Podszedł do skrzynki, uwieszanej na jednej ze ścian, i wrócił po chwili niosąc długi, biały jedwabny szal. Filip wziął go do ręki. Ułowił natychmiast słabą woń znajomych perfum i raptem, z jękiem niemal wtulił twarz w delikatną przędzę. Zdało mu się przez chwilę, że ma przed sobą Iżę, że żywej kobiecie, nie zaś martwej tkaninie wyznaje najgłębszą tajemnicę serca. Poczucie haniebnej porażki, zrozumienie istotnej przyczyny ucieczki z Lac Bain, wydarło mu z piersi nowy jęk.

Gdy wreszcie uniósł głowę, twarz miał szarą jak popiół. Metys gapił się, nic nie rozumiejąc.

— Przypomni mi się dom! — tłumaczył Filip bezładnie. — Czasem czuję się bardzo samotny! Mam tam daleko dziewczynę, która nosi podobny szal i używa tych samych perfum i dlatego... — urwał w zakłopotaniu.

Metys kiwał głową z uprzejmym ubolewaniem.

— Tak, tak, rozumiem! — powtórzył parokrotnie. Schował szal do skrzynki, a tymczasem Filip zdołał już

przywołać na twarz zwykły spokój. Zagadnął o wspólną jazdę nazajutrz, a otrzymawszy chętną zgodę, począł się układać do snu. Zdejmując już odzież — spytał jeszcze.

— No, a gdyby ci tak kto powiedział, Jacku, że ta kobieta z Churchill nie jest wcale takim aniołem, na jakiego wygląda? Że należy raczej do kategorii takich istot, jak owa niewiasta z Lac Bain, co to uciekła z Anglikiem...

Metysa aż poderwało.

— Ten, kto by tak gadał byłby nikczemnym łgarzem! — huknął wściekle. — Musiałby te brednie

odwołać albo miałby ze mną do czynienia! — *Mon Dieu*, zabiłbym go bez wahania i nie uważałbym tego wcale za grzech!

Filip pochylił się nieco, zdejmując buty. Czuł, jak mu krew uderza do głowy. Zawstydziły go naiwna wiara i zapal Metysa. Milcząc, otulił się w koc i legł twarzą do ściany. Pierrot zdmuchnął lampę i wkrótce Steele ułowił jego równy oddech. Wtedy przewrócił się na wznak. Sen odbiegł go bezapelacyjnie. Wbrew wszelkim postanowieniom i wysiłkom myśl leciała wciąż do Izy. Wspominał każdy, najdrobniejszy szczegół ich spotkania, każde słowo czy ruch. Była tak, zda się, czysta i szczerą aż do chwili, gdy otumaniał ją Nome. Lecz teraz winił ją mniej, skwapliwie wynajdując okoliczności łagodzące. Wspominał wszystkie znane sobie kobiety i ogarniała go coraz większa pewność, że każda bodaj raz w życiu miała godzinę słabości.

Zresztą, cóż mógł jej zarzucić? Słuchała półgłosem wymawianych słów, śmiała się zalotnie i miała na twarzy głębsze rumieńce, a w oczach bardziej płomienny blask! Czy to już jest grzech? Czyż te same źrenice nie spoglądały i na niego z serdeczną przyjaźnią? Czy nie rumieniła się jednak pod jego wejrzeniem? Czyż on sam nie przemawiał do niej bardziej miękko niż do innych ludzi?

Zagmatwał się w toku rozumowania, stracił wątek myśli i pozostała mu tylko słodycz wspomnień. Uśmiechnął się podświadomie. Potem znów zacisnął szczęki. Przepłynęła kędyś w mroku piękna twarz panny z Chicago, Eli Hawkins, mającej dla wszystkich mężczyzn jednakowo nęcący uśmiech i jednaką pokusę żreć.

Zamknął powieki, lecz sen nie przychodził. Więc po pewnym czasie wstał jak najciszej, nabił fajkę i siadł przed wygasłym paleniskiem. Śnieżycą zrodziła zawieruchę. Na zewnątrz zawodził huragan, skomląc i ten głos przypominał mu noc, spędzoną w chacie na południu oraz list, pachnący kwieciem hiacyntów. Nerwy rozigrały się na dobre. Miarowy oddech Metysa upewniał go, że gospodarz głęboko śpi. Po cichu złożył fajkę na stole. Na palcach przeszedłszy pokój, dotarł do skrzynki, w której, jak wiedział, spoczywa szal Izy. Namacał go tak podniecony, jakby popełniał kradzież. Wydobył jedwabną tkaninę i gniojąc ją oburącz — wrócił na swe miejsce przy piecu. Słodka woń uderzała mu do głowy. Miał wrażenie, że tuż obok oddycha ktoś kochany, że to zapach kobiecych szat, kobiecych włosów. Zdawało mu się, że z mroku patrzą błyszczące oczy w otoku długich rzęs; ponętnie rozchylają się pąsowe wargi. I raptem wtulił twarz w miękką przedzę, całując ją nieprzytomnie.

Ocuciło go silniejsze wycie wichru. Serce przeniknął nagły, a okropny ból; w gardle dławili łyzy. Kochał ją! Kochał kobietę, będącą żoną innego! Kochał tak bardzo, aż się sam dziwił mocy tego uczucia. Z twarzą, wciąż jeszcze wciśniętą między jedwabiste zwoje, trwał długą chwilę, milcząc i bez ruchu, szykując się do dalszej walki z losem.

Wreszcie starannie złożył szal i zamiast z powrotem umieścić w pudełku, ukrył go na piersi, w kieszeni kurty.

— Pierrot nie zmartwi się zbytnio! — usprawiedliwiał się sam przed sobą. — A to jest jedyna pamiątka, jaką mam po tobie, śliczna mała pani!

Rozdział V

ODPORNY NA PIĘKNO

Rankiem Metys zbudził Filipa.

— Mon Dieu, ależ pan spał, jak niedźwiedź! — wołał. — Zamięć ucichła i drogę będziemy mieli wyśmienitą! Czy pan słyszał? Ciekaw jestem, co to za strzelanina w Lac Bain?

Filip wyskoczył z łóżka i przede wszystkim spojrzał na skrzynkę. Miał błogą nadzieję, że Jack nie spostrzeże zniknięcia szala.

— Zapewne polują na łosia! — odparł niedbale. — Przed dwoma dniami były podobno koło faktorii gęste tropy!

Szło mu o jak najszybsze wyruszenie w drogę, toteż gorliwie pomagał gospodarzowi w przyrządzaniu posiłku. Huk paru kolejnych wystrzałów mógł być sygnałem wzywającym go do Lac Bain; jeśli tak, należało się liczyć z możliwością pogoni za nim. Otóż stanowczo chciał uniknąć powrotu do faktorii.

O dziewiątej Pierrot zamknął drzwi chaty na drewnianą zasuwę i wespół z Filipem ruszył na południowy zachód. Przez dwa dni zachowywali początkowy kierunek, po czym skręcili na wschód, by zahaczyć o indiańskie osiedle nad jeziorem Reindeer, a po upływie tygodnia, wytyczywszy drogę podług kompasu, prosto jak strzelił, pomknęli ku Nelson House. Jednak minęło dalszych siedem dni, nim dotarli do faktorii, a po przybyciu na miejsce Filip znalazł list, wzywający go natychmiast do Prince Albert. Był niemal rad tej nowej włóczędze. Pożegnawszy Pierrota, ruszył bez zwłoki w towarzystwie dwu indiańskich poganiaczy. W Le Pas wsiadł do pociągu jadącego ku Etomami, skąd po trzygodzinnym marszu trafił do Prince Albert.

Tu złożył inspektorowi MacGregorowi oficjalny raport w sprawie Bucky Nome'a i spytał o dalsze rozkazy. W odpowiedzi zwierzchnik uśmiechnął się.

— Na razie nie mam żadnych zleceń! Wypocznij sobie, Steele — rzekł przyjaźnie.

Nastał więc tydzień zupełnego lenistwa i Filip zniechęcony, znudzony jak nigdy, miał dość czasu, by kłać zajadle własną głupotę. Oświadczenie inspektora, że jego nazwisko figuruje na pierwszym miejscu na liście awansów nie sprawiło mu najmniejszej przyjemności. Przed miesiącem jeszcze cieszyłby się ogromnie. Dziś chichotał drwiąco, wspominając słowa zwierzchnika: „W najbliższym czasie, Steele, będziesz kapralem lub sierżantem!” On, Filip Steele, milioner, członek arystokratycznych klubów, syn finansowego potentata — kapralem lub sierżantem policji! Myśl ta bawiła go czasem, a czasem doprowadzała do wściekłości. Postąpił jak dureń, idąc za popędem, co go pchał ku dalekim, swobodnym przestrzeniom i życiu pełnemu przygód. Cóż dziwnego, że rodzina i znajomi uznali go za półgłówka. Przekreślił najponętniejsze perspektywy, poniechał władzy, jaką daje pieniądź, wzgardził przyjaciółmi i domem z równą łatwością, z jaką normalny czyjacowiek odrzuca wypalone cygaro. A w zamian, co uzyskał?

Złośliwie uśmiechnięty obwiódł wzrokiem ciasną, koszarową izbę. Lecz raptem natężył słuch. Z daleka dolatywał ostry tętent cwałujących koni: to sierżant Moody ćwiczył zastęp rekrutów. Rysy Steele'a wypogodziły się natychmiast, podczas gdy powietrze huczało gromem rewolwerowych strzałów i trzęsło się od wesołych wrzasków. Ostatecznie to życie nie było znów tak złe! Z paniczyków, lalusiów i niedołęgów robiło twardych ludzi i Steele pomyślał o młodym Angliku, synu lorda, który uczył się konnej jazdy i doskonalił dłoń i oko pod kierunkiem rudego Moody. Uprzytomnił sobie też, że jego własny pesymizm pochodzi z przymusowego lenistwa, toteż rad był,

gdy wkrótce potem MacGregor wezwał go do siebie urzędowo.

Inspektor: tęgi, słusznego wzrostu przemierzał izbę tam i z powrotem.

— Dzień dobry, Steele! — rzekł na widok wchodzącego policjanta. — Siadaj no, stary, i zapal cygaro.

Gdyby MacGregor dostał raptem ataku hysterii, Filip nie zdziwiłby się bardziej niż na dźwięk tych słów. Mnąc czapkę w dłoniach, stał przed biurkiem surowego inspektora, patrząc baranym wzrokiem na podsuwane coraz bliżej pudełko wyborowych hawana. W Królewskiej Konnej dyscyplina i hierarchia są przestrzegane niezwykle ostro. Filip pamiętał dobrze słowa pewnego komisarza: „U nas każdy człowiek jest królem, lecz i król królowi nie jest równy!” Otóż, było rzeczą wręcz niesłychaną, by prosty szeregowiec siadał w obecności swego zwierzchnika, a do tego palił cygaro! Ale, że zaproszenie brzmiało wyraźnie, Filip usłuchał, czekając potem w milczeniu na dalszy ciąg tak niezwykle rozpoczętej audiencji.

Zresztą, gdy minęła pierwsza chwila zdziwienia, zachowywał się już tak swobodnie i z takim wrodzonym taktem, że baczny obserwator mógł natychmiast dostrzec, iż ma do czynienia z człowiekiem światowym. MacGregor zauważył to najwidoczniej. Przez chwilę tkwił na wprost Filipa, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie spodni i dziwnym zmrużeniem zimnych niemal bezbarwnych oczu, których wyrazu rekruci obawiali się bardziej jeszcze niż zadzierzystych, rudych wąsisk. Wreszcie parsknął śmiechem. Był to wesoły, szczerzy śmiech, na miejscu jedynie wobec równego sobie stanowiskiem, nigdy zaś wobec podwładnego.

— Pyszne cygara, prawda, Steele? — spytał, na wpół zwrócony w stronę okna. — Główny Komisarz przysłał mi je z Regina. Co może być lepszego na taką psią pogodę! Słyszysz, jaki wiatr?

Spoglądał przez chwilę na bezbarwne dachy koszar, ponad którymi wirowały w powietrzu blade smugi dymu, szybko topniejąc na ołowianym stropie nieba; przeliczył wzrokiem parę rachitycznych, umęczonych zawieją drzew, rozsianych po dziedzińcu; dłużej zatrzymał oczy na pozostałościach letnich klombów, gdzie pojedyncze źdźbła i łodygi gęsto przebijały cienki kobierzec śniegu. Wreszcie, ni to do siebie, ni to do Filipa, rzekł:

— Steele, czy jesteś odporny na piękno?

W głosie jego nie było śladu drwiny. Brzmiał nisko i poważnie. A gdy inspektor się odwrócił, Steele spostrzegł na jego twarzy, widziany po raz pierwszy — rumieniec! Blade oczy płonęły gorączkowo. Powtórzył raz jeszcze, tym razem głośniej:

— Chciałbym wiedzieć, Steele, czy jesteś odporny na piękno?

Steele zamierzał zachować spokój, lecz mimo woli uczuł, jak ognista fala wybija mu na policzki. Jakkolwiek doskonale rozumiał absurd podobnego przypuszczenia, jednak przeleciało mu przez myśl, że MacGregor wie o wszystkim. Postąpił krok naprzód i otworzył usta, lecz pohamował się w porę.

Czy jest odporny na piękno?

Roześmiał się cicho i trochę smutnie. Pomimo śmiechu twarz miał jakby skamieniałą. MacGregor dostrzegł to, lecz nie zrozumiał powodu.

— Czy jestem odporny na piękno? — rzekł głośno. — Zdaje mi się, że tak, sir!

teel Myślisz?

— Jestem tego pewien, panie inspektorze! Oczywiście, o ile w ogóle można być czegokolwiek pewnym!

MacGregor usiadł przy biurku i wysunął szufladę. Z szuflady wyjął fotografię. Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, puszczając gęste kłęby dymu. Potem, nie podnosząc oczu, rzekł:

— Dam ci dziwaczne polecenie, Steele! Tym dziwaczniejsze, że niezmiernie proste. Jest to właściwie funkcja dla pierwszego lepszego rekruta, a jednak, ręczę słowem, że nie powierzyłbym jej

nikomu prócz ciebie! Wygląda to na paradoks, he?

— Tak — przyznał Filip krótko.

— Zrozumiesz lepiej, gdy ci dodam parę wyjaśnień — ciągnął inspektor, kładąc fotografię na biurku tak, by nie było widać co przedstawia. — Widzisz, Steele, ja wiem, kim ty jesteś! Wiem, że twój ojciec jest Filipem Steele, wielkim bankierem z Chicago! Wiem, że przygnała cię tu chęć romantycznych przygód i swobody. Wiem również, że jesteś światowcem, że widziałeś niejedną piękną twarzyczkę i że śpiewny głos lub czarowny uśmiech nie wytrąca cię tak łatwo z równowagi, jak któregoś z tutejszych odludków. Jak widzisz, posiadamy niezłą służbę wywiadowczą.

— Istotnie, niezłą! — przerwał Steele bezceremonialnie. — Czy pan ma jaki... jakie specjalne dane na to, by sądzić, że jestem odporny na piękno?

— Już powiedziałem, co wiem! — rzekł inspektor, opierając łokcie na biurku. — Widziałeś w życiu tyle ładnych kobiet, że musiałeś się do nich przyzwyczaić! Toteż ta, o której myślę, nie zawróci ci chyba głowy od pierwszego wejrzenia. Więc...

Zawahał się, a potem roześmiał wesoło. Spojrzał na fotografię i Steele ponownie dostrzegł rumieniec na twarzy zwierznika.

— Będę szczery! — oznajmił raptem MacGregor. — Ta młoda kobieta odwiedziła mnie wczoraj i po upływie kwadransa, rozumiesz, po upływie piętnastu minut — tańczyłem już tak, jak ona grała! Pojmujesz? Nie mogę się oprzeć jej urokowi, choć mam siwy łeb i Bóg wie kiedy kochałem się po raz ostatni! Chcę cię posłać do Wekusko, za Le Pas, byś mi stamtąd przytransportował jeńca. Człowiek, o którym mówię, jest mężem tej czarodziejki, a niedawno omal nie zabił inżyniera Hodges, kierownika tamtejszych robót. W najlepszym razie grozi mu dziesięć lat więzienia, więc kobieta porusza niebo i ziemię, by go ocalić. Daję ci słowo, Steele, gdybym był młodszy, a ona przyszła do mnie, jak wczoraj, nie umiałbym jej niczego odmówić! A jednak ten zbrodniarz musi odcierpieć swoje! Zrozumiano? Nie wolno dać mu uciec! Należy go odstawić do więzienia — zgodnie z prawem. Więc widzisz — na pozór to takie łatwe! Chodzi po prostu o konwojowanie jednego człowieka z Wekusko. Zdaje się, że byle rekrut by to potrafił. A jednak, nie.

Przerwał, ponownie zapalając zgasłe cygare. Wykonał tę czynność z drobiazgową pedanterią. Potem spojrzał na Filipa i rzekł:

— Jeśli to wykonasz, Steele, dostaniesz awans!

I już bez wahania wyciągnął przez biurko dłoń z fotografią, dodając krótko:

— To ona! Nie pytaj, skąd mam zdjęcie.

Steele ujął fotografię trochę nerwowo. Spojrzała nań twarz niewypowiedzianie słodka, a tak dziewczęca w wyrazie oczu i ust, że aż się zachnął ze zdumienia. Byłby przysiągł, że ma przed sobą portret pensjonarki. Podniósł głowę, chcąc coś powiedzieć, lecz MacGregor, otoczony kłębam dymu, stał ponownie zwrócony twarzą do okna.

— Fotografia pochodzi sprzed dziesięciu lat — rzekł, a z tonu głosu Filip odgadł, że inspektor z trudem hamuje jego drzenie. — Ale zmieniła się bardzo nieznacznie, prawie wcale! Mężczyzna nazywa się Thorpe. Po południu przyślę ci pisemny rozkaz, a przed wieczorem możesz ruszyć!

Filip wstał i czekał na dalsze rozkazy.

— Czy ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia? — spytał wreszcie. — Ta kobieta...

— Nie! To już wszystko! — przerwał MacGregor, wciąż patrząc w okno. — Tylko przypominam raz jeszcze, Steele, że masz go tu przywieźć! Choćby się stało nie wiem co — rozumiesz?!

Filip uklonił się i ruszył do drzwi. W pół drogi omal nie stanął, zdawało mu się bowiem, że ułowił zdławiony dźwięk, którego natury nie mógł pojąć. Lecz gdy obejrzał się w progę, stwierdził, że inspektor tkwi nadal na tym samym miejscu.

Co to wszystko znaczy? pytał sam siebie, starannie zamykając drzwi. W tym jest jakaś tajemnica! Założę się, że w tym coś jest! Awans za konwojowanie zwykłego więźnia! Ki diabeł?

Przystanął na chwilę na jednej z udeptanych ścieżek. Z opasanego parkanem placu musztry dobiegał głuchy tętent końskich kopyt i grzmiał chrapliwy bas sierżanta Moody'ego, klnącego rekrutów. Moody miał kamienne serce i dla spełnienia obowiązku bez drgnienia powiek poszedłby w piekielny ogień. Na służbie postarzał się i zeszpetniał, a na piękno był równie niewrażliwy jak gład. Dlaczegoż MacGregor jemu nie powierzył zadania?

Odporny na piękno! Powtórzył to zdanie półgłosem i coś, niby żal, zadrgało mu w sercu. Był też ciekaw, co właściwie MacGregor o nim wie. Po powrocie do swej izby siadł i pograżył się w myślach. Raz jeszcze wyłuskał z lamusa wspomnień dwie twarze, znaczące dlań tak wiele. Twarz pięknej panny z Chicago, uroczej jak Diana z Poitiers, bezdusznej niby sfinks, która gotowa była mu się oddać w zamian za jego miliony, oraz twarz Izy, widzianą po raz pierwszy wśród ośnieżonych, dzikich pustkowi.

Odporny na piękno! Roześmiał się, nabijając fajkę. Tak, pono MacGregor dobrze zgadł, choć nie wiedział może wcale o złotowłosej kusicielce ani o walce, stoczonej jednego wieczoru z dezerterem Bucky Nome'em.

ROZDZIAŁ VI

ZASADZKA

Filip dostał pisemny rozkaz dopiero późnym wieczorem. Był to list utrzymany w urzędowym stylu, dający mu wszelkie potrzebne pełnomocnictwa i polecający ruszyć jeszcze dziś w kierunku Le Pas. Oprócz tego papieru w kopercie znajdowała się mała kartka, zawierająca jedynie tych parę słów: *Cokolwiek by się stało, należy dostarczyć więźnia żywym lub umartym!*"

Podpisu brakło, lecz cztery pierwsze słowa podkreślała gruba krecha. Ponieważ MacGregor był znany z lapidarnej formy przemówień i niepowtarzania raz wydanych rozporządzeń — podobny nacisk dawał wiele do myślenia. Było w tej sprawie coś niezwykłego, coś, co mogło pogmatwać naturalny bieg wydarzeń. Filip doznał uczucia irytacji na myśl, że MacGregor zataił przed nim jakiś ważny szczegół. W ciągu godziny, podczas której przygotowywał się do drogi, zachodził również w głowę, co by to miało być. Na pozór przecież, zadanie, które mu powierzono, wyglądało niezwykle prosto. Człowiek, o imieniu Thorpe, usiłował popełnić mord. Schwytano go i siedział w areszcie, oczekując przybycia konwojenta. Byle niedołęga potrafiłby przetransportować więźnia zakutego w kajdanki. A jednak...

Po raz drugi i trzeci przeczytał słowa podkreślone ręką MacGregora: „Cokolwiek by się stało.” Uczuł przyjemny dreszczyk podniecenia. Od dnia rozprawy z Bucky Nome'em życie wydało mu się monotonne, a oto znowu nabierało swoistego kolorytu. Mimo woli prawie zadał sobie pytanie, które przed godziną jeszcze uważałby za absurdalne: czy na dalekiej północy może istnieć kobieta równie piękna jak żona pułkownika Beckera? Bo nie lada urok musiała posiadać twarzyczka, mogąca zawrócić głowę żelaznego MacGregora. Było to bodaj trudniejsze zadanie, niż podbicie serca Bucky Nome'a lub nawet Filipa Steele'a. I czy między tymi dwiema kobietami zachodzi jakieś podobieństwo postaci, głosu, ruchów...

Zaklął z obrzydzeniem, kierując myśli na inne tory. Co za brednie lęgną się w jego mózgu! Aż poczerwieniał z irytacji. Lecz pomimo wszystko zostało pewne słodkie rozmarzenie i przyjemny niepokój. Był pewien, że czeka go ciekawa przygoda. Coś niezwykłego ma się stać! Zachowanie MacGregora, jego słowa, wyraźne podenerwowanie, dziwne brzmienie głosu — wszystko to zdawało się obwieszczać niepowszednie zdarzenia. I bezsprzecznie główną rolę grała kobieta, której słodka twarz spojrzała nań z fotografii. Steele był przekonany, że inspektor wie o wiele więcej, to zaś, że nie wyjawiał w określony sposób swych podejrzeń, należało przypisać jakimś nieznanym okolicznościom.

Ogarnęło go radosne podniecenie na myśl o możliwych trudach i niebezpieczeństwach tej podróży. Lecz po chwili zrozumiał, że nie tylko to go tak cieszy. Przed paroma dniami marzył już o porzuceniu dalekiej północy, gdyż chciał odizolować się od Lac Bain. Teraz natomiast był rad, że obowiązek służby pcha go w kierunku znajomej faktorii, a zarazem w stronę kobiety, której piękne oczy stały się raptem ważną częścią jego egzystencji. Nie miał jej zobaczyć. Wekusko i Lac Bain dzielił szmat drogi. Niemniej jednak zbliżał się do niej i ta myśl przyśpieszała bicie jego serca.

Przyszedł na stację o dziesięć minut za wcześnie i nie mając nic innego do roboty — wmieszał się w tłum podróżnych. Będąc przekonanym, że w zadaniu, które ma spełnić, główną rolę odgrywa powierzchowność żony Thorpe'a — począł jej szukać oczyma. Wkrótce nabrał pewności, że nie ma jej ani w budynku stacyjnym, ani też na peronie. Z równym skutkiem przejrzał wagony pociągu.

Późną nocą przybył do Etomami, skąd boczna linia, mająca sześćdziesiąt mil długości, wiedzie na

północ. Rankiem wszedł na tender roboczego pociągu, jadącego do Le Pas. Był jedynym pasażerem.

— Nawet drezyną nikt tędy nie przejeżdżał — odpowiedział maszynista na jego indagację. — A pociąg idzie raz na pięć dni!

Podniecenie Filipa zmalowało. Stwierdził, że wyprawa, zapowiadająca się tak romantycznie przybiera tuzinkowy charakter. Kobieta nie mogła go wyprzedzić. Przed dwoma dniami odwiedziła przecież osobiście MacGregora, zatem wykluczone jest, by wcześniej niż on trafiła do Wekusko, chyba że gnałaby bez wytchnienia psim zaprzęgiem. Filip zaklął pod nosem, mocno rozczarowany. Śniadanie zjadł wespół z kolejową drużyną, potem zasnął smacznie i zbudził się dopiero wtedy gdy pociąg rył już sypki śnieg, wjeżdżając na końcową stację Saskatchewanu.

Palacz podał mu list.

— Przyszedł przed chwilą, adresowany do Le Pas — oznajmił. — Zatrzymałem go dla pana, zamiast odesłać dalej.

— Dziękuję — odrzekł Filip. — Ekspres z Głównej Kwatery. Ki diabeł! Czemuż nie wysłali umyślnego? Złapałby mnie w pół drogi.

Mówiąc rozdarł kopertę i wyjął złożony we dwoje arkusz papieru. Nie był to urzędowy blankiet, lecz Filip od razu poznał charakterystyczne pismo MacGregora oraz jego zamaszty podpis. Inspektor mawiał niejednokrotnie, iż jeszcze się nie urodził spryciarz, który by potrafił naśladować jego rękę.

Steele gwizdnął przez zęby, czytając następujące dwa zdania:

Idź zawsze za głosem sumienia. Bóg i ludzie cię nagrodzą!

Feliks MacGregor.

I to było wszystko. Brakło daty; brakło również jakichkolwiek wyjaśnień. Nawet imię jego zostało pominięte. Steele podniósł z podłogi kopertę i spojrział na znaczek pocztowy.

Stempel opiewał czwartą minut trzydzieści. A ustne instrukcje w biurze inspektora otrzymał o wpół do szóstej, czyli o godzinę później. List został więc wrzucony przed ową ważką rozmową, przed tym z naciskiem wypowiedzianym zdaniem: „Cokolwiek by się stało, należy dostarczyć więźnia!” Jednak wysłano go do Le Pas z wyraźną intencją, by prośba, czy też rada w nim zawarta, stanowiła końcowy czynnik, nie dający się przekreślić żadnym już pytaniem czy odpowiedzią. Co to miało znaczyć? Filip próżno łamał sobie głowę, spieszenie dążąc — poprzez gęstniejący mrok arktycznej nocy — w stronę jedynej zajazdu.

Raptem stanął w odległości mniej więcej stu jardów od oświetlonych okien drewnianej sadyby i zachichotał półgłosem. Zrozumiał teraz, dlaczego inspektor jemu właśnie, a nie któremuś z prostych szeregowców poruczył tę dziwną misję. MacGregor słusznie osądził, że on, Filip Steele, człowiek wykształcony i inteligent, postara się sam rozwikłać zagadkę, podczas gdy sierżant Moody lub jemu podobni bez wahania wróciliby z powrotem, żądając określonych wyjaśnień. Otóż inspektor MacGregor, stary służbista, uznany za najlepszego z łapaczy ludzi w tych stronach — najwidoczniej nie życzył sobie dalszych rozmów. Filip uczył nerwowy wstrząs na myśl, co za szalone ryzyko inspektor popełnia. Wystarczyłoby mu zrobić użytek z trzymanej w ręku kartki — a zwierchnika czekała bezwzględna niełaska, dymisja, kto wie — może nawet co gorszego.

Wsunął list do kieszeni i ruszył dalej. Osada jaśniała gmatwaniną bledszych i silniejszych świateł. Znad łożyska zamarzłej rzeki dolatywał „zakatarzony” śpiew fonografu, stanowiącego atrakcję chińskiej spelunki, oraz dobiegało wycie psa, biorącego razy od pana lub też może pokaleczonego w pojedynku. Pośród jedynej ulicy, lśniącej czerwienią latarni na tle mrocznej ściany

boru — pijany Metys, na pół po francusku, na pół w narzeczu cree, wywrzaskiwał refren *Pieśni Karibu*.

Filip usłyszał ostry trzask bata, krótkie, urwane szczeknięcie wilczurów i rozpedzony zaprzęg minął go tak blisko, że musiał uskoczyć w bok, by nie upaść. To było Le Pas, wrota dziczy! Poza srebrną wstęgą rzeki, leniwie śniącej swój zimowy sen — leżała bezkresna pustka; kraj tajemniczy i romantyczny, ziemia kopnych śniegów, wielkich borów, milczących ludzi, trudu i znoju, gdzie podług prawa natury brał górę silniejszy. I Filip Steele, oddalony o tysiące mil od rodziny i przyjaciół, uczył raptem w żyłach szalony war czerwonej krwi a dech swobody w płucach, gdy tak stał i patrzył w oblicze wielkiej, nieznannej przygody.

Ponieważ przespał obiad kolejarzy, był głodny jak wilk, toteż bez zwłoki zasiadł w ciepłym kącie wielkiej izby o niskim, belkowanym pułapie, pełniącej funkcje jadalni. Zaledwie zajął miejsce przy stole, otwarły się drzwi i weszła nowa postać. Steele, dla zabicia czasu, wyjął właśnie z kieszeni oba listy MacGregora, lecz słysząc kroki, podniósł głowę znad kart. Była to kobieta. Na jego widok skrzyła gwałtownie i siadła przy najdalszym stole, obrócona do niego w ten sposób, że widział jedynie częściowo jej profil.

Starczyło tego, by poznać, że jest młoda i ładna. Na głowie miała srebrzysty rysi kołpaczek, spod którego wyglądały loki miedzianych włosów, lśniąć w świetle lampy. Ciężki zwój warkocza leżał nisko na karku. Filip spoglądał na nią badawczo, lecz nie zwróciła się ani razu w jego stronę, toteż widział jedynie delikatnie zabarwiony policzek oraz śliczną bródkę, kryjącą się zresztą czasami w puszystym kołnierzu z rysiego futra.

Pomimo głodu jadł kolację niemal mechanicznie, był bowiem całkowicie pochłonięty nie rozwiązaniem jeszcze problemem. Czasami zresztą przerywał tok myśli, by spojrzeć na nieznaną. Raz doznał wrażenia, że i ona mu się przygląda, tylko że odwróciła głowę z chwilą, gdy podniósł na nią oczy. Filip lubił ładne kobiety, a ponad wszystko wielbił piękne włosy, dlatego coraz częściej patrzył na ich lśniący węzeł pomiędzy siwymi futrami. Skończył już prawie posiłek, gdy ruch przy tamtym stole zwrócił jego uwagę. Spojrzał i serce zabiło mu gwałtownie. Kobieta wstała właśnie. Patrzyła na niego, a gdy oczy ich się spotkały, poruszyła wargami, jakby chcąc przemówić. W tej chwili poznał ją.

Była to twarz z fotografii MacGregora, nieco starsza tylko i jeszcze bardziej urocza. Ten sam delikatny owal policzków i te same oczy, jedynie zamiast dziewczęcej beztroski, widniał w nich teraz skupiony smutek. Patetyczne drżenie warg i wyraz źrenic wstrząsnęły sercem Filipa. W następnej chwili gotów był przemówić pierwszy, lecz ona zawróciła raptownie i podeszła do drzwi. W progu przystanąła na moment. Mignęła mu znów słodka twarzyczka, rozdygotane usta i błagalne oczy, aż doznał wrażenia, że pani Thorpe wie o jego misji i zawczasu żebrze zmiłowania.

Odepchnął krzesło, rzucił na stół pieniądze, porwał z wieszaka czapkę i skoczył w ślad za nią. Zdążył jeszcze dostrzec ją po raz wtóry w chwili, gdy mijała zewnętrzne drzwi. Potem znikła w mroku. Steele bez wahania ustalił dalszy plan. Chciał ją dopędzić, przedstawić się i zadać parę pytań, mogących wyświecić tajemnicę pisma MacGregora.

Gdy podjął pościg, kobieta szła już szybko środkiem ulicy. Raptem skrzyła w bok, na wąską dróżkę wiodącą ku rzece. Miasto się skończyło. Dalej widniał tylko czarny szaniec boru; w górze błyszczały gwiazdy. Filip uczył w żyłach silniejszy war krwi. Zrozumiał, że kobieta wie, iż on podąża jej śladem i umyślnie zabrnęła w to pustkowie, by móc z nim pomówić bez świadków. Toteż nie usiłował jej dognać, lecz utrzymywał wciąż jednaki dystans, pogwizdując niedbale pewien, że w odpowiedniej chwili sama stanie. Na przedzie zamajaczyła raptem kępa młodych sosen i pani Thorpe znikła w gęstym cieniu.

Filip uczynił jeszcze kilkanaście kroków i znalazł się również w zupełnej ciemności. Słyszał przed sobą cichy chrzęst śniegu, kraszonego lekką stopą. Potem odróżnił nowy dźwięk, tym razem płynący z tyłu. Zaszleściły gałęzie, trzasnął chrust pod czyimiś butami, ktoś syknął krótko i, nim Steele zdołał sięgnąć po rewolwer, jakiś człowiek wpadł nań z boku, inny doskoczył z drugiej strony i Filip runął na ziemię jak wór. Mocarne dłonie wykręciły mu ramiona na plecy; żelazne palce wtłoczyły do ust knebel. Szybko a zręcznie skrępowano mu nogi rzemieniem i dopiero gdy nie mógł wykonać najmniejszego ruchu ani wydać głosu, ciężkie ciała napastników zsunęły się z jego barków.

Podczas krótkiego zmagania nie padło żadne słowo. I teraz również zachowano absolutne milczenie; natomiast dwaj mężczyźni wzięli jeńca między siebie i ponieśli go śladami kobiety. Zaledwie w odległości stu stóp od gęstwiny zaczerniały zarysy niewielkiej chaty. Filipa wniesiono do wnętrza i umieszczono na podłodze.

Dopiero teraz Steele mógł się przyjrzeć ludziom, których był więźniem. Jeden, starszy człowiek, robił niemal wrażenie olbrzyma: miał długie, siwe włosy, opadające mu na ramiona i również siwą, zmierzwioną brodę. Jego towarzysz wyglądał na młodzieniaszka, lecz w ruchach zdradzał iście kocią prężność i Filip poznał natychmiast, że ten gołowąs posiada niezwykłą siłę. Z wymówionych szeptem słów wywnioskował łatwo, iż ci dwaj to ojciec i syn.

Mężczyźni wywlekli z kąta izby długą jodłową skrzynię i byli właśnie pochyleni nad nią, gdy drzwi się otwarły i wszedł ktoś trzeci. Nowo przybyły robił przykre wrażenie, a w jego małych, czarnych ślepkach, skoro pochylił się nad więźniem, zalśnił ogień triumfu. Był to człowiek małego wzrostu, za to bary miał szerokie jak piec. Powieki, nos i usta zdały się tonać pod zbędnymi fałdami skóry. Po chwili odwrócił się od Filipa i trzasnął w palce.

— Ho, ho! — zaskrzeczał głosem, zdławionym astmą. — Ho, ho! — powtórzył, płosząc ciszę panującą w chacie.

Tymczasem skrzynię dociągnięto bliżej ku światłu i Filip uczył nagły przyptyw śmiertelnej grozy. Była to bowiem prymitywnie sklecona trumna. Milcząc, jak gdyby z dawna świadomi biegu dalszych spraw, trzech mężczyzn unieśli go z podłogi i ułożyli wewnątrz. Ku swemu największemu zdumieniu Filip zauważył, iż spoczywa na czymś miękkim. Teraz powoli i ostrożnie rozwiązano mu ręce, skrępowane na plecach, i umocowano je natychmiast wzdłuż ciała. Potem przeciągnięto parę rzemieni od brzegu do brzegu trumny, przyciskając go w ten sposób do jej dna. Zdawali się obawiać, że więzień wyleci przez wierzch. Jeszcze chwila i Filipa ogarnął głęboki mrok.

Trumnę przykryto wiekiem! Steele usłyszał śpieszny stukot młotków, wbijających gwoździe. Natężył mięśnie do ostatnich granic, usiłując odzyskać swobodę ruchów lub chociaż krzyknąć, lecz więzy i knebel nie ustąpiły ani na cal. Po pewnym czasie osłabł tak dalece, że leżał jak martwy, z trudem łapiąc oddech. Działały jednak słuch i powonienie, oraz częściowo wzrok. Ułowił więc zdławione szepty, a poprzez deski raz i drugi błysnęło światło. Zauważył wówczas, że w ścianach i wieku przewiercono parę drobnych otworów. To odkrycie sprawiło mu ulgę. Przynajmniej nie umrze z braku powietrza. Gdy tak rozważał coraz spokojniej, doznał raptem szczerego zdumienia. Nie tylko bowiem spoczywał na miękkim posłaniu, lecz miał pod głową poduszkę.

ROZDZIAŁ VII

PRZEZ SZPARĘ TRUMNY

W chwilę później Filip usłyszał ciężkie kroki oraz skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi — po czym zapadła cisza. Ciekaw był teraz, czy MacGregor, dając mu wiadome zlecenie, przewidział podobną okoliczność? Gzy myślał choćby o takiej lub innej pułapce? W każdym razie dał się schwytać jak pierwszy lepszy niedołęga; rozumiał to i ogarniała go dzika pasja.

Ostatecznie jednak gra nie była skończona i mogło zajść wiele nieprzewidzianych rzeczy. Pocięsział się tą myślą, konstatuując jednocześnie, że napastnicy nie pozbawili go broni. Pochwa z rewolwerem, leżała wraz z nim w trumnie, jak również pas z nabojami; jedno i drugie zdjęto zeń wyraźnie tylko dla jego własnej wygody. Co to miało znaczyć? Po raz setny zadawał sobie pytanie, nie umiejąc znaleźć na nie odpowiedzi.

Odgłos powracających kroków przerwał tok myśli. Drzwi izby otwarły się z trzaskiem i weszło paru ludzi, rozmawiających przyciszonymi głosami.

Steele wyteżył słuch. Zdało mu się, że ułowił słodkie brzmienie kobiecego szeptu, lecz w każdym razie dźwięk ten już się nie powtórzył. Natomiast silne ręce ujęły trumnę, wlekły ją chwilę po podłodze, wreszcie uniosły nieco, a po paru sekundach ostrożnie złożyły na czymś niskim. Steele zrozumiał wnet, co zaszło i zdziwienie jego wzrosło jeszcze bardziej.

Leżał na sankach. Poprzez szpary więzienia słyszał skrzyp rzemieni, wiążących trumnę do podwozia, niespokojne dreptanie psów, głuchy skowyt, metaliczne kłapanie szczęk. Potem sanie ruszyły z wolna. Głośno trzasnął bicz, huknął męski głos i psy pobiegły truchtem. O jego uszy obił się ponownie zasapany skrzek fonografu. Poruszył głową i stwierdził, że może patrzeć przez jeden z otworów wywierconych w ścianie skrzyni. Sanie skręciły z bocznej drożynki w ulicę i stanęły wreszcie przed rzeświście oświetlonym podjazdem domu, z którego bił wielogłosy wrzask, ochryply śmiech i pijackie pieśni.

Jeden z mężczyzn wszedł do baru, podczas gdy drugi, siadłszy na saniach, bujał nogą tuż przed nosem Filipa, zasłaniając w ten sposób widok.

— Dokąd to, Fingy? — spytał ktoś.

— Do Wekusko! — odparł siedzący na saniach, i Steele poznał natychmiast chrapliwy, astmatyczny głos mówiącego. Był to ów człowiek, który ostatni wszedł do izby.

— Nowy umarlak, co? — podtrzymywał pierwszy rozmowę.

— Nie. Mapy i przyrządy dla inżyniera Hodgesa. Śpieszno mu widać, bo kazał nam drałować nocą. Powiedzcie, proszę, koledze, żeby się pośpieszył z tą flachą.

Tu raz i drugi trzasnął z bicza, mitygując zdenerwowane psy.

Zatem wiozą mnie do Wekusko i do tego samego Hodgesa, którego Thorpe usiłował zabić! zdumiał się Filip. Byłby głośno krzyknął te słowa, gdyby nie knebel.

Nateżył słuch, chciwy dalszych informacji. Lecz rozmowa snąc się skończyła, a wkrótce drab o imieniu Fingy zeskoczył z pudła, świsnął batem, rzucił ostrą komendę pod adresem sfory i sanie ruszyły z miejsca.

W ciągu następnej półgodziny, podczas gdy płozy wytrwale sunęły po gładko ubitym szlaku, coraz dalej na północ, Filip, nic już nie rozumiejąc, łamał głowę nad rozwiązaniem zagadki. Miał absolutną pewność, że piękna nieznajoma rozmyślnie zwabiła go w zasadzkę. Zatem był przede wszystkim jej jeńcem. Po cóż, u licha, wlecze go w prezencje temu, którego jej mąż chciał

zamordować? Toż on i tak jechał do Wekusko! Chyba że Fingy kłamał, mówiąc o celu podróży!

Im dłużej myślał, tym ciemniej przedstawiała się cała sprawa. Sprzeczne rozkazy, nerwowe zachowanie MacGregora, patetyczny wyraz oczu młodej kobiety, porwanie i wreszcie niezwykła jazda w trumnie — wszystko razem tworzyło splot dziwnych wydarzeń, na pozór nie dających się rozwikłać. Natomiast był już pewien jednej rzeczy: jeśli istotnie wiozą go do inżyniera Hodgesa, w takim razie w ciągu dwóch godzin najdalej przybędą do Wekusko. Ostatecznie nawet podróż nie była ani zbyt niewygodna, ani zbyt męcząca.

Przestał się już dla siebie obawiać bezpośredniego niebezpieczeństwa. Najwidoczniej, na razie przynajmniej, jego życiu nic nie zagrażało. Nie życiono mu też źle. Miękkie posłanie oraz poduszka pod głową były tego dostatecznym dowodem. Uprzytomnił sobie również, że w zasadzie nie doznał żadnych obrażeń, nawet sińców, i że po uwięzieniu nie lżono go ani nie poniewierano nim.

Przyszło mu raptem na myśl, że w sprawę tę jest wplątany Bucky Nome. Odrzucił jednak wnet to przypuszczenie. Buck nie cackałby się z jeńcem, ani nie poleciliby współpracownikom darzyć go jakimikolwiek względami. Przeciwnie, jak najdobitniej okazałby dawnemu koledze swą nienawiść i wściekłość.

Od postaci Nome'a myśl Steele'a przeszła na panią Becker, mimo woli bowiem łączył nieraz tych dwoje. Potem wspominał inną kobietę, panią Thorpe, i porównał obie. Pani Thorpe walczyła o wolność męża; co do Izy, to on znów walczył o nią, by ją dla męża zachować. Z bólem i wstydem myślał, jak bardzo wierną, kochającą i uczciwą jest żona zbrodniarza i jak nędznie wygląda, w zestawieniu z tym samozaparciem, flirt pani pułkownikowej. Obie miały dziewczęce rysy i anielską czystość wejrzenia, jednak dzieliła je nieprzebyta przepaść. Wszelkie porównanie wypadało na niekorzyść Izy.

Ogarnął go tak ciężki pesymizm, że chcąc się jakoś rozerwać, odwrócił głowę i spojrzał przez otwór w ścianie trumny.

Księżyc już wzeszedł i na polanach i porębach białął puszysty śnieg; częściej jednak wzrok tonął w czarnej gęstwinie leśnego podszycia lub w kolumnadzie wysokich sosen. Niespełna dwie godziny upłynęły od wyjazdu z Le Pas, gdy sanie ponownie stanęły i Filip zobaczył w pobliżu rzadko rozsiane światełka. To już chyba Wekusko! pomyślał.

Opodał zabrzmiał naraz ostry głos męski.

— Czy to ty, Fingy? — pytał ktoś. — Cóżżeś, u licha, przywiózł?

— Pańskie mapy i przyrzady, panie inżynierze! — odparł Fingy chrapliwie. — Jutro mam cały dzień zajęty, więc wolałem przybyć nocą!

Filip usłyszał trzask zamykanych drzwi i tuż obok zachrzęścił śnieg.

— Klnę się Bogiem! — krzyknął naraz Hodges. — Oślepiłem chyba! Gadaj, draniu, co to jest?

— Trumna, panie inżynierze! Do innej skrzyni mapy i przyrzady nie chciały się zmieścić. A to pudło stało bez użytku od czasu, gdy przewieźliśmy w nim biedaka MacVee. Pomyślałem też, że przyda się raczej tu na miejscu

Hodges odburknął coś niezrozumiale, po chwili zaś Filip uczył, że go niosą. Wiedział, że wraz ze swym dziwnym więzieniem wędruje po paru schodach, potem przeciska się przez drzwi i wreszcie, tak raptownie, że aż się zdziwił, zmienia pozycję leżącą na stojącą.

— Ależ nie tak! — warknął Hodges. Głos miał przykry i poirytowany. — Połóżże to pudło na ziemi, w kącie!

— Ani myślę! — zaprotestował Fingy zjadliwie. — Nie jestem tchórzem, panie inżynierze, i nie boję się przywidzeń, ale umarlakom należy się pewien szacunek, a ich mieszkaniom — także! O, tu jeszcze sterczy karta, przypięta w dniu transportu MacVee. Proszę przeczytać: „Uwaga. Z tej strony

głowa. Trzymać wyżej." Tak też i postawię, jak mi Bóg miły, a pan niech dalej kręci na własną odpowiedzialność. Jeszcze by mi jaki duch łeb urwał!

Zatarł ręce, zachichotał i przesunął dłonią po deskach skrzyni.

— A tę kartę to ja już zdejmę, panie Hodges. Po kiego licha tu sterczy! Toć trup dawno zabrany!

W chwilę później Steele krzyknąłby głośno, gdyby nie knebel. Fingy zerwał kartkę i w oczy więźnia uderzył promień światła. Właśnie na odpowiednim poziomie wycięto wąską szparę; znać było z zewnątrz świeżo piłowane drzewo. Filip mógł teraz objąć wzrokiem znaczną część pokoju. Siwobrody olbrzym, który wypadł nań z zasadzki, stał w progu, najwidoczniej gotów do odejścia. Fingy wiercił się obok. Przed nimi tkwił Hodges, postawą i wyrazem twarzy dając do zrozumienia, że im prędzej się wyniosą, tym będzie lepiej.

Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, inżynier podszedł do stołu stojącego pośrodku pokoju. Filip zauważył natychmiast, że Hodges jest czerwony jak rak, i działa pod wpływem silnego podniecenia. Siadł na moment, przerzucił bezmyślnie stos papierów, porwał się znów na nogi, spojrzął na zegarek, wreszcie począł biegać po pokoju tam i z powrotem.

— Więc jednak przyjdzie! — mruzczał radośnie. — Nareszcie przyjdzie!

Znów popatrzał na zegarek, poprawił krawat przed lusterkiem — i chichocząc — zatarł ręce.

— Skapitulowała moja chłodna piękność! — ciągnął dalej. — A już pora, pora!

Ktoś leciutko zakołatał do drzwi i. Hodges pośpieszył otworzyć. Weszła kobieta. Filip poznał ją od pierwszego wejrzenia. Pani Thorpe! Stała na moment i spoglądała mu prosto w oczy. Tak, był pewien, że patrzy właśnie na niego! Była to ta sama słodka twarz, uśmiechnięta na fotografii MacGregora, smutna w zajeździe Le Pas — teraz śmiertelnie blada i pełna grozy.

Hodges postąpił ku niej, wyciągając ręce. Odwróciła się szybko z tłumionym jękiem bólu czy też obrzydzenia. Lecz on zachodził już z drugiej strony, rozpromieniony i natrętny. Więc stawiała mu czoło, mówiąc prędko, błagalnie zarazem i rozkazująco:

— Proszę, niech pan siada! Muszę z panem pomówić! I... proszę uważnie słuchać!

Wskazywała dłonią krzesło poza stołem. Serce Filipa biło jak młot. Oczy kobiety znów szukały jego oczu poprzez szparę trumny. Był pewien, że owo — proszę uważnie słuchać! — przeznaczyła jedynie dla niego.

— Niech pan siada! — powtórzyła ostrzej, gdy Hodges wahał się jeszcze. — Tak, a ja zajmę miejsce tu! I proszę mnie teraz nie dotykać! Nim... nim panu pozwolę, chcę coś powiedzieć! Muszę powiedzieć wszystko od początku i proszę słuchać!

Ostatnie słowa wymówiła ze szczególnym naciskiem i Filip znów zrozumiał, że przeznaczone są dla niego.

Usiedli oboje, przy czym kobieta miała twarz zwróconą w kierunku Steele'a. Zrzuciła ciężkie futro i zdjęła rysi kołpaczek, tak że światło dużej wiszącej lampy rozgorzało raptem w bogactwie miedzianych splotów, podkreślając jeszcze bardziej nagłą bladość lic kobiety.

— Musimy się wreszcie porozumieć! — zaczęła wpijając oczy w twarz inżyniera. — Dla ocalenia mego męża z radością dałabym życie! Lecz pan żąda czegoś więcej! Nim na to przystanę, muszę być pewna zapłaty!

Hodges raźnie przechylił się przez stół, jak gdyby chcąc mówić, lecz ona przerwała mu stanowczym gestem.

— Proszę słuchać! — krzyknęła po raz trzeci, a na policzki trysnął jej krwawy rumieniec. — To przecież pan namówił go do przyjęcia posady w Wekusko, gdy nasz domek w Marion spłonął. Zaproponował mi pan posadę, a on przyjął, wierząc w łączącą was przyjaźń. Ufał panu i wtedy gdy ja już wiedziałam, że jesteś zdrajca, sprzedawczyk, że chcesz nas oboje pohańbić. Nie usłuchał, gdy

błagałam, by stąd wyjechać, a nie chciałam przecież mówić otwarcie, co wiem i czego się domyślam. On panu wierzył! On gotów był za pana krew przelać! A pan, pan...

W podnieceniu ścisnęła palcami krawędź stołu. Zdyszana, umilkła. Lecz po sekundzie wytchnienia ciągnęła dalej:

— A pan... pan pełzał za mną, niby wąż, kusząc i grożąc! Pan obrzydzał mi życie, gdyż nie śmiałam mężowi wyjawiać prawdy. Milczałam więc, aż do dnia, gdy pan wdarł się do naszej chaty, wiedząc, że jestem sama, objął mnie, całował i usiłował zgwałcić! Wyznałam mu wszystko po powrocie. Wówczas skoczył, by pana zabić, Judaszu, i zabiłby, gdyby go ludzie nie oderwali. O Boże, toż przez to samo kocham go więcej! Tylko zrobiłam głupstwo! Powinnam była sama pana zabić!

Urwała i oddychała nerwowo, łkając prawie. Hodges skoczył nagle z miejsca i okrążył stół, wyciągając ręce, uśmiechnięty lubieżnie, czerwony, straszny. Lecz ona porwała się na nogi jeszcze szybciej i Filip widział, jak stawia mu czoło rozgorączkowana, nieulekła, z oczyma pełnymi błyskawic.

— Jesteś... jesteś śliczna! — charczał inżynier.

Chciała się cofnąć i nie zdążyła. Z krzykiem zwierzęcego triumfu Hodges porwał ją w ramiona. W żyłach Filipa krew zapłonęła niby lawa. Widział twarz kobiety, tym razem pełną śmiertelnej grozy, męczeńską niemal; widział jak walczy, chcąc się wyrwać z nienawistnych objęć; słyszał zdławiony krzyk bólu. Uczynił szalony wysiłek, usiłując stargać więzy lub choćby — krzyknąć. Pudło zachwiało się tak gwałtownie, że omal nie runęło na ziemię. Lecz rzemienie nie puściły. Zziębnięty, spocony, bezwładny, Filip patrzył.

Włosy kobiety rozplotły się w szamotaninie i lśniąca fala spłynęła niemal do ziemi. Oburącz odpychała od siebie plugawą twarz inżyniera. Potem prawa dłoń spelzła ku piersi i jednocześnie niemal huknęła głuchy strzał. Hodges zachrypnął, zatoczył się i runął na wznak.

Kobieta zeszywniała naraz i niby zdziwiona własnym czynem, trwała chwilę bez ruchu, z dymiącym rewolwerem w ręku, patrząc na martwy kształt ludzki. Potem z wolna, jak winowajca na sędziego, spojrzała na więzienie Filipa. Rewolwer wypadł jej z ręki na podłogę. Przetarła dłonią czoło, zrobiła parę kroków, wzięła z kąta mały toporek i poczęła odbijać trumnę. Gdy wieko odpadło, była już zupełnie opanowana i spokojna, a z nich dwojga Filip był może nawet bledszy i miał bardziej zmienione rysy. Zręcznie wyjęła mu knebel, rozwiązała rzemienie na nogach i rękach, wreszcie cofnęła się o krok i — cisnąc dłonie do piersi — czekała, by Steele opuścił swe więzienie.

Filip odruchowo przykląkł obok inżyniera. Pochylił głowę, nasłuchując, i ostrożnie wsunął dłoń pod kurtkę. Potem pod niósł oczy. Kobieta nie ruszyła się z miejsca i patrzyła nań spokojnie.

— Umarł! — rzekł Steele głucho.

— Tak, bracie, umarł!

Słowa te wymówiła niemal szeptem. Steele spojrzał na nią, nie rozumiejąc. Położyła mu na ramieniu drobną, trochę drżącą rękę.

— Proszę sobie wyobrazić na chwilę... — wymówiła z trudem — że jestem pana siostrą lub żoną i pomyśleć o tym, co zaszło jako mój mąż lub brat!

Słodycz jej głosu i głębia oczu przypomniały mu Iżę. Toż mało brakło, a on sam byłby zastrzelił człowieka, za wiele mniejszą obrazę. Toż gdyby pułkownik Becker w podobnej sytuacji palnął w łeb Bucky Nome'a, Filip Steele przyklasnąłby temu! A to biedactwo zabiło, ratując własną cześć i mszcząc niedolę ukochanego męża!

Jego żona lub siostra! Czy jako mąż lub brat nie pochwaliłby podobnego uczynku? Czy przeciwnie, nie zganiłby kobiety, postępującej inaczej, stawiającej życie uwodziciela wyżej niż

własny honor?

Wstał, czyniąc szalony wysiłek dla zachowania surowego wyrazu twarzy. W gruncie rzeczy sprawiedliwości stało się zadość, lecz prawo, którego był przedstawicielem, miało w takich razach inny pogląd.

— Teraz rozumiem! — rzekł. — Pani sprowadziła mnie tu trochę bezceremonialnie, żebym się naocznie mógł przekonać, jak rzeczy stoją i złożył ewentualne świadectwo przed sądem. Jednakże...

— O, mój Boże, ależ ja nie chciałam go zabić! — krzyknęła kobieta, uprzedzając dalsze słowa Steele'a. — Myślałam, że jeśli on zdradzi się przed panem, jeśli będzie wiedział, że istnieje świadek jego podłości, że ludzie poznają jego wstrętą grę — przerazi się i wycofa skargę. Mój mąż byłby wolny! Tymczasem teraz...

— Pani go zabiła! — dokończył Filip sucho.

Mówił spokojnie i twardo. Był to głos funkcjonariusza policji, świadomego jedynie swych obowiązków. Kobieta zrozumiała, że nie wzbudzi w nim litości i rozpaczliwym gestem ścisnęła dłońmi skronie. Steele, milcząc, zapiął pas, włożył czapkę i oparł rękę na jej ramieniu.

— Czy pani wie, gdzie trzymają pani męża? — spytał. — Zaprowadzę panią do niego i możecie razem spędzić tę noc!

Rozpogodziła się natychmiast.

— Tak, wiem! — odpowiedziała szybko. — Chodźmy! Wyszli i Steele starannie zamknął za sobą drzwi. Kobieta

powiodła go w kierunku niewielkiej budowli, całkowicie pozbawionej okien, a stojącej mniej więcej o sto jardów od domu inżyniera.

— To tutejsze więzienie — szepnęła cicho.

U drzwi trzymał wartę rosły drab, odziany w niedźwiedzie futro. Przy świetle księżyca rozpoznał mundur Filipa.

— Tu jest rozkaz inspektora — rzekł Steele, podając strażnikowi pismo MacGregora. — Jutro mam zabrać jeńca. Na razie pani Thorpe zostanie przy mężu!

Drzwi więzienia otwały się ciężko i kobieta znikła wewnątrz budynku. Filip, odchodząc, usłyszał jeszcze zdziwiony głos męski, a potem cichutki kobiecy płacz. Wreszcie trzasnął rygiel i znów zapadła cisza.

W pięć minut później Filip ponownie klęczał nad trupem. Wyraz jego twarzy uległ teraz kompletnej zmianie. Miał wypieki i zęby mu błyskały w mściwym uśmiechu, podczas gdy pokrywał ciało kocem. Na ścianie wisiał roboczy strój inżyniera oraz jego ciężki płaszcz. Steele zrzucił szybko mundurową kurtkę i czapkę, a wdział to ubranie. Na głowę nasunął kapelusz Hodgesa. Po czym, zmieniony nie do poznania, wyszedł.

Tym razem podkraść się do więzienia, cicho sunąc wzdłuż ścian. Strażnik przechadzał się pod drzwiami, tak okutany futrem, że nie dosłyszał ostrożnych stąpień Filipa. Gdy w pewnej chwili zawrócił, lufa rewolweru patrzyła mu prosto w oczy.

— Ręce do góry! — syknął Steele. Zdziwiony drab usłuchał bez słowa sprzeciwu.

— Jeśli zawołasz o pomoc lub spróbujesz uciekać, zastrzelę cię na miejscu! — ciągnął Filip niemal szeptem. — Załóż ręce na plecy, tak, w porządku!

Za pomocą rzemienia, z wprawą, nabytą pod kierunkiem sierżanta Moody'ego, skrępował momentalnie ręce strażnika. Potem błyskawicznie wetknął mu w usta knebel. Poprzednio już zapamiętał, w której kieszeni wartownik nosi klucze od aresztu. Odebrał mu je niezwłocznie, usadził człowieka w cieniu chaty, związał mu nogi w kostkach i otworzył drzwi więzienia.

W izbie płonęła lampa i przy jej mdławym blasku zwróciły się na wchodzącego blade twarze

kobiety i mężczyzny. Thorpe leżał na tapczanie; żona jego siedziała obok, ramieniem otaczając szyję męża. W pięknych oczach, zamiast błagalnego wyrazu, świecił teraz wyzywający ognek.

Filip podszedł bliżej, zdjął kapelusz i uśmiechnął się.

Kobieta ze zdławionym okrzykiem skoczyła na równe nogi.

— Tss—ss! — syknął Steele ostrzegawczo, znaczącym ruchem wskazując drzwi za sobą.

Thorpe wstał. Filip stąpił ku niemu, wyciągając rękę. Więzień, nic nie rozumiejąc, podał swoją dłoń. Trwali tak chwilę obaj, Filip — uśmiechnięty przyjaźnie, Thorpe — skamieniały ze zdumienia, gdy raptem poza nimi zadrgało stłumione łkanie. Steele odwrócił się. Kobieta stała w świetle lampy, wyciągając ręce w niemym dziękczynieniu i nigdy, w niczyich oczach Filip nie widział takiego piękna ani takiej wymowy.

Starał się jak mógł, by nie okazać wzruszenia. Jak gdyby nigdy nic, zbliżył się do stołu, na którym leżała ćwiartka papieru i czerniał kałamarz.

— Być może żona nie zdążyła panu jeszcze opowiedzieć zdarzeń dzisiejszej nocy — rzekł do Thorpa. — Jeśli tak, uczyni to później. A teraz, proszę słuchać!

Z kieszeni dobył małą książeczkę i pisał coś szybko.

— Nazywam się Steele, Filip Steele, i jestem szeregowcem w Królewskiej Konnej — tłumaczył krótko. — W Chicago mam ojca, Filipa Egberta Steele'a, bardzo bogatego bankiera. Udacie się do niego tak prędko, jak tylko psy i pociąg zdołają was zawieźć, i wręczycie mu tę kartę. Piszę właśnie, że nazywa się pan Johnson i proszę ojca, by pomógł panu stanąć na nogi. Uczyni to z pewnością! Więc nareszcie skończą się wasze biedy, pana i tej dzielnej, małej kobietki. Rozumie pan, co mówię, Thorpe?

Piszząc, nie patrzył na nich. Teraz podniósł głowę. Kobieta podeszła właśnie do męża i tuliła się do jego piersi. Tło, na którym stali, ich ubiory, wszystko to robiło wrażenie dramatu oglądanego w teatrze, nie zaś dramatycznej rzeczywistości.

— Proszę tylko o jedno! — ciągnął Steele. — Pamiętajcie, że choć tu jestem szeregowcem policji, niczym więcej, w Chicago jestem bogatym człowiekiem. Mówię to wszystko, żebyście nie myśleli, że robię sobie krzywdę. Otóż weźcie tych parę banknotów i czek na tysiąc dolarów. Kiedyś, jeśli będziecie chcieli, zwróćcie mi wszystko z procentem. Ale teraz chwytajcie raz dwa najpotrzebniejsze rzeczy i w drogę. Coś mi się zdaje, że ludzie, którzy przywieźli mnie z Le Pas, nie mogą być daleko. Oczywiście, jutro ruszę za wami w pogoń. Mam jednak wrażenie, że nie dogonię was, o ile pośpieszycie choć trochę!

Wstał i włożył kapelusz, zostawiając na stole czek oraz pieniądze. Kobieta, zataczając się, podeszła ku niemu, gdy mężczyzna tkwił wciąż jeszcze w jednym miejscu, niby urzeczony. Filip do końca życia nie miał zapomnieć wyrazu oczu pani Thorpe.

Uśmiechnął się do niej pocziwie, serdecznie, skinął obojgu głową i — wyszedł.

ROZDZIAŁ VIII

LIST

W chwilę potem Filip, ukryty za węglem, widział jak Thorpe wraz z żoną wybiega z chaty i ginie w mroku nocnym. Przed wyjściem zgasili lampę. Teraz Steele, wróciwszy do swego więźnia, zawlókł go do aresztanckiej izby i zamknął drzwi, zostawiając klucz w zamku od zewnątrz. Wreszcie pośpieszył do domu inżyniera, gdzie, zrzuciwszy pożyczoną odzież, włożył znów mundurową kurtę.

Dopiero teraz, stojąc nad trupem Hodgesa, spojrzawszy raz jeszcze na martwe ciało, objął myślą ogrom własnej winy. Jednak nie czuł strachu ani wyrzutów sumienia; nie żałował niczego. Zgasił światło, usiadł i zakurzył fajkę, po czym jął porządkować w mózgu niedawne fakty.

Jedno było pewne: postąpił zgodnie z radą MacGregora. Poszedł za głosem sumienia. Hodges zapłacił za swą podłość, a dwoje niewinnych ludzi ocalało.

Ale wbrew własnej argumentacji wiedział doskonale, że MacGregor nie przewidział podobnego zakończenia. W oczach prawa, szeregowiec Filip Steele popełnił przestępstwo, pomagając w ucieczce ludziom, którzy, złapani, nie uniknęliby ciężkiej kary. Lecz zbiegów nikt nie schwyta. Steele był tego najzupełniej pewien i uśmiechnął się złośliwie sam do siebie. Któż, w całym Wekusko, odgadnie istotę rzeczy? Strażnik z całą pewnością nie poznał napastnika i będzie przekonany, że obezwładnił go któryś z przyjaciół Thorpa. Co do MacGregora...

Filip zachichotał, myśląc o kompromitującym dokumencie, będącym w jego posiadaniu. Im dłużej rozważał, tym bardziej był pewien, że opublikowanie go znaczyłoby dla inspektora więcej niż niełaskę naczelnych władz, więcej nawet niż dymisję. Toteż z zupełnym spokojem mógł wyjawić zwierzchnikowi całą prawdę, przez ciekawość choćby, dla usłyszenia jego opinii.

Pomimo silnych nerwów czuł, jak zaczyna nań oddziaływać ponura atmosfera śmierci. Mignęła mu w mroku trupia czaszka samobójcy Jeanette'a, piękne oblicze Bucky Nome'a i złana z nim niemal w jedno słodka twarz Izy. Gdyby ona mogła się dowiedzieć o tym dramacie! Gdyby zuchwały dezerterski, włóczący się zapewne kędyś po północnych kniejach, mógł zobaczyć nieruchome ciało inżyniera Hodgesa! Dałoby to im obojgu do myślenia i stanowiłoby przestrożę na przyszłość.

Dobrych parę godzin przesiedział w biurze inżyniera. Przed brzaskiem wymknął się z osady do lasu, a w dzień wrócił otwarcie do Wekusko, oznajmiając spytanym po drodze ludziom, że przybywa z Le Pas, gdzie spędził noc. Potem zabrał się do śniadania w małej knajpie, tak że dopiero po upływie godziny wykryto mord Hodgesa, ucieczkę więźnia wraz z żoną i rozbrojenie wartownika. Ten, uwolniony z więzów, beładem zeznań znakomicie pogmatwał sprawę. Filip natychmiast wziął śledztwo w swoje ręce i skompromitował się dobrowolnie, oświadczając; wszem i wobec, że zbiegowie mogli ruszyć tylko na północ. Przed południem jeszcze podążył za nimi w pogoń. W odległości dwunastu mil od osady skręcił pod kątem prostym na zachód, przemierzył piętnaście mil i zwrócił się na południe. Dopiero po upływie trzech dni dotarł do Le Pas, gdzie dowiedział się natychmiast, że nikt nie widział państwa Thorpe ani nie słyszał o nich. Dwa dni jeszcze przeważał się po mieście, niby to gromadząc dane, aż ostatecznie udał się do biura inspektora. MacGregor skoczył na jego spotkanie.

— Schwytałeś ich, Steele! — wykrzyknął. — Schwytałeś ich, po zamor... po zabiciu Hodgesa!

Filip obejrzał się na drzwi — stwierdził, że są szczelnie zamknięte i podał zwierzchnikowi zmiętą kartkę papieru.

— Oto są ostatnie pańskie instrukcje! — rzekł spokojnie. — Wykonałem je jak najdokładniej.

MacGregor przeczytał i zbladł.

— Mój Boże!... — szepnął.

Cofnął się do biurka tak chwiejnie, jakby miał lada moment zemdleć, padł na krzesło i zakrył twarz rękami. Barki mu drżały, niby ramiona płaczącego chłopca. Milczał, a Filip, zgięty tak, że ustami dotykał niemal jego ucha, opowiedział wszystko, co zaszło w Wekusko. Pomiął jedynie sprawę pieniężnego wsparcia zbiegów.

Gdy skończył mówić, MacGregor — Filipie! — rzekł, oburącz ujmując wolno uniósł głowę, dłoń Steele'a. — Kochałem się w niej, gdy była małą dziewczynką, a ja dwudziestopięcioletnim dryblasem. To była moja jedyna miłość — po dziś dzień... Rozumiesz? Mógłbym prawie być jej ojcem, taka jest między nami różnica wieku. Ona nigdy nie miała dla mnie żywszego uczucia, za to ja... Gdy przyszła wówczas prosić o ratunek dla męża, omal nie zmiękłem. Wydała mi się taka... taka urocza, że miałem wrażenie, iż nikt nie potrafi się jej oprzeć! Dlatego wybrałem ciebie i przestrzegłem...

Zamilkł. Walczył z ogarniającym go wzruszeniem.

— A jednak ustąpił pan wreszcie! — rzekł Filip. Inspektor patrzył nań chwilę, jakby nie rozumiejąc. Wreszcie przecząco ruszył głową.

— Nie, tylko... Zresztą, wyjaśnię od początku. To było dziesięć lat temu, gdy skończyła lat siedemnaście. Podarowałem jej wtedy ozdobny album i na pierwszej jego stronie wypisałem te dwa zdania, na pamiątkę. Czy rozumiesz? To był jej ostatni atut i trzeba przyznać, użyła go po mistrzowsku!

Uśmiechnął się blado i dodał półgłosem, do siebie raczej mówiąc niż do Steele'a.

— Dzielna z niej dziewczuszka! Niechże ją Bóg strzeże i prowadzi!

Filip patrzył na szpakowatą głowę, ponownie schyloną nad biurkiem. Miękkim ruchem oparł dłoń na ramieniu zwierzchnika.

— Niechże ją Bóg strzeże i prowadzi! — powtórzył jak echo.

Chwilę milczeli obaj; potem Filip rzekł:

— Mnie też ciężko na świecie! Pytał pan, czy jestem odporny na piękno? Odpowiedziałem szczerze, że tak. Istnieje słodka twarz i piękne oczy, które podpiły moje serce. I ta kobieta należy do innego. Nigdy nie będzie moją. Dlatego też urok innych kobiet nie działa na mnie. A przynajmniej ta, o której pan myśli, ma wielką duszę...

MacGregor wyciągnął rękę i po omacku odnalazł dłoń Filipa. Mocny, męski uścisk zespolił ich paktem przyjaźni. Tego dnia nie rozmawiali więcej i Filip znalazł się wkrótce w swej koszarowej izdebce, gdzie zasiadł do pisania listów. Najpierw pod adresem ojca wysłał parę słów do Thorpe'a. Potem załatwiał dalszą korespondencję. Przed wieczorem zjawił się sierżant Moody, roznoszący pocztę.

— List do ciebie, Fil! — rzekł, rzucając kopertę na stół. — A zmiętoszony, a wytarty, jakby wędrował przez ogień i wodę!

Wyszedł, a Filip wziął list do ręki. Pióro wypadło mu raptem z palców i gwizdnął przez zęby. Moody miał rację. Koperta wyglądała jak wyjęta psu z gardła: brudna, wygnieciona, naddarta po rogach, lecz u góry, podkreślone, widniało miejsce wysłania — Lac Bain.

Ręce Filipa drżały, gdy rozcinał kopertę. Wygładził arkusz papieru i czytał. Wtem pobladł silnie i aż krzyknął ze zdumienia. Na policzki wybił mu rumieniec, zalewając całą twarz. Chwilami litery skakały przed oczyma, że widział słowa jak przez mgłę. Serce podchodziło do gardła.

Oto jaka była treść listu:

Drogi panie Filipie!

Dziś Breedy wręczył Izie list pana i paczkę. Dzięki Bogu przypadkowo wszedłem do jej pokoju w chwilę później, inaczej, strach pomyśleć, co by się z nią mogło stać. W każdym razie była to okropna kara dla nas obojga. Lecz ja zawiniłem bardziej niż ona. Tej nocy, gdy Iza zasłała, prosiła mnie zaraz, bym panu wszystko wytłumaczył. Ale zanim wróciłem do jadalni, pan już znikł. Czekałem długi czas; potem udałem się do pana mieszkania. Nie znalazłem tam nikogo. A chciałem właśnie panu powiedzieć, że Iza nie jest moją żoną, tylko córką!

Pani Becker towarzyszyła mi do fortu Churchilla z zamiarem podróży do Lac Bain i w tym duchu napisaliśmy do agenta. Tymczasem plany uległy pewnej zmianie. Pani Becker wróciła do Londynu, a ze mną przyjechała Iza. Dla zabawy chciała pierwszych parę godzin uchodzić za moją żonę. Był to żart, który zaprowadził nas zbyt daleko. Gdy spotkaliśmy pana, a potem Bucky Nome'a, z żartu wynikła niemal tragedia.

Zresztą Iza poznała się na tym ptaszku i jeszcze przed nadejściem pana szepnęła mi na ucho, że to łajdak. O panu wyrażała się zawsze z największym uznaniem. A dopiero, gdy zobaczyła, jak pan reaguje na jej flirt zrozumiała, że robi straszne głupstwo.

Pan wie, co zaszło potem. Uciekła od stołu, tak jej było wstyd i żal. Gdy oznajmiłem później, że pan znikł i nie mogę pana znaleźć, nie dała się pocieszyć. Płakała całą noc. Opowiadam to panu szczerze, gdyż nie chcę, żeby pan fałszywie sądził moją Izę. To takie dobre i uczciwe dziecko!

Żegnam pana serdecznie. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy!

Sylwester Becker.

Filip położył list, potarł dłonią czoło i machinalnie ujął kopertę. Coś wypadło z niej na stół: mały bukietek fiołków, zasuszonych w książce. Chwycił kwiaty drżącymi palcami i spostrzegł, że — owinięty starannie wokół ich łądźek — lśni długi, złocisty włos.

ROZDZIAŁ IX

SIÓDMY BRAT

List, kwiat, złota nić wiążąca zwiędłe łodygi — wszystko to wstrząsnęło Filipem tak dalece, że na chwilę znalazł się po prostu poza nawiasem realnych zagadnień. Jakby piorun weń uderzył. Z błyskawiczną szybkością zniknęły jedne sprawy, a powstały drugie. Na razie próżno usiłował objąć myślą całą zaszłą zmianę. Wiedział jedno, wiedział niezbitcie, jasno, niewątpliwie: kobieta, którą kocha, nie stanowi niczyjej własności. Jest wolna! Zatem wszystko staje się możliwe, proste, dostępne.

List pisał pułkownik. Co do tego nie mogło być dwóch zdań. Lecz kwiaty włożyła ona, śląc tym samym milczące poselstwo. Wspomnienia ogarnęły Filipa, niby fala powodzi. Teraz sam przywoływał wizje, które dawniej pragnął odegnąć. Oglądał więc Izę ponownie w blasku obozowych ognisk i na szlaku, śliczną, słodką, najmiłszą kobietę, o jakiej całe życie marzył!

Wstał i zamknął drzwi, bojąc się, że ktoś mógłby wejść. Pragnął samotności i ciszy. Musiał przecież ostatecznie zrozumieć, co zaszło oraz opanować nerwy i serce. Gdyby Iza do listu ojca dodała po prostu parę obojętnych słów — myślałby nadal, iż dzieli ich przepaść. Ale kwiaty i złota nić znaczyły tyle niemal, co wyznanie.

Długi czas biegał po izbie tam i z powrotem, niby dziki zwierz po ciasnej klatce. Nigdy jeszcze żaden pokój nie przypominał mu tak dalece więziennej celi. Marzył o jednym tylko: wrócić jak najrychlej do Lac Bain, paść do nóg dziewczynie i błagać o przebaczenie za swą podejrzliwość, niewiarę i złość. Chciał jej wyznać wszystko: chęć zamordowania Bucky'ego Nome'a, kradzież szala w chacie Metysa, pesymizm i udrękę wielu dni, a zakończyć tym, że kocha!

Oprzytomniał raptem, słysząc za drzwiami drażniący ucho głos sierżanta Moody. Szybko schował list i kwiaty do kieszeni na piersi i przekręcił klucz w zamku.

Moody wszedł, rozglądając się nieufnie.

— Po kiego czorta zamykasz się na klucz — pytał, badawczo świdrując małymi oczkami rozgorączkowaną twarz Filipa. Boisz się złodziei, he, Fil?

— Głowa mnie boli — odrzekł Filip. — Mam wrażenie, że mój mózg to kamień, który raz po raz łomocze o czaszkę.

Sierżant poklepał go po ramieniu.

— Idź się przejść, Fil — rzekł znacznie łagodniej. — To ci dobrze zrobi. A ja właśnie wpadłem z nowiną. Podobno znaleziono ślady De Bara nad jeziorem La Biche. Ale o tym pomówimy później. Idź, chłopcze, na spacer!

— Dziękuję za dobrą radę — rzekł Filip. — Skorzystam z niej chyba.

Nacisnął czapkę i, opuściwszy koszary, wyszedł na sanny szlak, wiodący poza miasto. Stawiał coraz dłuższe kroki i myślał coraz intensywniej. Wróci do Lac Bain. To nie podlega żadnej kwestii. Nie mogło go teraz nic zatrzymać. Wróci, lecz w jaki sposób? W tym sęk! Przed sobą miał jeszcze trzynaście miesięcy służby. O urlopie nie było co marzyć. Prośba o dymisję, wymagająca stosów oficjalnej korespondencji, mogła być załatwiona najwcześniej w ciągu dwóch, trzech miesięcy. Sieć przeszkód zdawała się wprost nie do przebycia. Przyszło mu na myśl, że wypadnie poinformować o wszystkim inspektora, prosząc o przydział do Lac Bain, lub o jaką natychmiastową misję w tamtym kierunku. MacGregor mógł to uczynić i uczyniłby zapewne. Lecz Filip wolał taić przed ludźmi swoją radość i udrękę. Toteż postanowił użyć tego sposobu w ostateczności.

Raptem stanął. Przypomniały mu się słowa sierżanta Moody'ego: „Podobno znaleziono ślady De Bara, nad jeziorem La Biche.” Olśniła go genialna myśl. Bez zwłoki zawrócił ku miastu.

De Bar znany był wszystkim jako najsprytniejszy przestępca na całej dalekiej północy. Żaden pojedynczy stróż prawa ani też żaden oddział policji nie zdołał go dotychczas ująć. I ten kryminalista przebywał nad jeziorem La Biche, czyli w okolicy fortu Churchilla i faktorii Lac Bain. Gdyby MacGregor powierzył mu misję schwytania De Bara, tym samym zniknęłyby wszelkie trudności. Podobna funkcja powiodłaby go na dłuższy czas na północ, czyli bliżej Izy.

Zaledwie dotarł do koszar, pośpieszył do swej izby, napisał właściwe podanie pod adresem MacGregora i posłał je przez rekruta. Potem niecierpliwie czekał na rezultat tego wystąpienia.

Lecz dopiero następnego ranka Moody przyniósł mu rozkaz stawienia się w biurze inspektora. Steele nie zwlekał ani chwili i już po upływie pięciu minut stał przed obliczem zwierzchnika. MacGregor przywitał Filipa wyciągniętą dłonią; uścisnął mu rękę — aż trzasnęły palce i starannie zamknął drzwi biura. Podanie Filipa leżało na stole; najwidoczniej inspektor czytał je właśnie.

— Pojęcia nie mam, co na to odpowiedzieć! — zaczął, siadając sam i wskazując Filipowi krzesło. — Jeśli mam być szczery, ten projekt ogromnie mi się nie podoba!

— Inaczej mówiąc, pan mi nie ufa! — przerwał Filip.

— Bynajmniej! Chodzi zupełnie o coś innego. Nie znam człowieka, któremu bym ufał bardziej niż tobie, Steele! Lecz gdyby szło o zakład, stawiałbym dziesięć przeciw jednemu, że przegrasz w zapasach z Williamem De Bar!

— A jakbym zakład przyjął! — wtrącił Filip bezczelnie. — Tylko postawiłbym dziesięć na siebie, a jeden na tego rzezimieszka!

MacGregor podkręcił rudego wąsa i uśmiechnął się trochę smutnie.

— Jeśli chodzi o moje zdanie, posłałbym na tę wyprawę raczej dwu ludzi niż jednego! Bynajmniej nie cenię nisko mych podwładnych, gdy twierdzę, że nasz przyjaciel De Bar, wymykający się nam z rąk tak zręcznie od paru lat, jeśli idzie o podstęp i bojową zdolność, wart jest tyle — ilu dwu najlepszych przedstawicieli Królewskiej Konnej. Nie chciałbym wcale polować nań zdany tylko na własne siły. Życzyłbym sobie mieć do pomocy kogoś jeszcze i to nie byle kogo: człowieka o krzepkiej dłoni, nieulękłym sercu, trzeźwym umyśle, który by równie dobrze jak ja znał wszelkie posunięcia tej gry. A tymczasem ty, Steele — tu urwał i zachichotał otwarcie — chcesz tropić go sam jeden! Cóż, mój drogi, to prawie tak, jakbyś prosił o pozwolenie dokonania samobójstwa. Więc, czy nie lepiej, bym wysłał nie tylko ciebie, lecz na przykład także takiego dzielnego, poczciwego chłopca jak Moody!

— Dosyć już miałem tej pracy we dwójkę! — zaperzył się Filip. — Panie inspektorze, przyznaję najzupełniej, że De Bar to niebezpieczny opryszek, tym niemniej gotów jestem go schwycić i odstawić na miejsce przeznaczenia. Da mi pan tę możliwość czy nie?

MacGregor oparł cygaro na krawędzi biurka i pochylił się w stronę Filipa, zaplótłszy przed sobą palce wielkich białych dłoni. Przybierał zawsze tę pozę, ilekroć chciał wyjawić rzeczy ważne, mające się dobrze wryć w pamięć słuchacza.

— Owszem, dam ci tę możliwość — wymówił wolno. — Pozwalam ci ponadto cofnąć swoją prośbę, gdy usłyszysz wszystko, co wiem o Williamie De Bar, znanym jako Siódmy Brat. Powtarzam raz jeszcze, że jeśli wyruszysz sam, istnieje dziesięć szans przeciwko jednej, że go nie schwytasz. Od roku 1899 czterech ludzi polowało na De Bara i żaden nie wrócił. W 1899 poszedł Forbes; w 1902 Baunock; Fleisham w 1904; wreszcie Gresham w 1907. Od czasu wyprawy Greshama straciliśmy z oczu De Bara i, jak wiesz, dopiero przed paru dniami usłyszałem o nim ponownie. Włóczy się kędyś w krainie pustkowi. Wiadomo mi poufnie, że agent z Fond du Lac może dokładnie wskazać miejsce

jego pobytu!

MacGregor rozplótł palce, by wziąć skrawek papieru spomiędzy arkuszy, złożonych na biurku.

— De Bar jest ostatnim z siedmiu braci! — rzekł krótko. — Ojciec jego zginął na szubienicy!

— Ładny początek! — przerwał Steele.

— W tym rzecz! — ciągnął spiesznie MacGregor. — Początek nie był ładny! Szczerze mówiąc, prawo ponosi w tym wypadku odpowiedzialność za cały szereg zbrodni, jak i za kryminalną karierę De Bara. Mówię z tobą szczerze, Steele, jak z nikim innym! Zatem ojciec, jak się rzekło, zginął na szubienicy! No, a w pół roku potem ustalono niezbitcie, że prawo popełniło błąd. Stary De Bar umarł niewinnie, wskutek fałszywego świadectwa osobistych wrogów. Należało uznać winę i w miarę możliwości krzywdę naprawić. Tymczasem stało się odwrotnie. Dwaj spomiędzy fałszywych oskarżycieli trafili co prawda do więzienia, lecz sąd w krótkim czasie ich uwolnił. Raz jeszcze zatem potwierdzono maksymę, iż prawo zazwyczaj nie jest sprawiedliwością. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad detalami tej przykrej sprawy, dość powiedzieć, że w grudniu 1896 roku siedmiu synów De Bara ujęło we własne ręce wymiar sprawiedliwości. Pewnej nocy powiesili trzech nikczemników, winnych śmierci ojca, po czym umknęli na północ!

— Doskonale! — wykrzyknął Filip.

Słowo ty wymknęło mu się z ust bez zastanowienia. Na razie poczerwieniał, lecz potem uśmiechnął się zuchwale i czekał, jak też inspektor przyjmie podobną ocenę.

— Wielu tak myślało w owym czasie! — rzekł MacGregor, badawczo wiercąc wzrokiem twarz Steele'a. — Szczególnie kobiety trzymały stronę siedmiu braci De Bar. Najlepszy dowód, że pierwsi trzej, których schwytano, zostali oskarżeni o zabójstwo w afekcie, nie zaś o morderstwo z premedytacją. Odbyli swoją karę, skróconą o dwa lata za dobre sprawowanie, i ponoć żyją dziś szczęśliwie w Ameryce Południowej. Czwarty, gdy go osaczono w faktorii Moose, popełnił samobójstwo, trzej pozostali zaś poszli złą drogą. Henryk, najstarszy, zamordował sierżanta, który go konwojował do Prince Albert w roku 1899; został później schwytany i powieszony. Paweł, szósty z rzędu, wrócił do rodzinnego miasta po siedmiu latach, bardzo zmieniony i pod przybranym nazwiskiem. Poznano go jednak. Ranił dwu policjantów, gdy chciano go ująć, a w więzieniu zwariował. Przebywa obecnie w domu dla obłąkanych.

MacGregor urwał i przebiegł oczyma nowy arkusz papieru.

— I całą tę ohydę — rzekł Filip półgłosem — wywołał błąd, popełniony przez tak zwaną sprawiedliwość! Czterech powieszonych, jeden obłąd, jedno samobójstwo i trzech ludzi za kratą więzienną — wszystko z powodu zbyt pośpiesznie wydanego wyroku!

— Król jest nieomylny! — oświadczył MacGregor na pół smutnie, na pół ironicznie — i równie nieomylnie jest prawo! Pamiętaj o tym, Steele, jak długo jesteś w policji. Prawo może zrujnować egzystencję niewinnej istoty, zburzyć dach nad głową sprawiedliwego, pchnąć na drogę zbrodni najspokojniejszego z ludzi — a jednak zawsze ma rację! Tak było, jest i będzie! Przed tym aksjomatem należy tylko chylić głowę. Prawo jest groźną bronią w rękach ludzi sprytnych i bogatych. Zatem, niechże się każdy stara o spryt i pieniądze!

Zapadła chwila ciszy.

— A William De Bar, siódmy brat? — przemówił znów Filip.

— Jest fenomenalnie sprytny, lecz biedny! — kończył inspektor. — Sprawił nam więcej kłopotu niż jakikolwiek inny obywatel Kanady. Jest najmłodszym z siedmiu braci, a jak wiesz, do tej godności przywiązano wiele podań i przesądów. Zaraz w czasie pierwszej ucieczki zastrzelił dwu ludzi. Zabił trzeciego, usiłując uwolnić brata przy faktorii Moose. Odtąd zginęli Forbes, Baunock, Fleisham i Gresham, czyli czterej funkcjonariusze, wysłani w ślad za nim. Byli to wszystko dzielni

chłopcy, o dobrze wyrobionych mięśniach, świadomi tajemnic szlaku. Jednak przegrali i żaden nie wrócił. Nie zdołaliśmy stwierdzić, czy De Bar unicestwił ich własnymi rękami, czy też zwabił po prostu w szpony takiej lub innej śmierci. Fakt pozostaje faktem — ktokolwiek polował na Siódmego Brata — ginął. Nie jestem przesądny, zaczynam jednak wierzyć, iż żaden pojedynczy człowiek nie sprostą temu włóczędze. No, jakże teraz myślisz, Steele, ruszysz z Moodym, czy też...

— Ruszę sam, o ile pan inspektor pozwoli! — przerwał Filip stanowczo.

Głos MacGregora przybrał w jednej chwili surowy ton komendy.

— Jeśli tak, gotuj się wnet do drogi! — rzekł krótko. — Agent z Fond du Lac wskaże ci przypuszczalne miejsce pobytu De Bara. Za godzinę przyślę pisemny rozkaz!

Filip pojął, że rozmowa skończona i wstał niezwłocznie. Tegoż wieczoru dodał postscriptum do listu, pisanego do rodziny, oznajmiając, że przez długi czas nie będą mieli od niego żadnych wiadomości. O północy wsiadł do pociągu odchodzącego do Le Pas.

ROZDZIAŁ X

SPLIT NIEPOWODZEŃ

Pięćset mil na raketach śnieżnych, to znów psim zaprzęgiem, w górę dopływu jeziora Pelikan, pomocną krawędzią pustkowia Geikie, od Wollaston na zachód — tak gnał Filip Steele, bynajmniej nie w pościgu za Williamem De Bar, lecz do Lac Bain i do Izy!

Z Le Pas, dokąd dotarł koleją, sfera sześciu wilczurów oraz Metys-poganiacz odstawili go do fortu Churchilla; w towarzystwie dwu Cree; w raketach śnieżnych trafił do krainy Reindeer, zaś w dwa tygodnie później w indiańskim obozie nabył sanie i trzy dzikie husky. Lecz już nazajutrz, w zachodniej połaci pustkowia, jeden z psów okropnie rozciął łapę na ostrej lodowej krawędzi, a po upływie trzech dni cały sprzężaj kulał, więc Filip wraz z poganiaczem rozbili namiot w górnym dorzeczu Grey Beaver, w odległości sześćdziesięciu mil od Lac Bain. Że zaś nawet po dwudziestu czterech godzinach wypoczynku żaden z psów nie mógł biec — Steele pozostawił je pod opieką Indianina, a sam ruszył dalej pieszo.

Tegoż dnia zrobił przeszło trzydzieści mil poprzez kraj pocięty siecią zalesionych wzgórz, a przed wieczorem dotarł do krańca otwartej płaszczyny, której drugi brzeg stanowiły bory, ciągnące się już aż do Lac Bain. Podróż ta nie była lekka, lecz Filip nie czuł zmęczenia. Księżyc w pełni wstawał dopiero około dziewiątej, więc Steele wypoczął dwie godziny, przy czym ugotował i zjadł kolację. O oznaczonej porze ruszył znowu postanowiwszy, iż będzie szedł tak długo, by do faktorii pozostało najwyżej mil piętnaście. Chciał stanowczo dotrzeć do Lac Bain w południe następnego dnia. Dopiero o północy rozbił leciutki namiot, rozniecił ogień i legł spać. Zerwał się o brzasku, a o drugiej po południu wkraczał w obejście faktorii. Idąc śpiesznie w kierunku biura agenta, myślał jedynie o tym, czy Iza lub pułkownik dojrzą go przez okno. Zauważył bowiem od razu, że franki w ich pokojach są podniesione, a z komina pieców, ogrzewających tę część domu, bije ku niebu cienka struga dymu.

Breedy siedział skulony nad wielką księgą rachunkową. Na widok Filipa podskoczył jak oparzony.

— Gdzieżeś przepadał, u licha! — brzmiały jego pierwsze słowa, gdy wyciągając dłoń szedł na spotkanie gościa. — Tropiłem ciebie po całej okolicy i wreszcie doszedłem do przekonania, że umarliście chyba obaj wraz z Bucky Nome'em!

— Szukałeś mnie? — spytał Filip gorączkowo. — A cóż się stało?

Breedy wzruszył ramionami.

— Pułkownik i panna Iza! — burknął. — Tak im do ciebie było spieszno, że po twym odejściu moi ludzie przez trzy dni przetrząsali lasy! Ale nie mogli nawet znaleźć twoich śladów! Gadajże, o co chodzi!

Filip roześmiał się. Niesłychane szczęście przesyciło każdy jego nerw. Z trudem tylko pohamował radosne drżenie głosu, mówiąc:

— Cóż, nareszcie jestem! Jak sądzisz, czy zechcą mnie widzieć — zaraz?

— Chcieliby zapewne! — odparł Breedy, metodycznie zapalając fajkę. — Tylko żeś zbyt długo marudził. Już ich nie ma!

— Wyjechali? — Steele wykrztusił to jedno słowo i wlepił oczy w twarz agenta.

— A tak, dziś rano, do Churchill! — informował Breedy. — Panna Iza, pułkownik, dwoje sań i dwu indiańskich poganiaczy!

Filip milczał chwilę, plecami obrócony do agenta, wlepiwszy oczy w jedyne okno izby.

— Czy zostawili coś dla mnie, jakiś list?

— Nie! Nic!

— W takim razie pojedę za nimi.

Mówił bardzo wolno, do siebie raczej niż do towarzysza. Lecz gdy odwróciwszy się od okna zobaczył zdumione rysy agenta, dodał wyjaśniając:

— Nie mogę ci tego wytłumaczyć, Breedy, ale doprawdy muszę ich dopędzić i to w możliwie krótkim czasie! Nie chcę tracić nie tylko dnia, ale nawet godziny! Czy- możesz mi pożyczyć zaprzęg i poganiacza?

— Mam w tej chwili w domu tylko jedną sforę, najgorszą, same wybiórki! Z ludzi nikogo, kto by nie był absolutnie potrzebny. Jednakże, gdybyś poczekał do jutra, powiadomię Metysa Le Croix. Poluje o dziesięć mil na zachód...

— Muszę ruszać dziś po południu, to jest zaraz! — przerwał Filip niecierpliwie. — Zapewne zostawili po sobie przetarty ślad, więc dogonię ich jutro. Każ, proszę, przygotować sanie jak najłżejsze!

O trzeciej był już znowu w drodze. Breedy nie skłamał, dowodząc, że jego zaprzęg, to same wybiórki. Sfora składała się z czterech zwierząt: dwu kundli, jednego ślepego wilczura i malemuta, utykającego na przednią łapę. Na domiar złego Filip czuł, że i jego wytrzymałość kończy się. W ciągu półtorej doby zrobił sześćdziesiąt mil, toteż plecy i nogi poczynały sztywnieć i boleć. Tym niemniej, wraz z każdą nową milą zalewała go coraz większa radość. Wiedział, że Iza i jej ojciec nie będą w stanie odbyć całej podróży bez odpoczynku, a tym bardziej w szybkim tempie. Przeciętnie należało liczyć, że ujadą dwadzieścia mil dziennie, że zaś on sam, nawet z tym podłym zaprzęgiem, mógł przebyć mil trzydzieści, zatem dopędzi ich najdalej jutro wieczór.

Przyszło mu też na myśl, że o wiele przyjemniej będzie spotkać Izę na szlaku, tak jak w dniu poznania, niż witać ją w Lac Bain. Uradował się więc i cieszył coraz bardziej w miarę, jak snuł dalszy plan. Odprowadzi ją i pułkownika do fortu Churchill. Spędzą wspólnie wiele dni. A potem, kto to może wiedzieć...

Parsknął wesołym śmiechem i przynaglił psy do prędszego biegu. Upewnił się też wkrótce, iż dobrze ocenił szybkość jadących przodem, gdyż w odległości dziewięciu mil od Lac Bain trafił na pozostałości ich obozu, rozbitego najwidoczniej w południe. Teraz zapadał już mrok. Odnalazł popiół ogniska i ukryte w nim żarzące głownie, które bez trudu powołał do życia hojną porcją suszu. Wkoło, na śniegu, wyłowił kilkakrotnie odbicia drobnych stóp Izy. To napełniło go tak wielkim szczęściem, iż zaczął śpiewać, gwizdać i pohukiwać wesoło, zapominając zupełnie, iż znajduje się sam jeden w pustynnej i nieprzyjaznej głuszy.

Postanowił zanocować w miejscu, gdzie przed kilku godzinami spoczywała ona. Wiedział, że jeśli pośpieszy, to jutro do południa dogoni małą karawanę.

Nie wziął jednak pod uwagę własnego wyczerpania. Ustawiwszy namiot na wprost ognia, wymościł postanie z jodłowych łapek i padłszy nań, pograżył się momentalnie w głębokim śnie. Spał zaś tak mocno, że ani świt, ani niespokojne ruchy psów nie mogły go przebudzić. Gdy wreszcie otwarł oczy, był pełny dzień. Skoczył na równe nogi i spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta, a minęła już dziesiąta, nim zdołał znów rozpocząć pościg.

Dopiero po upływie kilku godzin musiał przyznać, iż nie uda mu się wykonać zamierzonego planu. Nad wieczorem napotkał ich obóz z poprzedniego dnia. Klął gorzko własne lenistwo i długi sen, wiedząc, że Iza jest odeń obecnie równie daleko, jak w chwili wyjazdu z Lac Bain.

Nadrobił trochę stracony czas, dążąc śladem dobrą godzinę, gdy księżyc stał najwyżej. Dopiero

potem rozbił obóz. Nazajutrz zwinął namiot tak szybko, że świt jeszcze nie rozproszył mroku nocy. Lecz zaledwie uszedł parę mil po wyraźnie przetartym szlaku, już zatrzymał psy krzykiem ostrej komendy. Wśród małej polany koleiny dwu sań rozbiegały się w dwie różne strony. Jedne dążyły wprost na wschód, ku Churchill, podczas gdy drugie skręcały pod kątem prostym na południe.

Przez długą chwilę Filip nie umiał znaleźć wyjaśnienia tego dziwaczного faktu. Potem zdecydował, że jeden z Indian odbiegł na południe bądź dla upolowania zwierzyny, bądź też wysłany w jakiejś innej misji — i że wkrótce połączy się znów z resztą podróżnych. Przekonany, że sąd jest trafny, Steele znów podążył śpiesznie w kierunku Churchill.

Lecz po pewnym czasie, ku rozpaczy Filipa, zaczął prosić śnieg tak gęsty, iż wkrótce szlak zatarł się zupełnie. Teraz więc pozostało mu tylko jedno. Należało gnać wprost do Churchill, nie oglądając się na nic, i tam dopiero spotkać Izę i jej ojca.

Zacisnął więc zęby i szedł dalej. Po czterech dniach dotarł do fortu. To, czego się tam dowiedział oszołomiło go kompletnie. Pułkownik z córką i jednym poganiaczem podążył na południe. Indianin, którego odprawiono w drodze i który trafił do Churchill, nie umiał dać żadnych wyjaśnień; wiedział tylko, że pan Becker i Iza zmienili raptownie plan podróży. Może odwiedzili Nelson House, może faktorię Jork, a może nawet trafili do Le Pas. Nie ma pojęcia!

Z ciężkim sercem Filip ruszył raz jeszcze ku Lac Bain. Nie mógł powstrzymać gorzkiego uśmiechu na myśl, jak podle los z nim igra. Gdyby nie zasnął, dogoniłby sanie przed ich podziałem; gdyby się nie uparł ruszać w pogoń za Williamem de Bar, kto wie, może Iza i jej ojciec odnaleźliby go sami. Wiedzieli przecież, że jego oddział stoi w Prince Albert i — skręcili na południe. Miał pewność, że jadą ku Nelson House, skąd jedna tylko droga przez Le Pas i Etomami wiedzie ku cywilizacji. A z Etomami do Prince Albert są dwie godziny jazdy koleją.

W kieszeni, na piersi, na skrawku papieru, miał wypisaną cenną informację, uzyskaną od agenta Breedy'ego. Był to londyński adres pułkownika Beckera, więc zarazem adres Izy. Ta okoliczność łagodziła nieco jego rozpacz. Gorączkowo układał plan dalszych działań. Z Lac Bain napisze do MacGregora, prosząc o niezwłoczne wdrożenie energicznych kroków w celu uwolnienia go ze służby. Jak tylko odzyska swobodę, pojedzie do Londynu. Złoży wizytę Izie — jako prawdziwy światowiec. Pocieszał się, że tak może będzie najlepiej.

Lecz przede wszystkim należało schwytać Williama De Bar!

Był to niejako etap konieczny przed odnalezieniem Izy, więc Steele nie tracił już chwili czasu. W Lac Bain załatwił wszystko błyskawicznie, pisząc do MacGregora zaraz w dniu przybycia. Spomiędzy psów odstawionych do faktorii przez najemnego Indianina, dwa jedynie były zdolne do dalszej podróży, toteż Steele wziął leciutkie sanki, upakował żywność i namiot, po czym sam jeden ruszył w kierunku Fond du Lac. Dotarł do celu po upływie tygodnia. Agent, Hult, leżał w łóżku, kurując wywichnięte kolano, resztę ludności zaś stanowili trzej Indianie Chippewyan, nie mówiący i nie rozumiejący słowa po angielsku.

— De Bar poszedł! — burknął Hult, gdy Filip przedstawił mu się, wyjawiając powód przybycia. — Siedział tu u nas dłuższy czas, ale zeszłego wieczoru licho przyniosło łazika Francuza, idącego Bóg wie skąd, ku Wielkim Porohom — i rankiem de Bara już nie było. Pytałem swoich Indian. Twierdzą, że ruszył przed północą z małymi saniami i jednym psem, wielkim jak byk, którego kocha niby żrenicę oka. Na waszym miejscu zakatrupiłbym tego czerwonoskórca, który wam towarzyszył do Lac Bain i któregoście potem w drodze posiali. Pewien jestem, że to on wyszczeakał komuś, że wiezie policjanta do Fond du Lac!

— Czy ten Francuz jeszcze tu jest? — badał Steele.

— Zwiął! — warknął Hult ponownie, sycząc jednocześnie i pocierając zwichniętą nogę. —

Ruszył rankiem ku Wielkim Porohom, a w całej faktorii nie znajdzie się świeżych psów. Tej zimy mieliśmy pomór na pociągowe zwierzęta, a co zostało wyskrobków, pobrano na linię sideł. Jak dwa a dwa cztery, De Bar wie, że gonicie za nim. Ucieka ponoć na Athabaskę. Mogę wam dać jednego z moich Chippewyan, by wam towarzyszył do Charlot. Na tym się kończy moje terytorium i dalej musielibyście sobie radzić sami!

— Dziękuję i za to! — rzekł Filip. — Ruszymy po obiedzie! Mam dwa psy, co prawda nieco chrome, lecz i tak pobiję zaprząg De Bara!

Nie upłynęły i dwie godziny, a już Filip wraz z Indianinem kroczył poprzez zachodnią połąć boru. Ciemnolicy Chippewyan brnął przodem, dalej szły sanie, a Filip tworzył ariergardę. Obaj mężczyźni nieśli minimalny bagaż. Steele złożył nawet na saniach karabin i plecak, pozostawiając tylko u pasa ciężki służbowy rewolwer. Była pierwsza, lecz ukośne promienie słońca, pozbawione ciepła i jedynie weselące wzrok, blade już na siwym niebie. Zapadał upiorny zmierzch, o tej porze roku trwający dobrych kilka godzin.

Czarny las ciemniał wokół nich coraz bardziej, a Filip, patrząc na bure grzbiety pracowitych husky i na plecy milczącego Indianina — wzdrygnął się raptem. Dreszcz ten nie był wywołany mrozem ani tym bardziej strachem, lecz ponurym przygnębieniem, którego się nie mógł pozbyć. Steele stworzył w głębi serca wizerunek De Bara i polubił tego wygnańca, nie znając go nawet osobiście. Jakkolwiek wielokrotny morderca, Siódmy Brat stanowił typ w jego guście; tego rodzaju człowieka chciałby mieć za przyjaciela. Ale teraz — gęstniejąca ciemność, mroczne niebo, Indianin równie niemy, jak rzędy gonnych sosen, półdzikie psy, oraz ogromna cisza pustkowia — wszystko to przypominało mu dobitnie o celu wyprawy. Wyobrażał sobie, że tak samo właśnie szli ongiś Forbes, Bannock, Flesham i Gresham — szli, by nigdy nie wrócić. Zapewne oni również osłabli duchowo, doświadczając tragizmu sądowych omyłek; gdyż nic tak nie budzi sumienia w głębi ludzkiej piersi, jak bliskość arktycznego kręgu.

W kniei, przed nim, był De Bar; De Bar wyjęty spod prawa, czujny, podstępny, planujący zasadzki, jak w swoim czasie dla tamtych czterech. Zjadł przecież zęby na tej niebezpiecznej grze. Miał na sumieniu niejedną ofiarę, a każdy trup czynił go groźniejszym dla nowego przeciwnika. Być może czatuje już gdzieś w gąszczu, z zamiarem posłania go w ślady zmarłych kolegów.

Ta myśl rozplomieniła krew Steele'a. Przyspieszył kroku, a wyminąwszy sanie, zaprząg i Indianina, zbadał trop zbiega. Szlak był stary. Mróz skuł i umocnił w śniegu olbrzymie odciski łap psa De Bara; odbicia rakiet zbrodniarza zaciągnął cieniutkim szklivem. Lecz cóż stąd?! Ten ślad mógł być zostawiony przed półdobą, a sam De Bar może siedzi w najbliższym gąszczu i trzyma go na muszce fuzji...

Steele wrócił do sań i wziął w ręce karabin. Momentalnie znikła wszelka sympatia dla zbiega. De Bar nie walczył teraz z prawem jako takim, lecz z nim samym tylko. Filip wyminął znów Indianina i kroczył przodem, rozglądając się i nasłuchując. Trzask drzewa, pękającego od mrozu, błyskawicznie osadził go na miejscu; gwałtownie stanął po raz drugi, gdy pod ciężarem śniegu pękł konar pobliskiej sosny. Lecz te i tym podobne dźwięki powtarzały się coraz częściej, w miarę, jak szli głębiej w bór, toteż stopniowo zważał na nie mniej. Jednak przy każdym podejrzanym szmerze silniej ujmował kolbę fuzji i czuł nieco żywsze bicie serca. Parokrotnie zagadywał o coś Indianina, lecz ten wylupiał tylko oczy, nic nie rozumiejąc, i milczał jak zaklęty. Wreszcie noc stanęła na przeszkodzie dalszej wędrówce, rozpalili więc ogień i ugotowali skromny posiłek.

Gdy wzeszedł księżyc, ruszyli ponownie przez las — godzina za godziną. O brzasku szlak wciąż jeszcze robił wrażenie starego. Śnieg szklął się po dawnemu, krawędzie wyżłobień zamarzły, słowem: należało przyjąć jako pewnik, iż De Bar oraz jego wielki mackenzie są daleko na przedzie.

W ciągu następnej doby pełnych szesnaście godzin nie zdejmowali rakiety i po upływie tego czasu najwidoczniej zbliżyli się do zbiega. Nazajutrz wytrzymali na nogach czternaście godzin, a jeszcze nazajutrz — dwanaście. Śnieg, poruszony stopami De Bara i łapami jego psa, pozostawał świeży, sypki, nieścięty mrozem. Pod popiołem ognisk odnajdywali gorące węgle. Okruchy podpłomyków nie zdołały stwardnieć. Lecz wtedy właśnie, gdy Steele przewidywał rychły epilog pogoni, dotarli do łożyska Charlot i Indianin zawrócił z powrotem do Fond du Lac. Steele zaś ruszył dalej, mając ze sobą dwa chrome wilczury i sanie wraz ze skromnym dobytkiem.

O pełnym dniu Steele przeciął rzekę i wkroczył na pustynne barren. Z każdym krokiem serce łomotało mu gwałtownie. De Bar nie mógł się już daleko znajdować! Był tego pewien. Musi go wkrótce doścignąć, a potem nastąpi walka. W ciągu tych pełnych napięcia godzin wspomnienie pięknej twarzy Izabeli Becker zbladło niemal do cna. Przepajała go natomiast ponura determinacja, prężąc mięśnie i dodając zmysłom czujnej badawczości. Wiedział, że walka jest nieunikniona. De Bar nie należy do ludzi, dających się podejść zniecka.

W południe spoczął chwilę, rozpałił skromny ogieniek pośród dwu wielkich głazów, zagotował wodę na herbatę i rozgrzał zakrzepłą porcję mięsa. Zazwyczaj urządzał dziennie trzy postoje, lecz przed wieczorem stwierdził, że w ciągu ostatniej doby De Bar popasał tylko raz. Steele spał mało tej nocy, zaś o pierwszym brzasku podjął pościg na nowo. Panował przykry chłód, a kąśliwy wiatr dął z podbiegunowych lodowców. Kieszonkowy termometr, wystawiony przez chwilę na działanie powietrza, wskazywał sześćdziesiąt stopni poniżej zera, toteż pomiędzy świtem a zmrokiem Filip sześciokrotnie rozpałił ogień. De Bar natomiast i dziś poprzestał na jednym wypoczynku, a wokół popieliska Steele próżno szukał jakichkolwiek okruszyn jadła.

Przez ostatnie dwadzieścia mil zbieg zdążył wprost na północ. Zachował ów kierunek i w ciągu następnej doby. Filip starannie zbadał swoją mapę i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że w tamtej stronie nie ma nic, jeno martwe pustkowia, rozesłane aż po Great Slave.

Rosła w nim trwoga. Obawiał się, że De Bara nie doścignie. W nogach czuł tępy ból i mimo ogromnych wysiłków szedł coraz wolniej. Od czasu do czasu wypoczywał nieco, lecz po każdym postoju ból głębiej wżerał się w kości, aż kulał na równi z psami. Nie pierwszy raz doznawał podobnego cierpienia, dlatego wiedział, co ono oznacza. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Wkrótce będzie musiał lec na czas dłuższy lub paść!

Zawział się, ścisnął zęby i idąc bez przerwy, dotarł nad brzeg małego jeziora. Jak wskazywały ślady, De Bar początkowo wkroczył na lód; potem, snadź zmieniwszy zdanie, cofnął się i poszedł brzegiem. Filip przeszedł wzrokiem szlak zbiega i przekonał się, że zyska na czasie, jeśli przetnie jezioro. Wprost na drugim brzegu trafi i tak na trop De Bara.

Stąpił na lód, mając psy i sanie poza sobą. Mniej zżyty z dziczą, nie wyczuł przestrogi, jaka skłoniła De Bara do poniechania pierwotnych zamierzeń. W pół drogi obrócił się, nagłąc wilczury do szybszego chodu — i wtenczas właśnie usłyszał pod nogami głuchy, dygocący dźwięk. Zawahał się nieruchomy, tkwiący na jednym miejscu. Dźwięk rósł, potężniał, rozchodził się już po całym jeziorze: od brzegu do brzegu, niby gruchot toczonych kręglowych kul. Psy z głośnym skowytom runęły naprzód, lecz było za późno. Tuż za Filipem lód trząsnął niby kruche szkło, a czarna przepaść pochłonięła sanie i zaprzęg. Steele błyskawicznie pojawił, co się dzieje, i pomknął ile sił w nogach do lądu, oddalonego o mniej więcej sto stóp. Jeszcze dziesięć kroków i byłby ocalał. Oto jednak zawadził końcem rakiety o śnieżny kopczyk i potknął się fatalnie. Chciał paść na płask, wiedząc, iż ten ruch może go zbawić. Nie zdołał! Lód pękł i Steele'a pociągnęło w dół.

W panicznym strachu przyszedł mu na myśl De Bar. Nie rozumując krzyknął: „Ratunku!” Pożałował tego już w następnej chwili. Tkwił co prawda po pierś w wodzie, lecz stopami sięgał

dna. Pojął od razu, że jezioro ma tu zaledwie metrową głębokość, pokrytą całowarstwową warstwą lodu. Bez trudu zrzucił z nóg rakiety śnieżne i jął kruszyć skorupę, dążąc do brzegu.

W pięć minut później wygramolił się na suszę, sztywny od mrozu, w przemokłej odzieży, która w zetknięciu z powietrzem stężała niemal momentalnie. Przede wszystkim pomyślał o ogniu, więc klapiąc zębami jak potępieniec, podbiegł do pobliskiej brzozy i począł garściami drzeć korę. Lecz dopiero, gdy cały stos kory i suszu spiętrzył się obok drzewa, Steele pojął tragizm sytuacji. Plecak został na saniach, a w plecaku miał nieprzemakalne pudełko z zapalkami.

Pognał z powrotem nad brzeg jeziora, nie wiedząc nawet, że łka niemal z rozpaczy i bólu. Ani śladu sań lub psów. Zaprząg znikł, a wraz z zaprzęgiem znikł ogień, zapasy, wszelka nadzieja życia!

Z głębi zamarzłej kieszeni wydobyl krzesiwo i począł nim z całej mocy uderzać o ostrze noża, raz po raz, pewien jednak, że to się na nic nie zda. Pracował tak, klęcząc nad stosem kory, aż ręce mu zgrabiały, a skrzepła odzież ciążyła niby żelazna zbroja.

— Mój Boże, mój Boże! — jęczał.

Wstał z wolna, z bolesnym westchnieniem i zwrócił oczy na szlak De Bara, wiodący znów wprost na północ. Jakakolwiek śmierć patrzyła już nań z bliska, nie omieszkał dostrzec komizmu sytuacji.

— Bóg trzyma snadź twoją stronę, Billy! — szepnął z wymuszonym uśmiechem. — Ano, zobaczymy później!

Wkroczył na trop De Bara i zaczął biec. Opośtał szlak sunął w górę urwiska, usianego złomami głazów, porosłego tu i ówdzie gęstwą karłowatych chaszczki. Widok tej wyniosłości dodał Filipowi sił. Lecz gdy znalazłszy się u szczytu, objął wzrokiem milową przestrzeń głuchej pustki, ogarnęło go ponowne zwątpienie.

— Jedyna nadzieja w tobie, Billy! — bełkotał dygocąc. — Może gdybyś wiedział, co zaszło, wróciłbyś z powrotem i dał mi jałmużnę — zapalki!

Usiłował się roześmiać, lecz sine wargi zdołały tylko wydać nieartykułowany dźwięk, podczas gdy, potykając się, zstępował w dół stoku. W miarę, jak nogi mu słabły i krew płynęła wolniej — mózg pracował z wyczerpaniem, a nawał myśli zaćmiewał niemal pierwsze ataki cierpienia. Zamarzał. Odczuwał to podświadomie. Wiedział dobrze, że życie jego liczy się nie na godziny już, lecz na minuty. Tracił czucie w rękach, aż do ramion; kuszykając z trudem zauważył, iż nie potrafi już zgiąć palców. Z każdym krokiem ciężej mu było iść, trudniej stawiać stopy. Lecz ze zdziwieniem stwierdził, iż początkowy obłędny strach szczeł całkowicie. Spokojnie niemal i niemal wesoło myślał o domu, o krewnych i przede wszystkim o Izie. Zastanowił się nawet przez chwilę, czy którykolwiek z czterech zaginionych policjantów umarł taką śmiercią jak on, i czy jego kości również śnieg pokryje i otuli na zawsze.

I znów stanął u szczytu wzgórza. Przebył zaledwie ćwierć mili, choć był pewien, że odbył dziesięciokrotnie dłuższą drogę.

— Sześćdziesiąt stopni poniżej zera — wybełkotał, chwiejąc głową. — I prawo tego chce.

Rozwierał wargi z trudem, wiedząc, że czyni to po raz ostatni, a tak był słaby, że zataczał się za lada podmuchem wiatru.

ROZDZIAŁ XI

ZBRODNIARZ

Raptem Filip skamieniał, dygocąc jedynie wewnętrznym dreszczem. Czy śni, czy też naprawdę widzi na sinym tle północnego nieba bury, ruchomy słup, czarny niemal u dołu, a coraz przejrzystszy ku górze. Krzyknął chrapliwie i znów ruszył naprzód, potykając się, padając prawie, zziębnięty i zmordowany do cna. Słup zbliżał się, rósł, emanował ciepłem. Filip miał wrażenie, że nowe życie wstępuje w jego obumarłe członki.

Klucząc między garbami dwóch zasp, jał zstępować w głąb kotliny, której dno zdawało się nieosiągalne niby przepaść. Potem gramolił się dalej ku górze, wbijając sztywne pięści w śnieg i podciągając na nich bezwładne ciało. U szczytu spoczął chwilę, prawie mdlejąc, i oto z drugiej diuny uniosła się ku niemu jakaś twarz.

Było to ludzkie oblicze: brodate, nędzne, straszliwie wychudzone, lecz Filip nie wgłębiał się w szczegóły. Na nim ta twarz robiła wrażenie maski cyklopa, wrogiej i groźnej; wiedział, iż należy do Williama De Bar, Siódmego Brata!

Rzucił się naprzód, a De Bar skoczył mu naprzeciw. Szepili się miękko chwytem bezsilnych dłoni i spleceni — potoczyli w dół zasy. Mięśnie odmawiały im posłuszeństwa, lecz walczyli tym zacieklej. Ledwo tłące iskry życia ścierały się wzajem, aż obie przygasły i dwaj wrogowie leżeli dysząc, charcząc, niemal w agonii.

Oczy Filipa przywarły do ognia. Był to skąpy ogieniaszek, lecz jemu wydał się wielki niby pożar, i raptem ponad wszystko inne zapragnął wejść w płomienie i czuć na ciele ich kąśliwą pieśczoć. Tracił przytomność. Bełkotał coś niezrozumiale, z długimi przerwami między jednym słowem a drugim. Nagle ocucił go czyjś szorstki głos.

— Marzniesz — mówił ktoś chrapliwie.

— Umieram — szepnął Filip z wysiłkiem.

— A ja głoduję.

To przemawiał De Bar. Wstawał właśnie, widać nabrał już nieco sił. Filip skulił się instynktownie w oczekiwaniu napaści, lecz zamiast tego ujrzał przed sobą wielką dłoń w futrzanej rękawicy.

— Daj łapę, kolego! — przemówił znów De Bar. — Zawrzyjmy na chwilę rozejm! Musisz zdjąć, co masz na sobie, gdyż inaczej — zginiesz!

Steele machinalnie wyciągnął rękę. Zbieg ujął ją, potrząsał i, podparwszy Filipa ramieniem, pomógł mu wstać. Potem podprowadził go do sań, rzuconych tuż przy ogniu, posadził i otulił w grube dery. Z kieszeni dobył noża i począł ciąć i drzeć nogawice spodni oraz rękawy kurty, przepiłowywać zeszywniałe rzemyki obuwia i ściągać wełniane skarpetki. Wreszcie, obnażywszy ciało, zabrał się do rozcierania go śniegiem. Dyszał, chrząkał, trząsał się, ale tarł co sił i po pewnym czasie Filip uczył w członkach ból, niby od ukłucia tysięcy igieł.

— Jeszcze dziesięć minut i byłby z tobą koniec! — rzekł De Bar.

Otulił Filipa nową derą i przywłókł sanie bliżej ognia. Potem cisnął w płomień naręczce chrustu. Zamyślił się teraz chwilę, aż wyciągnął z kieszeni jakiś czerwony, sztywny kłębek — martwego ptaka rozmiaru szczygła. Ująwszy go dwoma palcami, spojrzał na Filipa i coś niby uśmiech pojawił się na zarośniętej twarzy.

— Obiad! — oznajmił, a i Steele ułowił w głosie włóczęgi nutę ironii. — Ta sójka jest jedyną

zwierzyną, jaką udało mi się upolować w drodze z Fond du Lac. Waży cztery uncje i nie pokrzepi nas zbyt. Od dwóch dni ani razu nie najadłem się do syta, jednak podzielimy się tym pieczystym, o ile jesteś prawdziwie głodny.

— Gdzieś podział swoje zapasy? — zapytał Filip.

Czuł się o wiele różniej i przyjemne ciepło przebiegało mu żyły, lecz rumieniec, jaki wybił na twarz po propozycji De Bara, pochodził z innego źródła. Zbieg ocalił mu życie, a teraz zamiast zabić — dzielił się z nim ostatnim kęsem stawy.

Tymczasem De Bar nadział ptaka na wyostrzony pręt, a ukończywszy tę czynność, wskazał dłonią wielkiego mackenzie, uwiązane opodal do pnia martwej sosny.

— Zabrałem dość żywności, by dotrzeć do Chuppewyan, lecz on dobrał się do zapasów zaraz pierwszej nocy i pozostawił niemal same okruchy. A tyś stracił swój ładunek w jeziorze, he?

— Psy, sanie, wszystko! — przyświadczył Filip. — Nawet zapałki!

— Te pułapki lodowe są diabelnie podłe! — rzekł współczująco De Bar, z wolna obracając nad ogniem improwizowany rożen. — W tych stronach należy zawsze wpierw zbadać każde nieznaną jezioro. Większość przybiera znacznie w czasie wiosennych roztopów i jesiennych deszczy, zaś zimą poziom wody silnie opada. Toteż skorupa lodowa jest cienka i wisi w próżni. Gdyby nie ta niespodzianka, miałbyś mnie już w ręku, co?

Uśmiechnął się i — ku swemu szczeremu zdumieniu — Filip również nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Następowalem ci niemal na pięty, Billy!

— Ho, ho, ho! — zachichotał De Bar. — Co to za przyjemność słyszeć własne zdrobniałe imię! Oczywiście między ludźmi musiałem zawsze przybierać fałszywe nazwisko, więc tak nie mówił do mnie nikt od czasu...

Urwał raptem, a uśmiech znikł z jego oczu i warg.

— Przypomniał mi się dom — rzekł po chwili miękko. — A jakże ciebie wołają, kolego?

— Steele, Filip Steele z Północno-Zachodniej Królewskiej Konnej Policji — odpowiedział Filip.

— Znałem raz pewnego Steele'a! — rozpamiętywał De Bar. — To było dawno, przed całą tą sprawą. Lubiliśmy się bardzo!

Spoglądał prosto w twarz Filipa. Miał duże, siwe oczy szeroko osadzone i rysy wyróżniające się spośród setki innych, taka się w nich malowała szczerłość i odwaga. Steele wiedział, że przestępca jest mniej więcej w jego wieku, lecz sterany piekielnym trudem — wygląda o dziesięć lat starzej.

De Bar poniechał na chwilę swego ptaka, by rozwiesić odzież Filipa na gałęziach, wbitych w śnieg tuż koło ogniska. Steele przeniósł oczy z postaci włóczęgi na jego psa. Ogromne zwierzę ziewało nerwowo, ukazując wielką paszczę, w której brakowało jednego kła.

— Jeśli głodujesz, dlaczego nie zabijesz tego psa? — spytał Steele.

De Bar odwrócił się szybko, błyskając bielą zębów spoza kudłów brody.

— Bo to mój najlepszy przyjaciel na świecie, czy też jeden z najlepszych! — rzekł gorąco. — Nie opuszcza mnie od lat dziesięciu w dobrej i złej doli. Głodowaliśmy i walczyli razem, omal nie skonał w mej obronie, więc póki ja żyję, i on będzie żył! Czy jadłbyś mięso swego brata, Steele? On jest moim bratem ostatnim, jakiego mi pozostawiło prawo. Czy zabiłbyś go, będąc na moim miejscu?

Serce Filipa uderzyło silniej. Milczał. De Bar postąpił ku niemu, niosąc gorącego ptaszka na końcu patyka. Za pomocą noża rozciął sójkę na dwoje, a jedną z połówek przedzielił raz jeszcze. Czwartkę cisnął psu, który połknął ją momentalnie. Połowę nadział na nóż i podał Filipowi.

— Nie! Nie mogę! — wybełkotał Steele.

Oczy ich spotkały się i De Bar, klęczący właśnie w śniegu, odsunął się nieco, nie spuszczać wzroku z policjanta. Twarze obu mężczyzn były surowe i skupione.

— Słuchaj, Steele — zaczął włóczęga. — Nie bądź wariatem! Na chwilę zapomnijmy o tym, co nas dzieli! Bóg jeden wie, co nas czeka jutro lub pojutrze, a wszak łatwiej jest umierać w kompanii niż samemu, prawda? Zapomnijmy na jakiś czas, że ty jesteś „prawo”, a ja „przestępstwo”, i że William De Bar sprzątnął jednego, czy też paru ludzi. Wyobraź sobie, że obaj płyniemy łodzią, skazaną na rozbicie. Czyż nie lepiej podać sobie dłonie i mieć spokojną duszę, gdy przyjdzie śmierć? Jeśli wykaraskamy się z tych tarapatów, jeśli znajdziemy żywność — możemy znów walczyć i bardziej uzdolniony wygra! Bądź mi przyjazny, kolego, i jak Bóg na niebie — odpłacę ci tym samym!

Wyciągnął kościstą łapę, pełną guzów, bąbli i blizn, a Filip pochwycił ją bez wahania.

— Będę postępował uczciwie, Bill! — wykrzyknął. — Przysięgam, że nie naruszę ustalonych warunków! Jeśli wyjdziemy cało z tej opresji, odbędziemy formalny pojedynek i wygra silniejszy z dwu! Ale ja dziś jadłem, a ty jesteś głodny. Jedz więc, gdyż i tak mam większe szanse. Jedz, a potem wypalimy fajki. Dzięki Bogu tytoń mi został.

Usadowili się tuż pod szańcem zasy i wiatr miotał im ponad głowami tumany srebrzystego pyłu, podczas gdy De Bar jadł swego ptaszka, a Filip kurzył fajkę. Obiad włóczęgi był więcej niż skromny, pokrzepił go jednak, toteż skończywszy cisnął znów na ogień naręcze suszu, aż płomień smaliły twarz Steele'a, zaś jego odzież parowała zawzięcie. W pewnej chwili Filip usłyszał, jak De Bar, oddalony o sto jardów od obozu, wykrzykuje na całe gardło dziką pieśń leśną, wlokąc z trudem sosnowy konar.

— Dobra to rzecz — towarzystwo — oświadczył, nadchodząc. — Wiesz, że już od wielu lat nie czułem się tak rażnie i wesoło! Może dlatego, iż teraz wiem, że koniec bliski!

— Przecież jest nadzieja ocalenia! — zaprzeczył Filip.

— Nadzieja? Nie tylko nadzieja, prawie pewność! Ale i koniec pewny! Zresztą, zaraz ci to wyjaśnię.

Siadł obok i mówił szczerze, niby z przyjacielem znanym od lat.

— Ja myślę, stary, że moje udreki skończą się raz na zawsze, rozumiesz? Chcesz, żebym ci to wyjaśnił?

— Owszem, posłucham z przyjemnością. No dalej, mów! I przysunął się bliżej, aż dotknął włóczęgi ramieniem.

— Przyjdzie koniec mojej udreki — zaczął De Bar, prawie szeptem. — Jeśli wygrasz w pojedynku, to dlatego, że zginę, żywym nie będziesz mnie miał! Rozumiesz, Fil? Oto pierwsze rozwiązanie.

— A jeśli ty wygrasz, Billy?

Z oczu De Bara buchnął radosny płomień.

— To i tak skończy się moja nędza! — rzekł żywiej. Dłonią wskazał wielkiego mackenzie. — Mówiłem ci, Fil, że on jest mi jednym z najlepszych przyjaciół na ziemi. Mam i drugiego przyjaciela, dziewczynę, która żyła tam, u nas, dawniej, przed wielu laty. Teraz ma trzydzieści lat, a myśli o mnie jeszcze, modli się za mnie i wierzy, że nie jestem taki zupełnie zły. Od dziesięciu lat pisuje co miesiąc. Niechże ją Bóg błogosławi! Przecie to tylko utrzymywało mnie przy życiu! A w każdym liście błaga, bym jej pozwolił do siebie przybyć, gdziekolwiek jestem. Sądzę, że diabeł tkwił we mnie dotąd. Nie chciałem jej poświęcenia ani obcej pomocy, zawsze odpowiadałem: nie i nie! Ale teraz już nie mogę dłużej — sam! Ustąpiłem wreszcie! Wszystko ułożone! Obecnie jest w drodze do mego brata, w Ameryce Południowej i, jeśli wygram, jadę do niej. Oto drugie rozwiązanie, Fil! Więc rozumiesz, dlaczego takim rad! Tak czy inaczej — koniec!

Ujął oburącz swój wielki, rozczochrany łeb i na chwilę zapanowała absolutna cisza. Filip przemówił szeptem:

— Dlaczego nie zabijesz mnie teraz, zaraz, podczas gdy jestem bezsilny, a ty masz nóż?

De Bar z wolna uniósł głowę i wlepił zdumione oczy w twarz Filipa.

— Nie jestem mordercą! — rzekł sucho.

— Ale przecież zabijałeś ludzi! — upierał się Filip.

— Owszem, zabiłem trzech, prócz tych, których powiesiliśmy, bracia i ja! Jednego w faktorii Moose, chcąc wyswobodzić Johna, a dwóch tutaj. Polowali na mnie, zmierzylimy się w uczciwym boju i okazałem się silniejszym od nich. Czy nazwiesz to morderstwem? Czyż miałem dać się zarznąć jak cielę, dlatego tylko, że prawo sobie tak życzy? Cóżbyś zrobił, będąc na moim miejscu, Fil?

Wstał, nie czekając odpowiedzi, i obmacał odzież wiszącą przy ogniu.

— Już sucha! — rzekł. — Pokiereszowana, co prawda, ale teraz szkoda czasu na naprawę! Przyodziej się i ruszamy!

Filip ubrał się spieszenie i spojrzał na kompas.

— Czy znów na północ? — spytał. — Chippewyan leży stąd na południowy zachód!

— Na północ! — odparł De Bar. — Znam pewnego Metysa, mieszkającego nad Red Porcupine, dopływem Slave. Jeśli go odszukamy, użyczy nam żywności. A jeżeli nie...

Parsknął śmiechem w twarz Filipa.

— Pojedynek się nie odbędzie! — zakończył Steele.

— Nie, nie odbędzie się! Otulimy się tylko jednym kocem i umrzemy zgodnie. A Woonga do ostatka zechce grać nam plecy! Prawda, stary?

Ostatnie słowa rzucił pod adresem psa. Wielki mackenzie przyjął je jako wezwanie do dalszej podróży; wstał więc, sztywno rozkraczając łapy, i dał się zaprząć do sań.

Ruszyli społem poprzez zmierzch wieczorny, w tych stronach i zimą równie mroczny, jak noc. Na przedzie piętrzyły się bez przerwy chaotyczne wzgórza, które przy zbliżeniu okazywały się po prostu szeregiem kopnych zasp i śnieżnych diun. Horyzont ginał w rozpylonej, siwej mgłę, coraz to bardziej zacieśniającej widnokrąg. Podbiegunowy wicher mącił zarysy ziemi i gmatwał spokój nieba. W atmosferze upiornych przywidzeń sosny, wykręcone chorobliwie i skarłałe do cna, zdały się być wielkie jak wieże, a ludzie i pies robili wrażenie olbrzymów. Przygięci, podani ku przodowi kroczyli ciężko poprzez świat martwy i milczący.

W pewnej chwili De Bar zaczął śpiewać. Wywrzaskiwał słowa dzikiej pieśni pół indiańskiej, pół francuskiej, którą leśny lud nuci zazwyczaj, wracając do domu po długiej nieobecności. Lecz wkrótce umilkł i cisza zapanowała znów niepodzielnie.

Szli tak godzina za godziną, aż mrok wieczoru skojarzył się z czernią nocy, a noc z kolei ustąpiła miejsca szarzyźnie świtu.

Parli naprzód, byle dalej, spoczywając rzadko i krótko, z trudem zdobywając każdą piędź ziemi. W tej piekielnej podróży krzepił ich głos De Bara. To on zachęcał do wytrwania — psa kulejącego tuż poza nim i człowieka utykającego w ślad za psem. Czasem śpiewał coś bez związku; czasem grzmiał komendę poganiaczy. Głód bielił mu twarz i ostro modelował rysy, ale w oczach gorzał wciąż nieustępliwy płomień. I to De Bar uniósł w pewnej chwili dłonie ku ołowianej kopule niebios, mówiąc solennie, niemal obrzędowo:

— Niech Bogu będą dzięki! Otośmy u celu!

Pośród zasp, na przedzie, widniał kręty pas lodu: zamarźłe łożysko Red Porcupine.

Ruszył teraz biegiem. Za nim kłusował Woonga, a za psem Filip, po raz setny zadając sobie pytanie, czy włóczęga nie postradał przypadkiem zmysłów. O pięćset jardów dalej De Bar

przystanął, wlepiając oczy w siny chaos pobraża. Potem zwrócił się do Filipa i rzekł głosem niskim, drżącym, jak gdyby targało nim wzruszenie:

— Patrz! Patrz! Odnalazłem ją jednak! A wiesz, Filipie Steele, co to znaczy? Zrobiłem siedemdziesiąt mil przez pustkowie, nocą, przy zamieci, i trafiłem na chatę Piotra Thoreau, jakby mnie kto za rękę wiódł! Och, człowieku, toż się taka rzecz uda raz na tysiąc razy!

Ścisnął ramię Filipa i głos jego zabrzmiał mocno a triumfalnie.

— Mówię ci, to znaczy, że Bóg jest ze mną!

— Z nami! — poprawił Steele, ostro patrząc mu w oczy.

— Ze mną! — huknął De Bar tak groźnie, że Filip mimo woli cofnął się. — To cud, znak Boży, wróżba wygranej!

Umilkł na chwilę, aż przemówił znów — tym razem miękko i z łagodną perswazją.

— Fil, polubiłem cię serdecznie! Więc jeśli wierzysz w Boga tak, jak wierzymy w Niego my, ludzie leśni, jeśli wierzysz, że on przemawia głosem wiatru, słońca, śnieżycy i czyni cuda, radzę: bierz trochę żywności i wracaj! Mówię szczerze, Fil! Gdyż jeśli zostaniesz i dojdzie do walki, może być tylko jeden wynik — zabiję ciebie!

ROZDZIAŁ XII

POJEDYNEK

Na te słowa Filip poczuł, jak krew burzy mu się w żyłach. Parsknął pogardliwym śmiechem i zrzucił ze swego ramienia dłoń De Bara.

— Nie boję się śmierci! — krzyknął gniewnie. — Nie jestem dzieckiem, Williamie De Bar! Od jak dawna wierzysz w Boga?

Wymówił ostatnie słowa z kąśliwą ironią i pożałował ich natychmiast, gdyż włóczęga odparł głosem spokojnym, bez cienia złości czy obrazy.

— Wierzę w Boga, Fil, od dnia, gdy matka po raz pierwszy nauczyła mnie pacierza. Zabiłem własnoręcznie trzech ludzi, a trzech innych pomogłem powiesić, wierzę jednak nadal i zdaje mi się, że On również mi wierzy, pomimo wszystkich sądowych wyroków!

Zamilkł i ruszył przodem. Chata czerniała wśród kępy sosen — niby mroczny cień. Nigdzie nie błyskało światło, a gdy podeszli bliżej, spostrzegli kopce śniegu, stłoczone pod oknami i przed progiem.

— Piotra nie ma — rzekł De Bar przez ramię, jednocześnie rozgarniając zaspę. — Widać nie wrócił dotąd z fortu Smith! Był tam na Nowy Rok!

Drzwi nie miały zamka ani rygli, więc skoro zaspą została rozwalona, weszli. Zbyt ciemność nie pozwalała nic zobaczyć. De Bar potarł zapałkę. Na stole spostrzegł małą lampkę i zapalił ją. Płomień oświetlił czysto utrzymaną izbę, mającą mniej więcej dwanaście stóp średnicy; były w niej dwa tapczany, stół, parę krzeseł oraz żelazny piecyk, za którym piętrzył się stos polan. De Bar wskazał półkę, zastawioną rzędami blaszanych puszek, o wiekach przyciśniętych kawałkami drewna.

— Jadło! — rzekł.

A Filip, wskazując piecyk, uzupełnił:

— Jadło i ogień!

W jego głosie brzmiała znacząca nuta, której De Bar nie mógł nie zauważyć. Toteż, podczas gdy włóczęga szperał wśród zapasów, a Steele rozpalał ogień, panowała krępująca cisza.

— Tu mam suchary, pieczone, a potem zamrożone mięso i fasolę! — ozwał się wreszcie De Bar.

Umieścił blaszanki na piecu i siadł obok płomieni, promieniujących już falą ciepła. Wyciągnął ku nim ręce, drżące od chłodu, zbolące, sine, patrząc jednocześnie na Filipa, stojącego po drugiej stronie ognia. Milczał, lecz jego wzrok był tak wymowny, że Steele poczuł, jak w nim topnieją uraza i zawziętość. Rzekł prędko, cicho, usiłując pohamować wzruszenie:

— O, Billy, chciałbym, żeby już było po wszystkim!

— I ja również! — poważnie odparł De Bar.

Zaczął zacierać dłonie i wyginać palce, aż trzaskały stawy.

— Nie boję się, a wiem, że i ty się nie boisz! — ciągnął włóczęga, wpatrzony teraz uparcie w drzwiczki pieca. — Lecz bodajby już był z tym koniec! Ot, doprawdy, bodajbym się tu jeszcze poniewierał rok lub dwa, a nie miał twego życia na sumieniu!

— Nie troszcz się o mnie zawczasu! — drwiąco przemówił Steele, czując, jak ogarnia go dawna zadzierzystość. Był zły, że De Bar jest tak spokojny i pewny siebie. Aż poczerwieniał na twarzy.

— Mówisz do mnie, Billy, jak gdybym był niedołęgą lub tchórzem! Skąd wiesz, że weźmiesz górę? A jeśli ja ci teraz powiem, że maem dostał rozkaz sprowadzenia cię żywym lub martwym i tak też uczynię?

— Nie będę się z tobą spierał! — De Bar był po dawnemu spokojny i opanowany najzupełniej. — Po prostu myślę, że wolałbym nie walczyć z tobą. Wolałbym zabić dwu lub trzech innych ludzi niż ciebie!

— Rozumiem! — przerwał Steele, a w jego głosie drżała nuta ironii. — Chcesz wzbudzić we mnie sympatię? Chcesz, żebym sobie poszedł i dał ci spokój, co?

— Nie! — zaprzeczył szybko De Bar. — Masz rację, to byłoby tchórzostwo! Więc jakże zrobimy?

Filip dobył z futerału skrzepnięty rewolwer i trzymał go nad piecem.

— Gdybym nie był wyśmienitym strzelcem i nie trafiał w asa z trzydziestu kroków, zaproponowałbym rewolwery! — rzekł.

— Ja nie strzelałem nigdy dla sportu! — odpowiedział De Bar. — Ale raz, czterema kulami na pięć, trafiłem uciekającego wilka! Radziłbym więc również rewolwery, to sposób prosty i niezawodny. Czy strzelamy aż do śmiertelnego wyniku?

— Jeśli chodzi o mnie, wolałbym nie! Oczywiście, w podnieceniu można zabić przypadkowo, ale chciałbym tylko ranić cię i ująć żywcem!

De Bar patrzył w ziemię. Nie unosząc głowy, oświadczył:

— Ja zawsze strzelam, by zabić! Może chcesz napisać do domu, Fil?

Odpowiedziało mu milczenie. Wówczas spojrzął na Steele'a i uzupełnił poważnie:

— To się może stać, Fil, choćbyś był najbardziej pewny siebie i najlepiej przygotowany — a musisz przecie mieć na świecie kogoś bliskiego! Gdybym ja umarł, znajdziesz w mojej kieszeni list. Odeślij go podług adresu i napisz od siebie, że zginąłem, no — choćby w katastrofie kolejowej. Zrobisz to?

— Zrobię! — przyrzekł Filip. — Jeśli umrę, musisz mi oddać tę samą przysługę. Ja również mam w kieszeni adres swoich. Więc pamiętaj! A teraz, daj łapę!

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

— Bolał mnie oczy — rzekł raptem De Bar. — To pewnie ten śnieg i wiatr. Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby po jedzeniu zdrzemnąć się trochę? Od trzech dni i tyłuż nocy nie spałem ani chwili.

— Śpij, jak długo chcesz — zapewnił Filip. — Nie mam zamiaru walczyć z chorym człowiekiem.

Posiłek minął niemal w zupełnym milczeniu. Gdy skończyli jeść, Filip starannie oczyścił rewolwer i wysmarował go niedźwiedzim sadłem, którego flaszki znalazł na półce.

De Bar, przyglądający się tej czynności, widział, że Steele pucuje nawet każdy z pięciu naboji przed włożeniem ich do magazynka.

Kiedy Filip był gotów, wypalili fajki, siedząc na wprost siebie, w kompletnej ciszy.

Wreszcie De Bar położył się na jednym z dwu tapczanów i jego miarowy oddech świadczył o tym, że zapadł już w głęboki sen.

Filip siedział jeszcze przy piecu, nie spuszczać wzroku z nieruchomej postaci włóczęgi. Ostatecznie i jego ogarnęła senność, toteż otulił się derą i legł na drugiej pryczy. W parę godzin później zbudził go De Bar, dorzucając drzewa do ognia.

— Jakże oczy? — spytał Steele, siadając.

— Świetnie! — odpowiedział tamten. — Dobrze, żeś się zbudził. Za godzinę będzie już mroczno.

Pocierał ręce i grzał je nad ogniem, a Filip, podszedłszy z drugiej strony, uczynił to samo. Było mu trudno patrzeć na De Bara; wiedział zresztą, że i De Bar również unika jego spojrzenia.

Włóczęga pierwszy przerwał męczącą ciszę.

— Wychodziłem z chaty — rzekł półgłosem. — Tuż obok jest polana, długa mniej więcej na sto kroków. Moglibyśmy stanąć po przeciwnych końcach i na dany sygnał ruszyć jednocześnie, strzelając dowolnie...

— Doskonale! — szorstko przyświadczył Filip i odwrócił się, by wziąć leżący na stole rewolwer.

De Bar obserwował go uważnie, podczas gdy Steele, wyciągnąwszy magazynek, spojrzął na lśniące gilzy i zamknął znów rewolwer.

Teraz, bez słowa, włóczęga ruszył ku drzwiom, otworzył je i trzymając własną broń w dłoni, miękko zwisającej wzdłuż ciała, wyszedł, tuż za progiem kierując się na prawo. Filip patrzył chwilę w ślad za nim, czując, jak coś ściska go w gardle. Z chęcią potrząsnąłby dłonią De Bara, jakkolwiek był rad, iż Siódmy Brat postępuje właśnie tak, a nie inaczej. Wyszedł również, kierując się na lewo. Od razu spostrzegł, iż De Bar ma światło w oczy, czyli, że wybrał sobie gorszą placówkę. Gdy, stanąwszy na własnym miejscu, odwrócił się w stronę przeciwnika, włóczęga patrzył już na niego.

— Gotów! — huknął.

— Gotów! — odkrzyknął Filip.

De Bar skoczył wnet naprzód, trochę zgarbiony, wyciągając niego ku przodowi zbrojne ramię — a Filip ruszył naprzeciw niego. W odległości siedemdziesięciu kroków, wciąż biegnąc, włóczęga dał ognia i kula z sykiem przeleciała o pół metra nad głową policjanta. Steele postanowił poprzednio, że wstrzyma się od strzałów, aż będzie pewien, że zdoła trafić De Bara w ramię lub w dłoń, raniąc go tylko lekko. Lecz nowa kula przeciwnika bzyknęła mu przy samej twarzy. Stał więc i w odległości pięćdziesięciu kroków pociągnął za cyngiel.

De Bar zgiął się wpół i przez chwilę Filip był przekonany, że ranił go.

Wtem włóczęga wyprostował się, krzyknął i znów runął naprzód, strzelając w biegu.

Filip strzelił drugi raz, potem trzeci, a gdy De Bar nie wykazywał wciąż śladu ran — zaklął w zdumieniu. Z odległości czterdziestu kroków przedziurawiał przecież sęk trzema kulami na pięć, a tu chybiał człowieka! Z trzydziestu kroków brał wszystkie rekordy, jednak teraz, na otwartej przestrzeni, z tej samej odległości pudłował haniebnie.

Czwarty strzał De Bara musnął mu skroń pędem powietrza, obecnie zaś każdy z nich, mając jeden nabój w lufie, sunął naprzód — krok za krokiem. Wreszcie włóczęga stanął i zmierzył starannie z odległości dwudziestu metrów. Oba rewolwery huknęły jednocześnie. Filip, czując, iż raz jeszcze wyszedł cało z opresji, doznał raptem uczucia grozy. Ramiona De Bara zwisły bezwładnie wzdłuż ciała. Broń wypadła mu ze sztywnych palców. Chwilę trwał, jak skamieniały, z twarzą zwróconą ku niebu.

Steele krzyknął boleśnie. W postawie De Bara widział nie tylko wpływ mniej lub więcej ciężkiej rany, lecz również ponury tragizm śmierci.

Cisnął precz rewolwer i skoczył na pomoc. A w tej chwili włóczęga sprężył się w sobie i runął do ataku niby dzika bestia.

Był to straszliwy podstęp, który o mało co się nie udał. Filip, nie przygotowany do odparcia napaści, tym samym tracił wiele. Lecz nim De Bar zdołał go dopaść, odzyskał już zachwianą równowagę. Skoczył w bok i z wprawą wytrawnego boksera zadał przeciwnikowi okropny cios w szczękę. Jednak, czy to na skutek trwającego wzruszenia, czy też wyczerpania podróży — uderzył zbyt miękko; De Bar natychmiast napał nań całym swym ciężarem i odrzucił do tyłu.

Filip wrzasnął wściekle. Palce włóczęgi zmacały jego szyję i wżarły się w ciało niby stalowe kleszcze. Zakrztusił się i targnął ręce De Bara, wiedząc, że jeszcze pół minuty takiego uścisku, a straci przytomność. Dostrzegł błysk triumfu w oczach przeciwnika i to wzbudziło w nim szaloną

pasję. Niewiarogodnym wysiłkiem cofnął ramię, zwarł pięść i z całą energią, do jakiej był jeszcze zdolny, gruchnął De Bara w żołądek.

Uścisk na jego szyi osłabł. Uderzył drugi raz, trzeci, czwarty. Ramię chodziło tam i z powrotem, z miarową dokładnością parowego tłoka. Oczy De Bara straciły wyraz triumfu i zaszły mgłą cierpienia. Palce miękły coraz bardziej. Steele szarpnął się raptem, wyswobodził i rzucił wstecz, chcąc nabrać rozpędu do decydującej napaści.

Ten skok okazał się dlań fatalny. Zawadził nogą o pień ukryty w śniegu i padł ciężko, a De Bar zwałił mu się na pierś.

I znów żelazne palce porwały go za krtań. Lecz tym razem nie bronił się. Więc po chwili włóczęga wstał i spojrział badawczo na białą, milczącą maskę, do połowy wtłoczoną w śnieg. Potem, zgięty, łagodnie uniósł w ramionach głowę Filipa. Sączyła się z niej strużka krwi, a spod zasy sterczał ostry kant głazu.

De Bar wziął Filipa na ręce. W chacie położył go na jednym z łóżek. Potem zgromadził część zapasów i upakował w plecaku. Podchodził już do drzwi, gdy stanął raptem, spuścił wór na podłogę i wetknął dłoń do kieszeni. Gdy ją znów wyjął, w palcach trzymał list. Było to kobiece pismo. Schylając głowę, odczytał teraz słowa słodkie, ufne, kochające. Spojrzął na Filipa: był uosobieniem spokoju.

— Może niezupełnie zdajesz sobie sprawę, Fil! — szepnął miękko, jakby tamten mógł co słyszeć i rozumieć. — Więc zostawię ci to!...

Ołówkiem nakreślił parę zdań u góry listu, tam, gdzie pozostał wąski szlak białego papieru. Spracowana dłoń stawiała litery kanciaste i niezgrabne.

Wygrałbyś, gdyby nie ten kamień! Zdaje mi się jednak, Fil, że to Bóg położył kamień właśnie w tym miejscu. Podczas gdy spałeś, wyjąłem kule z twoich nabo i włożyłem na ich miejsce papierowe gałki, gdyż nie chciałem, by strzały odniosły jakikolwiek skutek. Co do mnie, to umyślnie mierzyłem w powietrze i jestem rad, że to kamień ciebie skaleczył, a nie ja!

Pochylił się nad tapczanem, by nabrać pewności, że ranny oddycha równiej i mocniej, po czym złożył mu list na piersi.

W pięć minut później De Bar brnął uparcie na południowy zachód, poprzez wielkie, milczące pustkowia, a za nim człapał pies, wlokąc ładowne sanki.

Filip otworzył oczy i wykonał machinalny ruch dłonią; poczuł na piersi szelest papieru. Ujął go, a przezwyciężywszy słabość członków oraz szum w głowie — siadł, wsparty o ścianę. Przeczytał list i uśmiechnął się blado, robiąc ręką wymowny gest.

— Miałeś rację, MacGregor! — wymamrotał półgłosem. — Miałeś rację! Trzeba dobrych dwóch ludzi, by ująć Williama De Bar, jeśli w ogóle ten bies da się ująć!

A po upływie trzech dni, wciąż jeszcze ślęcząc w chacie, z głową owiniętą skrwawionym łachmanem, od czasu do czasu pocierając czoło z grymasem ni to bólu, ni to złości, ni to ukrytej drwiny — Filip monologował samotnie.

— Ależ z ciebie numer, mój drogi, no, no! Wartoż ci było pchać się do inspektora, wypinać pierś i chełpić się jak żółtodziób: „Dostanę tego człowieka! Dostanę, jak Bóg na niebie!” Gdy inspektor wyraził powątpiewanie, toś był zły i kpił zeń w głębi duszy. Ostatecznie też postawiłeś na swoim, boś był zakochany i o pannę ci szło, nie o zbiega! A rezultat, pytam się ciebie, jaki? Jej ani nie widziałeś na oczy, Siódmy Brat zaś wystrychnął cię na dudka, choć i nie z twojej winy, mówiąc prawdę! Ale to nie wszystko! Wlazłeś do cudzej chaty, korzystając z nieobecności gospodarza,

fasujesz cudze żarcie, leczysz zbity łeb i — dziwisz się sam sobie! Po co żeś, u Boga Ojca, laził do tej pieskiej służby, skoro floty masz więcej, niż jej możesz przeszastać? Zresztą z tej smętnej przygody wyniosłeś moralną naukę, panie Filipie Steele. Zapamiętaj też, że zbytnia pewność siebie prowadzi często do zguby i że nawet najlepszy zawodnik znajdzie lepszego od siebie przeciwnika!

Zapalił fajkę i podszedł do drzwi. Po raz pierwszy od wielu dni nad południową krawędzią pustkowiec płonął zimny dysk słońca, oświetlając bezkresny krajobraz to śnieżnych diun i zasp, to skał, przytłoczonych białym puchem, to znów męczeńsko wykrzywionych karłowatych sosen. Panowała pustka i cisza niezmierna, w te strony bowiem, na ogół bezludne, z rzadka jedynie zawita Indianin lub Metys, by za pomocą „martwych” łapek czy zatrutych przynęt polować na polarne lisy. Najbliższe ludzkie osiedle — fort Smith — leży o sześćdziesiąt mil na zachód. O sto mil na południe, nad Chippewyan, znajduje się faktoria Kompanii Zatoki Hudsona. O sto pięćdziesiąt mil na południowy wschód jest Fond du Lac. Na północy nie ma zgoła nic. Gdyby się kto uparł iść w tym kierunku, to po przebyciu tysiąca mil natknąłby się na morze polarne i na nieliczne eskimoskie igloo.

Myśląc o tajemniczej pustoszy, martwej połaci kraju, rozesłanej od drzwi jego chaty po świata kraniec — Filip przylgnął do niej wzrokiem — niby urzeczony. Bardzo daleko, na białej przestrzeni, ujrzał czarny, ruchomy punkt. Mógł to być lis, idący grzbietem zasy, trudno bowiem jest określić odległość, gdy niebo i ziemia zlewają się w jedno; mógł to być, w odległości znacznie większej, byk piżmowy lub karibu — jednak im dłużej Filip patrzył, tym większego nabierał przekonania, iż nie jest to zwierzę, lecz człowiek. Czarny punkt poruszał się wolno, snadź wybierając drogę; znikł na chwilę w załomie gruntu, aż pokazał się znów, znacznie bliżej. Tym razem Filip ponad wszelką wątpliwość rozróżnił człowieka, sanie i psy.

To Piotr! Wzdrygnął się, przymykając drzwi i podchodząc do pieca. Co też ten Metys powie, widząc w chacie obcą figurę i zaledwie połowę zapasów!

Po chwili usłyszał skrzyp płóz na śniegu przed chatą oraz głos męski. Jedno i drugie wnet ucichło, natomiast rozległo się pukanie.

— Proszę wejść! — krzyknął Filip, rozumiejąc z punktu, iż oczywiście nie jest to gospodarz ani w ogóle mieszkaniem pustkowiec, lecz dziwak jakiś lub mieszczuch, skoro używa podobnych ceregieli.

Drzwi otwarły się i wszedł obcy mężczyzna. Był niski, odziany w wielkie bobrowe futro i w bobrowy kaptur niemal całkowicie zasłaniający twarz. Wyglądały zeń jedynie oczy, szkarłatny czubek nosa i broda, zamarznęta sztywno i stercząca ku przodowi niby róg. Przybysz robił wrażenie osoby przypadkiem jedynie zabłąkanej w tych niegościnnych stronach, a Filip gapił się nań w zdumieniu, milcząc i nie wyjmując fajki z ust. Gość zamknął za sobą drzwi cicho i starannie, po czym podszedł bliżej.

— Przepraszam — zaczął zdławionym głosem. Ruszał się sztywno, jakby obawiał się połamać członki przy żywszych gestach. — Jest tak okropnie zimno, że pozwoliłem sobie wstąpić tu dla rozgrzania się.

— Istotnie, zimno. Psi chłód — przyświadczył Filip patetycznie. — Ubiegłej nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu stopni poniżej zera. Proszę się rozebrać.

— Diabelski kraj! — dygotał przybysz, rozpinając futro zgrabiałymi palcami. — Wolałbym się już upiec w ataku gorączki tropikalnej niż marznąć jak lód!

Widząc, że gość nie może sobie poradzić z okryciem, Filip zbliżył się, by mu pomóc. Mały człowieczek obrzucił Steele'a badawczym spojrzeniem.

— Chód nienaturalny! — wymówił szybko głosem, którego nie tłumił już nastawiony kołnierz. — Bandaż na głowie, oczy trochę błędne, usta zbyt blade. Chory czy ranny?

Filip parsknął śmiechem, podczas gdy dziwny jegomość, zobaczywszy piec, grzał już nad nim

ręce.

— Ranny! — rzekł. — Gdyby nie to, że do najbliższego miasta mamy czterysta mil, powiedziałbym, żeście doktor!

— Zgadł pan! — odparł nieznajomy. — Jestem Edward Wallace Boffin, M. D. 900, ulica North Wabash, Chicago.

ROZDZIAŁ XIII

NIELUDZKI EKSPERYMENT

Filip trwał dobre pół minuty jak skamieniały. Potem z radosnym okrzykiem wyciągnął rozwartą dłoń.

— Do pioruna! — wrzasnął. — To pan przybywa z mego miasta!

— Co? Jak? — zdumiał się tamten. — To pan również z Chicago?

Uchwycił dłoń Filipa, nie spuszczając zeń badawczego wzroku.

— Słyszał pan może kiedy o Filipie Egbercie Steele? Jestem jego synem!

— Na miłość Boską! — zdziwił się doktor, machinalnie krusząc grudki lodu, osiadłe mu na brodzie. — I cóż pan tu porabia?

— Syn marnotrawny! — śmiał się Filip. — Czekam, by cielę urosło i potłuściło! A pan czego tutaj szuka?

— Ja... ja robię z siebie wariata! — Po tym dziwacznym oświadczeniu doktor wyciągnął ręce nad piecykiem, trąc je i wyginając w przegubach, aż chrzęściły stawy.

Gdyby Steele spotkał tego człowieka na biegunie, jeszcze by rozpoznał w nim zamożnego mieszczucha. Jego ubranie, jakkolwiek robione z grubej wełny, miało doskonały krój. Nosił kołnierzyk i krawat. U złotej dewizki zwisało parę kosztownych breloków. Był starannie ogolony z blond bródką, przyciętą a la van Dyke. Wszystko, począwszy od nakrycia głowy, a na sznurowanym obuwiu kończąc odróżniało go od ludzi miejscowych. Przy bliższej obserwacji dałoby się nawet określić jego fach, gdyż miał ręce uczonego i lekarza: szczupłe, delikatne, o długich bladych, bardzo ruchliwych palcach. Mógł liczyć lat czterdzieści; miał pociągłą, nerwową twarz, nie tyle przystojną, ile rozumną, oraz niezwykle oczy. Niezbyt wielkie, lecz głębokie, mądre i na podziw przenikliwe. Tego rodzaju oczy, według Filipa, słyły zawsze w parze z potężną umysłowością.

Doktor przestał trzeć ręce. Rozpiął kurtkę i wyjął z wewnętrznej kieszeni srebrną cygarniczkę.

— To nie trucizna — uśmiechnął się, częstując Filipa papierosami. — Robią je wyłącznie dla mnie!

Za drzwiami buchnął psi skowyt i doktor drgnął.

— A to dopiero! Zapomniałem zupełnie! — wykrzyknął. — Jakże będzie z moim Indianinem i z psami? Czy mogą również skorzystać z gościny?

Filip pokuśtykał w stronę drzwi.

— I ja też zapomniałem o pańskim zaprzęgu — usprawiedliwiał się. — To taka rzadka rzecz — ktoś z rodzinnego miasta!

Doktor uczynił parę szybkich kroków i chwycił go za ramię.

— Proszę czekać! — rzekł śpiesznie. — Jak daleko stąd do fortu Smith?

— Około sześćdziesięciu mil.

— Jak pan sądzi, czy mógłbym się tam dostać bez niczyjej pomocy?

— To jest, bez pomocy owego Indianina? Jeśli pan zechce tu poczekać parę dni, to tak! Ja sam wybieram się do fortu, skoro tylko będę w stanie iść!

Oczy doktora przybrały wyraz szczerzej ulgi.

— To, to właśnie! — zagadał prędko. — Ja również osłabłem w tej podróży i chciałbym nieco wytchnąć. Teraz proszę go zawołać.

— Chyba na migi — roześmiał się Steele. — Nie umiem po indiańsku...

Otworzył drzwi i uczynił wymowny ruch dłonią. Zaledwie Indianin przestąpił próg, już doktor, ku niemałemu zdumieniu Filipa, przemówił doń płynnie w narzeczu cree. Poganiacz potakiwał głową, wreszcie rzucił jedno słowo, najwidoczniej zgody, i uśmiechnął się porozumiewawczo. Filip zauważył, że policzki doktora poczerwieniały i że nie tylko głosem, lecz i wyrazem oczu oraz gestami rąk dobitnie podkreślał wagę swych poleceń.

— On ruszy do Chippewyan dziś po południu — wyjaśnił doktor Filipowi w chwilę później. — Zostawi nam psy i sanie, będące zresztą moją własnością. Mówi, że nic dlań łatwiejszego jak odbyć tę drogę pieszo.

Zapalił papierosa i dodał raptem znacząco:

— Nie mówi słowa po angielsku!

Indianin dostrzegł rzucony na tapczan pas Filipa oraz jego rewolwer i wybełkotał nagle krótkie zdanie, niby sam do siebie. Doktor, podnoszący właśnie do ust papierosa, znieruchomiał i uważnie spojrzął na Filipa.

— Czy nie należy pan przypadkiem do policji? — spytał.

— Tak! — krótko rzucił Steele.

— O, nieba! — szepnął tamten w niezmiernym zdumieniu. — A jest pan przecież synem milionowego bankiera! Po kiego licha więc?

— Dla sportu — odpowiedział Steele śmiejąc się. — I daję słowo, nie brak mi silnych wzruszeń! Przybyłem tu, by aresztować pewnego jegomościa, znalazłem go i — pokonał mnie na całej linii. Zresztą nie smuci mnie to zbytnio, a jeśli mam powiedzieć prawdę, to cieszy nawet, że ten człowiek uniknął!

— Dlaczegoż to? — zainteresował się doktor.

Mimo krótkiej znajomości Filip czuł do nowego przybysza żywą sympatię.

— Bo widzi pan... — tu zawahał się, dobierając słowa. — Był to biedak, którego jedynie splot ponurych okoliczności uczynił zbrodniarzem. On nic nie zawinił. Zawiniли właściwie inni.

Doktor siedział na krześle, lecz teraz skoczył raptem na równe nogi, niby dźgnięty szpilką.

— Tak, właśnie, właśnie! — wykrzyknął, chodząc tam i z powrotem po izbie. — To nie czcza teoria, to aksjomat, że człowiek cierpi bardziej z winy innych ludzi niż ze swej własnej. Tacyśmy już z urodzenia i charakteru. Bez wahania czynimy zło bliźnim, byle osiągnąć jakiś nędzny cel, a zaledwie raz na sto razy bumerang wraca i zwała z nóg tego, co go wysłał. Lecz za to gdy wróci... gdy wróci...

Urwał równie nagle, jak zaczął, i roześmiał się wymuszenie.

— Ba, co tam! — machnął ręką. — Zobaczmy lepiej pańską ranę! Gdy się zgadało o cierpieniu i krzywdzie, przypomniałem sobie, że ze mnie doktor i w tym wypadku mogę panu pomóc!

Filip spostrzegł, że jego nowy znajomy działa pod wpływem ogromnego podniecenia, które hamuje z niemałym trudem. Dziwiło go to, lecz jeszcze bardziej zdumiewał go fakt, że lekarz z Chicago zapuścił się w ogóle na daleką północ. Doktor przerwał mu tok myśli.

— Świetne miejsce na skaleczenie! — rzekł prędko. — Nic poważnego! Lekki uraz powierzchowny i odrobina gorączki. Szybko się to wyleczy.

Poszperał w kieszeniach futra i z głębi jednej z nich dobył skórzany neseserek. Otworzywszy go, wyjął małą flaszkę i znów zbliżył się do Filipa.

— Tak, tak, nic ważnego — monologował w międzyczasie. — Pewno pan biegł i upadł.

Roześmiał się, a Filip zawtórował mu z całego serca. Po czym, w trakcie opatrunku, opowiedział szczerze przygodę z De Barem. Lecz dopiero w kilka godzin później, gdy Indianin ruszył już w drogę, a oni dwaj, ćmiąc fajki, zasiedli po kolacji przed buzującym ogniskiem — uprzytomnił sobie, jak

dalece się wywnętrza wobec człowieka do niedawna obcego. Na ogół miał raczej skrytą naturę, lecz doktora polubił od pierwszego wejrzenia. Ten człowiek po prostu zmuszał go do szczerych wyznań. Gawędzili swobodnie, przy czym Steele prawił o swych przygodach, a wypytywał o rodzinne miasto i krewnych. Stwierdził, że doktor zna Chicago lepiej bodaj niż on sam, i odwiedza najbogatsze domy. Jednak, ilekroć próbował wyciągnąć coś, co by wyjaśniło przyczynę niezwyklej podróży lub też dało szerszy komentarz do prywatnego życia — Wallace zręcznie przerzucał rozmowę na inny tor.

Noc już dawno zapadła, gdy Filip wstał wreszcie, proponując udanie się na spoczynek. Nie wytrzymał jednak i raptem parsknął śmiechem wprost w twarz towarzysza.

— Wallace Boffin, Wallace Boffin! — rzekł drwiąco. — To jednak dziwne, że nie słyszałem nigdy w Chicago podobnego nazwiska. Zdaje mi się w ogóle, że, żaden wzięty doktor tak się nie nazywa! I płonę z ciekawości, żeby się raz dowiedzieć, co pana tu przyniosło!

Śmiał się, lecz oczy miał lekko zmrużone, a w głosie wyzywający ton. Doktor pochylił się nieco ku przodowi, otworzył usta, jakby chcąc mówić, i zamknął je na nowo. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, przy czym źrenice doktora płonęły gorączkowo, a na policzki występował mu rumieniec.

— Znam pańskiego ojca! — przemówił nagle głosem niskim i zdławionym. — Znam go nawet bardzo dobrze, toteż czytałem dokładnie wszystko, cokolwiek pisano w gazetach, gdy pan wyjechał z domu. Z rozmów i gazet nabrałem przekonania, że jest pan człowiekiem naprawdę uczciwym.

Filip patrzył nań zdziwiony.

— Gdyby nie ta pewność — ciągnął lekarz dalej, grzejąc znów ręce przy ogniu, do chaty przenikał bowiem nocny ziąb — odpowiedziałbym byle co, wymijająco, i poszedłbym spać. Lecz tak jak rzeczy stoją, wyłożę szczerze, co mnie tu przywiodło, a pan zaręczy mi honorem, że wszystko to zostanie między nami. Zresztą i w tym wypadku nie jestem bezinteresowny, gdyż liczę na pańską pomoc. Tylko, jak zaznaczyłem, żądam zupełnej dyskrecji. Co pan na to?

— Oczywiście, że będę milczał — rzekł Steele, zapalając nową fajkę. — Ale jeśli pan kogo zamordował, radzę to lepiej zachować w tajemnicy, gdyż w takim razie zaaresztuję pana i zaprowadzę do Głównej Komendy...

Przytknął właśnie zapalkę do tytoniu i ów gest zasłonił mu twarz doktora, pokrytą nagle jaskrawym rumieńcem.

— Dobrze więc! — rzekł doktor stanowczo. — Może pan teraz siądzie i wysłucha wszystkiego, co mam do powiedzenia. Przyjmuję też jako pewnik, że dopomoże mi pan w miarę sił i możliwości. Zacznę swe zwierzenia od tego, że podałem fałszywe nazwisko. Nazywam się nie Wallace Boffin, lecz MacGill, profesor Dudley MacGill, lekarz chorób nerwowych i umysłowych. Fajka omal nie wypadła z rąk Steele'a. Osłupiał.

— A do diabła! Więc to pan napisał?

— Tak, to ja napisałem *Fredę*, gdyż o to panu zapewne chodzi? — kończył MacGill. — Przyznaję, że rzecz ta spowodowała pewną sensację i omal mnie za nią nie wylali z uniwersytetu. Ale sprzedałem tej książki dwieście tysięcy egzemplarzy, więc interes nie był znowu tak zły!

— To zostało wydane już po moim wyjeździe z domu. — rzekł Filip. — Nabyłem jeden egzemplarz w Rio de Janeiro i tygodniami prześladowała mnie potem koszmarna treść. Doprawdy, sam pan chyba nie wierzy w to, co pisze?!

— Wówczas wierzyłem! — przerwał doktor ostro. — Nawet, pisząc, łagodziłem nieco swoje poglądy. To była moja życiowa teoria!

Nachmurzył się, wstał i zaczął przebiegać izbę szybkim, nerwowym krokiem. Rumieniec spłynął z jego twarzy, ustępując miejsca sinei bladości. Zaciskał wargi i mocno zwierzał palce. Gdy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał szorstko i urywanie.

— To była moja życiowa teoria! — powtórzył niemal z pasją. — Ona też w rezultacie przywiodła mnie w te strony. Wierzyłem niezachwianie, że miłość w ogóle nie istnieje, chyba między ludźmi złączonymi więzami krwi. Byłem pewien, że wszelka tęsknota dusz, czyste uczucie przyjaźni — to bezczelna blaga! Jedynie niski instynkt pożądania odmiennej płci coś znaczy. Sądziłem, że kobieta i mężczyzna są to maszyny, zmysłowe maszyny, nic więcej! Płoną, póki nie zaspokoją swych chuci; stygną, skoro się dokonało, co się miało stać! Wyluszczyłem swoją teorię w niejednym medycznym piśmie, poświęciłem jej całą książkę! Lecz na potwierdzenie tych wywodów brakło mi ścisłych danych. Postanowiłem przeto przeprowadzić doświadczenie.

Zapalił się tak dalece, iż zapomniał o obecności słuchacza. Robił wrażenie zarazem oskarżyciela i obrońcy.

— Ta myśl uczyniła ze mnie niemal kryminalistę — ciągnął dalej. — Nie dbałem o cierpienie ludzkie, szło mi jedynie o poparcie naukowej teorii. Sam byłem tylko mechanizmem chłodnym i wyrachowanym. Na zimno, dla stwierdzenia, że istotnie mam rację, podjąłem się przeprowadzenia próby, nie troszcząc się o następstwa. Gdy dziś o tym pomyślę, zgroza mnie ogarnia. To było wstrętne, gdyż samo potwierdzenie mojej teorii oznaczało zgubę uczestników eksperymentu. Nie szło mi o wydatek. Postanowiłem więc użyć do tego doświadczenia sześciu ludzi: trzech kobiet i tyluż mężczyzn. Oczywiście nikt nie miał wiedzieć o roli, jaką gra. Podzieliłem ich na pary, a każda para musiała żyć jak najbliżej siebie i to gdzieś w głuszy. Zaufany agent wynalazł mi mężczyzn; zaufana rajfurka kobiety. Jedna z dziewcząt miała jechać do obskurnej wioszczyny, coś ze sto mil w głąb brazylijskiego wybrzeża, jako bona do nie istniejącej rodziny amerykańskiej. I do tego samego osiedla mój agent wyprawił jednego z mężczyzn pod pretekstem zbierania informacji dla grupy nie istniejących kapitalistów. Zaczyna pan może rozumieć?

— Tak, zaczynam rozumieć! — ponuro przyświadczył Filip.

— Wioska, do której przybyła para skazańców — ciągnął doktor dalej, wciąż nerwowym krokiem mierzając pokój — składała się z tuzina nędznych lepianek. Prócz tych dwojga nikt ani nie mówił, ani nie rozumiał po angielsku. Zatem musieli się przecież ze sobą zetknąć. Musieli często przebywać ze sobą, i nie wątpiłem, że w krótkim czasie potwierdzą moją teorię. Byłem pewien, że przebędą w oznaczonym miejscu pełny kwartał, gdyż tak chciał fikcyjny kontrakt. Dziewczyna miała rzekomo czekać przybycia swych chlebodawców. Mężczyźni dano sporo zbędnej roboty!

— Rozumiem — rzekł Filip po raz drugi.

— Inną parę — mówił MacGill, siadając na krześle na wprost Filipa — posłałem w podobny sposób do jednego z fortów zagubionych na dalekiej północy, którego nazwę wolę zamilczeć. Wreszcie trzecia pojechała do Ameryki centralnej, w malaryczną okolicę, deskami zabita od świata!

Zamilkł. Filip milczał również. Doktor wstał i podszedł do swego futra, rzuconego na tapczan. Długo i niezręcznie gmerał po kieszeniach, aż wyszukał nowy zapas papierosów. Ręce drżały mu lekko, gdy zapalał jednego z nich, a płomień zapałki, oświetlając na chwilę jego twarz, zdradził jego silne wzruszenie.

— Zapewne sądzi pan, że to wszystko było okropnie głupie i dziwaczne — rzekł. — Lecz w doświadczeniach naukowych niejednokrotnie czynimy rzeczy dziwaczniejsze i na pozór głupsze. Niejeden słynny uczoney miał zadatki na obłąkanego. Wszyscy tak zwani wielcy ludzie, wszyscy genialni twórcy byli w pewnym sensie nienormalni, gdyż czym jest nienormalność, jeśli nie wyrastaniem ponad ogólnoludzki poziom?

Patrzył na Filipa poprzez siny obłok papierosowego dymu, jak gdyby wyczekując odpowiedzi, lecz Filip tylko zwilżył językiem suche wargi i milczał uparcie.

— Uzyskałem półroczny urlop — ciągnął doktor — i wyruszyłem w podróż, by zbadać, jak też

postępują moi pupile. Naprzód udałem się do Rio, stamtąd zaś do miejsca zamieszkania pierwszej pary. Od miesiąca przeszło nie miałem od nich żadnej wiadomości. Przybywszy do wsi, powiedziałem oberżyscie, że chciałbym się z tymi ludźmi widzieć. Pokiwał głową, proponując, że zaprowadzi mnie do nich. No i poszliśmy, jakże pan sądzi, dokąd?

Cisnął w kąt na pół wypalonego papierosa i powtórzył chrapliwie, tym razem wyraźnie zwrócony w stronę Steele'a:

— No i jakże pan sądzi, dokąd mnie oberżysta zaprowadził?

— Nie wiem! — szorstko odburknął Filip.

— Do dwu świeżych mogił! — ponuro rzekł MacGill. — A nieco później dowiedziałem się wszystkiego. Dziewczyna, nie mając na razie innego zajęcia, uczyła miejscową dzieciarnię. Wspominano ją jak świętą. Gdy umarła, zabita przez straszliwy klimat, cała wieś płakała. Mężczyźni posadzili na jej grobie najpiękniejsze rośliny kwitnące, przynosząc je nieraz z odległości paru mil. A jej towarzyszył... Spotkali się rychło po przyjeździe, pod tym względem eksperyment mój się udał. Lecz co do reszty!... Kochali się, tak, kochali miłością czystą i jakby nieśmiałą. Gdy pod wpływem straszliwych upałów z błot otaczających wioskę powstała okropna zaraza, gdy ludzie marli jak muchy, ci dwoje doglądali ich z całym poświęceniem.

Pracowali z niesłychanym samozaparciem, aż sami padli ofiarą choroby. Mężczyzna skonał pierwszy; ona nadal pielęgnowała chorych, aż po tygodniu poszła w ślad za nim. Leżą tam gdzieś oboje pod kwitnącym mango i... i wiem, że to ja ich zabiłem! Filip kaszlnął, usiłując pozbyć się nagłej chrypki.

— To była omyłka — rzekł niepewnie. — Pańska teoria nie wytrzymała próby.

— Tak! — przyświadczył MacGill trochę spokojniej. — Ich śmierć nawróciła mnie. Wraz z ciałami tych dwojga spoczęły w grobie moje dzikie pomysły. Prosto z owej wsi ruszyłem jak najspieszniej do centralnej Ameryki, w poszukiwaniu drugiej pary!

Twarz mu raptem złagodniała; wyraz oczu zmiękł. Zbliżył się do Filipa i oburącz ujął jego dłoń. Przemówił głosem ścisłym i trochę drżącym.

— Tam — nic się nie stało! On już wyjechał, ją znalazłem na miejscu. Składam za to Bogu serdeczne dzięki. Pokochałem ją i moja teoria upadła. Nie zostało z niej śladu! Dziś ta kobieta jest moją żoną i gdyby nie wspomnienie dawnych błędów, byłbym najszczęśliwszym z ludzi. Przed ślubem wyznałem jej wszystko i wspólnie postanowiliśmy, o ile możliwości, naprawić tę zbrodnię, gdyż to była zbrodnia i, co gorsza, popełniona z premedytacją. Udało mi się stwierdzić, że tamten zmarły biedak utrzymywał matkę-staruszkę, a dziewczyna miała rodziców, wegetujących w stanie Michigan na zahipotekowanej farmie. I tu, i tam posłałem po dziesięć tysięcy dolarów. We wsi, która była grobem moich ofiar, wybudowaliśmy kościół.

Przerwał i po chwili ciszy ciągnął dalej dziwną opowieść.

— Trzecia para, jak to już zaznaczyłem, przybyła tu, na północ. Po powrocie do domu przekonałem się, że zwrócono mi parę czeków, które im przesłałem. Pisałem kilkakrotnie do różnych osób i niczego nie mogłem się dowiedzieć o tej dwójce. Również mój agent wrócił bez żadnych informacji. W forcie Smith nie widziano ich ani razu! Toteż wreszcie zdecydowałem się ruszyć w drogę osobiście. Może w trakcie swych wędrówek natrafi pan na ich ślady? Może okaże mi pan jaką pomoc? Głównie dlatego opowiedziałem panu to wszystko!

Roześmiał się raptem fałszywie brzmiącym śmiechem i, zwrócony do jednego z tapczanów, rzucił prędko, niby w obawie przed komentarzami słuchacza:

— A teraz pójdę za pańską radą, bo i zmęczony jestem, i późno już! Dobranoc panu, panie Steele!

ROZDZIAŁ XIV

CO STĄD WYNIKŁO

Filip położył się również, lecz czuwał jeszcze dobrą godzinę, myśląc o opowieści MacGilla. Gdy wreszcie sen go zmógł, roił o niej nadal. Historia ta zainteresowała go ogromnie i był wielce ciekaw, jak się powiodło trzeciej parze. Zbudziwszy się rankiem, chciał wnet na nowo rozpocząć gawędę na ten temat, lecz doktor rozczarował go kompletnie. W ciągu całego dnia nie uczynił najmniejszej aluzji do przyczyny swej podróży na północ, a gdy wreszcie Steele, zniecierpliwiony, sam o niej zagadał, MacGill dał mu wnet do zrozumienia, że sprawia mu to przykrość. Nie tyle słowami, ile zachowaniem i wyrazem twarzy przekonał Filipa, że sprawa ta jest już dostatecznie oświetlona i wróci się do niej jedynie w razie odnalezieniu śladu poszukiwanych.

Natomiast doktor rozwodził się chętnie nad dobrocią i pięknnością swojej żony, nad urokiem własnego gniazdka i nad spodziewanym, z wiosną, powiększeniem rodziny. Mówili o domu, polityce, życiu klubowym i sportach. MacGill nie lubił światowego życia, jakkolwiek, ze względu na swe stanowisko, musiał brać w nim pewien udział, i na tej płaszczyźnie obaj mężczyźni porozumiewali się doskonale. Wzajemne zaufanie rosło. Godzinami grali w karty, posługując się przy tym starą, zatuszczoną talią, wykrytą w schowku w chacie, a trzeciego wieczora do późna śpiewali studenckie pieśni, które jeden i drugi przypominali sobie wzajemnie. Tej nocy właśnie ustalili z całą ścisłością, iż zabawią tu jeszcze dobe, po czym ruszą do fortu Smith.

— Spodziewa się pan tam co znaleźć? — pytał Filip, gdy rozbierali się przed snem.

— Mam mało nadziei! — odparł doktor. — Ale rozpocznę poszukiwania tam właśnie. — Liczę bardziej na Chippewyan, skąd doszły do mnie pewne wiadomości. Mój Indianin ma je sprawdzić.

Położyli się teraz obaj. Filip nie miał pojęcia, jak długo spali, gdy zbudził go raptem lekki szelest. Podświadomy nakaz skłonił go do udawania nadal śpiącego, toteż leżał bez ruchu, z półprzymkniętymi oczyma, wyęzając słuch. Dźwięk się powtórzył; ktoś stąpał tuż obok jego pośłania, bardzo cicho i bardzo ostrożnie. Filip, wciąż nieruchomy, uniósł powieki. Lampa, którą zgasił wieczorem, płonęła mdłym ogieńkiem. W jej słabym świetle stał MacGill, na pół ubrany, nasłuchując.

— Co się stało? — zagadnął Filip.

MacGill drgnął i odwrócił się śpiesznie w kierunku pieca.

— Nerwy zapewne! — wyjaśnił ponuro. — Ale nie chciałem pana zbudzić! Od godziny zrywam się raz po raz, gdyż wciąż mi się zdaje, że słyszę wołanie.

— Wołanie?

— Tak! Jeszcze leżąc, byłbym przysiągł, że ktoś krzyczy na zewnątrz. Lecz gdy wstałem, nikt się już nie odzywał. Czatowałem u drzwi, ażem przemarzył na kość.

— To wiatr — rzekł Steele niedbale. — Na pustkowiu niejednokrotnie dręczyły mnie podobne przywidzenia. Czasem przysiągłbym, że zaginione dzieci lamentują pośród diun, to znów kobiety zawodzą albo wrzeszczą mężczyźni... Radzę iść spać!

— O!... Słyszysz pan?

MacGill zeszytniał, bladą twarzą zwrócony w kierunku drzwi.

— Na Boga! Czyż to był wiatr? — spytał po chwili. Filip wyskoczył z pościeli i szybko wdziewał ubranie. — Proszę się odziać i wyjdziemy! — mówił gorączkowo. Jednocześnie dopadli drzwi, otwarli je i wyszli z chaty.

Ciężkie niebo miało jednolitą barwę ołowiu, z wyjątkiem jasnej mgiełki, kryjącej księżyc. Z północy, poprzez monotonną roztocz śniegu, dyszał nierówny wiatr, porywając czasem kłęby srebrnego pyłu z hukiem i gwizdem, to znów cichnąc niemal do szeptu. W jednej z takich głuchych chwil obaj mężczyźni wstrzymali oddech. Z nieokreślonej bliżej dali dobiegał głos ludzki.

— Pio-o-o-trze Tho-o-reau! Hej, Pio-o-o-trze Tho-o-reau!

— Tam! — dygotał MacGill.

— Wręcz przeciwnie, tam! — wskazywał Filip. Krzyknął co siły w płucach, a w odpowiedzi zabrzmiał znów głos, wzywający Piotra Thoreau.

— Miałem rację! — wrzasnął doktor. — To tam, idziemy! Skoczył naprzód, lecz Filip, śledząc wzrokiem jego ruchomą sylwetkę, zwlekał jeszcze. Po chwili huknął ponownie, przystawiwszy dłonie do ust. Tym razem nie odebrał żadnej odpowiedzi. Krzyknął po raz trzeci, ale wokół panowała cisza.

Dziwne, pomyślał zaintrygowany. Cóż to znaczy, u diabła!

Doktor znikł mu już z oczu; więc pobiegł w ślad, starając się zachować kierunek. Po przebiegnięciu stu kroków dostrzegł znów ciemną sylwetkę, tym razem klęczącą. MacGill pochyłał się nad człowiekiem, rozłożonym w śniegu.

— W samą porę! — rzekł, gdy Filip zrównał się z nim. Głos lekarza był już całkowicie spokojny, bez śladu wzruszenia. Mówił tonem chłodnym i rozkazującym. — Jest pan silniejszy ode mnie, proszę więc wziąć go pod ramiona i zważać, by głowę miał uniesioną do góry. Nie przypuszczam, by zamarzł, gdyż ciało ma ciepłe i elastyczne. Ale bluza jest lepka, więc zapewne był ranny i krwawi. Proszę uważać, żeby mu głowa nie zwiśla!

Szybko ponieśli rannego w stronę chaty, a znalazłszy się w izbie, złożyli go na łóżku. Doktor, z istic zawodową szybkością i wprawą, rozwarł kurtę i bluzę na piersi, podczas gdy Filip przyglądał się nieznanym postaci.

Od czasu służby w policji przywykł do widoku ran i śmierci, niemniej wzdrygnął się teraz mimo woli. Człowiek, leżący bez ruchu, był młody i wspaniale zbudowany, pozbawiony zarostu, jasnowłosy, o barkach gladiatora. Poza tym natomiast trudno było orzec, czy jest Indianinem, czy białym, bowiem twarz, od gęstej czupryny po piersi, kryła szczelna maska stężałej krwi.

Doktor przemówił szybko.

— Szpetny widok, co? Ale nic zbyt strasznego. Serce działa dobrze, puls niemal normalny. Proszę tylko o dużo gorącej wody!

Zdjął z rannego wierzchnią odzież i zabrał się do szczegółowego badania, a gdy po chwili Filip przyniósł mu miskę i dzban grzanej wody, rzekł znowu:

— W samą porę, jak się już rzekło. Gdyby nie nasza pomoc, Fil — wymawiał imię Steela tak swobodnie, jak gdyby nie czynił tego po raz pierwszy — już by się ten biedak więcej w życiu nie odezwał. Ranny tylko w głowę i to dość powierzchownie, gdyż czaszka nie naruszona, ale dostał krwotoku z przemęczenia. Jeśli przyrządzisz kawę, za godzinę wypije z nami filiżankę!

Zawinał wysoko rękawy koszuli i począł obmywać ranę.

— Wspaniale zbudowany typ! — rzucił przez ramię. — Czysty owal twarzy, ładne usta, wysokie czoło i silnie zarysowany podbródek. Jak sądzisz, co mu się stało?

— Nie mam pojęcia! — odparł Filip, stawiając na piecu garnek z kawą. — Uderzenie, czy tak?

Pochylił się nad lampą, przykręcając knot, gdyż zaczynała kopcić. Raptem usłyszał głuchy krzyk. Dźwięczała w nim tak niesamowita nuta, iż Steele obrócił się błyskawicznie, w podnieceniu zupełnie gasząc lampę. Zapalił ją wnet na nowo i spojrzał na doktora. MacGill klęczał obok tapczanu, śmiertelnie blady.

— Na miłość Boską! — przeraził się Filip. — Co to takiego?

— Nic, nic! — bąkał MacGill, pocierając dłonią czoło. — To on tak krzyknął. Nie spodziewałem się tego wcale, więc przeraził mnie!

— Byłem pewien, że to pana głos! — rzekł Filip.

— Nie, to on krzyknął! — zaprzeczył doktor, tym razem bardziej spokojnie i stanowczo. — O, patrz, już się budzi!

Ranny z wolna otworzył oczy i przymknął je znowu. Westchnął głęboko, przeciągając ramiona niby rozespany człowiek. Doktor wstał szybko.

— Musimy mieć lód, Fil, czysty lód ze strumienia! Może byś wziął siekierę i te dwa wiadra i przyniósł oba pełne. Możesz się nie śpieszyć zbyt, okład zrobię dopiero za godzinę.

Filip, milcząc, narzucił znów kurtę, wziął wiadra, siekierę i wyszedł. Już za progiem burknął:

— Lód! koniecznie lód! Sądzę, że i śnieg by wystarczył.

Rozkopał półtorametrową warstwę śniegu i przeszło trzydzieści minut rąbał zamrożoną powierzchnię strugi. Gdy wrócił do chaty, niosąc pełne wiadra, ranny siedział wsparty o poduszki, a doktor biegał po izbie tam i z powrotem, niezmiernie podniecony.

— Napaść! Mord! Kradzież! I to pod samym naszym nosem! — huknął grzmiąco. — Piotr Thoreau zmarł, zabity przez łotrów, którzy i tego biedaka zostawili obok, sądząc, że kona! Tropili ich od wczoraj wieczór, to jest Piotra wraz z towarzyszem, chcąc zagarnąć zapasy, broń i ekwipunek. Mordercy, jeden biały myśliwiec oraz włóczęga Metys, umknęli zapewne do chaty, oddalonej stąd o sześć mil w górę strugi. Filipie Steele, to już robota w sam raz dla ciebie!

Ostatnie słowa były najzupełniej zbyteczne. Filip sam dobrze wiedział, że to robota dla niego. Czuł już gorączkowe pragnienie pościgu i walki. Jednak nic po sobie nie pokazał. Spokojnie umieścił w kącie wiadra z lodem i zdjawszy okrycie — zbliżył się do rannego.

— Rad jestem, że panu lepiej — rzekł, spoglądając na męską bladą twarz. — To była ciężka przeprawa, co? Zaćmiło pana trochę pod koniec.

Oczy rannego, unikając wzroku Filipa, pobiegły chyłkiem w stronę doktora.

— Tak, zapewne — bąknął. — Doktor mówi, że wzywałem Piotra, a Piotr przecież już nie żył! Został w śniegu, o dobre dziesięć mil stąd.

Urwał i — przymykając powieki — syknął z bólu. — Piotr i ja polowaliśmy na lisy — ciągnął dalej. — Teraz wracaliśmy do chaty z zapasami, które miały nam wystarczyć do lata... i trzebaż... ten napad! Białemu na imię Dobson. Ma ze sobą Metysa... Ich chata stoi w odległości sześciu lub siedmiu mil w górę strugi...

Filip, słuchający uważnie, dostrzegł jednak, że MacGill ogląda starannie rewolwer, wyjęty z kieszeni futra. Z bronią w ręku zbliżył się do tapczanu.

— No teraz dosyć! — rzekł półgłosem. — Chory powiniem milczeć godzinę lub dwie, gdyż inaczej dostanie gorączki. Ubieraj się, Fil, idę z tobą!

— Pójdę sam — odparł Filip krótko. — Pan, doktorze, niech pilnuje rannego!

Już bez słowa zabrał się do skromnego posiłku. Wypił kubek kawy, zjadł kawał suchara, a wraz z pierwszym sinym brzaskiem ruszył w górę rzeczki na śnieżnych rakietach, znalezionych w chacie. MacGill wyszedł z nim razem i stanawszy w progu — ścigał go oczyma, jak długo mógł coś dojrzeć.

Gdy wrócił do izby, ranny siedział na brzegu tapczanu. Ruch i zmiana pozycji zarumieniły mu bladą twarz. Na widok wchodzącego uśmiechnął się.

— To była ciężka przeprawa! Serdecznie panu dziękuję! — rzekł raźnie.

— Tak, mogło się źle skończyć! — przyświadczył doktor. Wyjął z kieszeni dwa rewolwery i jeden z nich podał rannemu. Nie wszystko jeszcze skończone, Falkner!

Razem zjedli śniadanie, mając nabitą broń na podorędziu. Doktor wstawał raz po raz, wychodził na próg i przebiegał wzrokiem jaśniejący, a coraz bardziej rozległy horyzont. Skończyli prawie posiłek, gdy wrócił z jednego z tych wywiadów, mając wargi mocniej zwarte. Przemówił głosem lekko drżącym:

— Nadchodzą już, Falkner!

Obaj chwycili rewolwery, a MacGill starannie i aż po szyję zapiął kurtę. Dobre dziesięć minut stali, milcząc i nasłuchując. Doktor poruszył się dopiero wtedy, gdy na dworze skrzypnął zamarzły śnieg. Wetknąwszy broń do kieszeni, podszedł ku drzwiom. Falkner przywarł do ściany tak, że z zewnątrz niepodobna go było dojrzeć.

Dwaj mężczyźni, wraz z psim zaprzęgiem, przecinali porębę wprost chaty. Wilczury MacGilla były zamknięte w małej dobudówce. Czując obcych, podniosły straszliwy harmider. Sfora stanęła wnet i jeden z mężczyzn ruszył naprzód, sam jeden. O parę kroków od chaty zatrzymał się zdumiony na widok niskiego jegomościa o kulturalnym wyglądzie, czekającego nań w progu.

— Czy Piotr Thoreau w domu? — spytał nowo przybyły.

— Jestem obcy w tych stronach, więc nie mogę pana objaśnić! — chłodno wzruszył ramionami MacGill. — Możliwe jednak, że tak! Ubiegłej nocy znalazłem w pobliżu na pół martwego człowieka i czekam teraz, aby przyszedł do siebie. Blondyn, gładko ogolony, z raną na głowie. Może to on właśnie jest Piotrem Thoreau?

Zaledwie wymówił te słowa, już przybysz zrzucił z nóg rakiety śnieżne, wykonał szeroki gest w stronę towarzysza Metysa i, mijając doktora, skoczył do chaty.

— To on! To właśnie ten, o którego mi idzie! — wołał. — Jestem Dobson z...

Cokolwiek miał dalej rzec, słowa utknęły mu w gardle. Potężne ramiona Falknera chwyciły go za pierś i krtań z tak morderczą wprawą, że zachłysnął się w jednej chwili. A gdy w parę minut później jego towarzysz, nic nie podejrzewając, wszedł również do chaty, przywitał go chłodny błysk dwu rewolwerowych luf. Dobson leżał na podłodze, skrępowany umiejętnie i z kneblem w zębach. Metys, ciemnolicy, chudy, drobnego wzrostu, nie stawiał żadnego oporu. Jedyne, gdy wiązano mu ręce na plecach, wybuchnął stekiem obelżywych słów, niemiłosiernie kalecząc język francuski. MacGill uciszył go, podsuwając rewolwer pod sam nos.

— Dosyć! — syknął. — Nie zwiążę ci rąk ani nie wpakuję knebla, bo w gruncie rzeczy nie jesteś zbyt niebezpieczny! Powieziesz nas natomiast do fortu Smitha i jeśli nie będziesz wybierał drogi prostej jak strzelił, to ci łeb rozwalę. Ty i twój towarzysz macie odpowiadać za zabójstwo Piotra Thoreau i usiłowanie zamordowania tego oto człowieka, który jedzie wraz z nami, by świadczyć przeciw wam!

Z całej tej przemowy Metys zrozumiał najwidoczniej jedynie słowa: „fort Smitha” i twierdząco skinął głową. Natomiast Dobson zaczął się miotać i turlać po ziemi, omal krew mu nie trysnęła z twarzy.

— Spokojnie, spokojnie — perswadował doktor. — Rozumiem doskonale, Dobson, że nie chce ci się iść do więzienia ani tym bardziej zawierać znajomości z szubienicą — jednak co trzeba, to trzeba! Falkner, pomóż mi, proszę, jeśli możesz, gdyż rad bym wnet wyruszyć!

W pół godziny później z chaty Piotra Thoreau ruszyła dziwaczna karawana. Przodem szedł Metys, mając lewe ramię uwiązane do boku za pomocą rzemienia. Na saniach Dobsona leżał on sam, skrępowany jak salceson, okutany w futra. Z tyłu wreszcie kroczył MacGill, owinięty w swój wielki płaszcz i z rewolwerem w dłoni.

Falkner, stojąc w progu, przyglądał się odjeżdżającym. Filip przybył ze wschodu w sześć godzin później. Falkner, dostrzegłszy go przez okno, wyszedł na spotkanie.

— Znalazłem chatę, lecz nie zastałem w niej nikogo! — rzekł Steele. — Musi być nie zamieszkała od dawna. Śnieg wkoło czysty! Wewnątrz wszystko skrzepnięte na kamień. A jedyne rzeczy w izbie, to kobiece drobiazgi.

Mięśnie twarzy Falknera drgnęły lekko.

— Kobieta? — wykrzyknął.

— Tak, kobieta! — potwierdził Filip. — Na stole stała nawet jej fotografia. Czy Dobson był żonaty? — Wchodził właśnie do chaty. Falkner trzymał się o krok z tyłu.

— Kiedyś mieszkała tam pewna kobieta, bardzo młoda i... i zdaje się bardzo ładna. Ale to nie była żona Dobsona!

— Istotnie, ładna! — gorąco mówił Filip. — Piękna nawet! Toteż wziąłem sobie jej fotografię na pamiątkę!

Rozejrzał się po chacie i spytał:

— Gdzież jest MacGill?

Falkner, bardzo blady, wytłumaczył, co zaszło. Na zakończenie dodał:

— Doktor powiedział, że rozbije obóz wnet po południu, żeby pan mógł ich przed nocą dogonić. Doktor myślał, że więźniów należy czym prędzej odstawić do fortu Smitha, toteż ruszył z nimi naprzód, dla zyskania na czasie. Jutro lub pojutrze ja również mam udać się do fortu z drugim zaprzęgiem. Poszedłbym razem z panem, ale kazano mi jeszcze leżeć i niańczyć rozbity łeb!

Filip obojętnie wzruszył ramionami. Zjedli obiad niemal w kompletnym milczeniu. Po godzinnym wypoczynku Steele upakował lekki plecak i podążył śladem płóz. W gruncie rzeczy zdumiewał go niemało pośpiech MacGilla. Pomysł podróżywania sam na sam z dwoma zbrodniarzami był co najmniej oryginalny, tym bardziej, że parogodzinna zwłoka nie miała w tym wypadku żadnego znaczenia. Sądził zresztą, że doścignie niebawem małą karawanę. Mila za milą kroczył zamarzłym łożyskiem strugi. O zmierzchu nie dostrzegł nawet śladu obozowiska. Przed zapadnięciem nocy wgramolił się na szczyt uschłego chojara i objął wzrokiem sześciomilową przestrzeń nieskalanych pustkowi. Wreszcie o szóstej rozpałił ogień, zagotował garnek wody na herbatę i odgrzał kawał mięsa oraz suchary, po czym wędrował do dziesiątej. Ostatecznie, upewniwszy się, że nie dogoni jadących przodem, rozłożył się na noc i zaniechał pogoni do rana. Brzask zastał go już na nogach, lecz dopiero nieco przed południem trafił na opuszczony obóz MacGilla.

Pod nalotem popiołu głównie zachowały resztkę ciepła. Wokół ogniska śnieg był twardo ubity podeszwami licznych nóg. Filip zbadał wszystko nader pobieżnie. Na północnej stronie nieba kłębiły się chmury, wróżąc śnieżycę i wiatr — jedno i drugie niezbyt bezpieczne dla człowieka, rozporządzającego niewielkim zasobem sił. Nad pustkowiami czuło się ostry, nierówny powiew, zapowiedź huraganu.

Steele bez wahania ruszył w dalszą drogę. Na szczęście wichur, po dwugodzinnym rozpasaniu, przepadł nagle, rozegnawszy tylko chmury. Lecz i tego wieczora Filip nie zdołał dognać MacGilla. Toteż, samotnie układając się na noc, klął co sił niepotrzebną gorliwość doktora.

Następnego dnia przed południem ujrzał wreszcie rozproszone w nieładzie drewniane domy fortu Smitha, położonego po drugiej stronie rzeki Slave. Przeciąwszy rzekę, Steele minął śpiesznie prywatne sadyby, dążąc ku kwaterze policji. Przed urzędowym gmachem czerniała ciżba mężczyzn, kobiet i dzieci. Utorowawszy sobie drogę poprzez hałaśliwą gawiedź, Steele stanął u podnóża trzech schodków, wiodących do drzwi.

Wychodził z nich oto profesor MacGill we własnej osobie. Miał zagadkowy wyraz twarzy. Oczami jak gdyby niewidzącymi zlustrował postać Filipa. Wreszcie z wolna zstąpił ze schodków, krocząc niepewnie i sztywno, jakby we śnie.

— O mój Boże! — wybełkotał chrapliwie i tak cicho, że jedynie Steele go dosłyszał. Czy wiesz, Fil, co ja zrobiłem?

— Co takiego? — spytał Filip. Doktor przysunął się doń.

— Fil — zaszeptał. — Ten drab z rozbitą głową, którego znaleźliśmy, wystrychnął mnie na dudka! Był złoczyńcą! A ja odstawiłem do fortu Smitha nie kogo innego, jak tylko policjanta, mającego go zaaresztować — kaprała Dobsona z Królewskiej Konnej oraz jego poganiacza Franciszka. Komedialność, co?

Tegoż popołudnia kaprał Dobson wraz ze swym poganiaczem ruszył znowu na poszukiwanie złoczyńcy. Towarzyszył im Piotr Thoreau, który, jakkolwiek znał Falknera, po raz pierwszy dowiedział się o jego właściwym fachu, a także o tym, co zaszło w chacie. MacGill przepadł gdzieś na resztę dnia, lecz nazajutrz rano, odnalazłszy Filipa, zaprosił go do siebie, czyli do domu o pół mili oddalonego od fortu. Przed drzwiami czekali dwaj Indianie, stały też duże sanki i okazały zaprzęg wspaniałych psów.

— Nabyłem tę sforę dziś w nocy — tłumaczył doktor. — Za parę godzin ruszam na południe.

— Poniechał pan swych poszukiwań?

— Nie, tylko zakończyłem je pomyślnie. Właściwie mówiąc zakończyłem nie tu, lecz w chacie Piotra Thoreau. Falkner był trzecim mężczyzną z moich doświadczeń!

Filip zastygł w miejscu, a doktor, zatrzymawszy się również, obserwował go uparcie.

— Ale trzecia... — zaczął Steele. MacGill uśmiechnął się.

— Są rzeczy na ziemi i w niebie... — zadeklamował z patosem. — Ten trzeci eksperyment poszedł inną drogą niż dwa poprzednie i na pozór wykazał brzydkie cechy ludzkiego charakteru. Ale tylko na pozór, gdyż jeśli spojrzeć głębiej...

— Zdaje mi się... — zaczął Filip.

Doktor przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

— Pozwól mi mówić, Fil! Widzisz ufam twej uczciwości, mój chłopcze! A ta historia jest tak niezwykła, że doprawdy chcę, byś ją w całości poznał. Miałeś rację wtedy w chacie. To ja krzyknąłem, a nie Falkner! Z kieszeni wypadł mu list i, rozumiesz, poznałem swoje pismo. To był list wysłany do niego na ręce mego agenta. Kazałem ci iść po łód, a w tym czasie wybadałem rannego, powiedziawszy mu, kim jestem. Wyznał mi wszystko. Mój agent posłał go na północ, z półtysiącem dolarów w kieszeni. Potem, krótko mówiąc, wpadł w sidła oszustów karcianych w Prince Albert, co się i najlepszemu z nas przytrafi — a w wyniku kłótni omal nie zabił człowieka. Odtąd tropiono go — jak dzikie zwierzę. Chciał się schronić do chaty Piotra, lecz idąc nocą upadł na skałę i rozbił sobie głowę. Szedł potem jeszcze parę mil, ale wreszcie stracił przytomność. Dalszy ciąg już znasz!

— Ale ta trzecia kobieta? — niecierpliwił się Filip.

— Możesz ją zaraz zobaczyć — odparł MacGill spokojnie. — I sądzę, że ci opowie swe dzieje z całą szczerością — tak, jak mnie! Ach, Fil, cóż to za piękna, niebosięzna rzecz — miłość! Rozumiesz, ci dwoje spotkali się w Nelson House, zgodnie z ustalonym planem, i po upływie czterech miesięcy zniweczyli moją teorię, biorąc ślub, którego im udzielił misjonarz z faktorii Jork. To jest oczywiście tylko szpetna strona mojej teorii doznała porażki, gdyż poza tym... Przyłgnęli jedno do drugiego, jak dwa zbłąkane ptaki i skojarzyli się na zawsze, na dobrą i złą dolę. Bo Falkner, choć już zeszedł wtedy z prostej drogi, pod wpływem miłości odzyskał dawną uczciwość. Wyznał jej przed ślubem wszystko. I to, że gra w karty, i to, że pije, i to nawet, że ranił ciężko człowieka w Prince Albert, za co prędzej czy później czeka go cela więzienna! A ona? Człowieku, ona mimo to wyszła za niego; gdy musiał uciekać, uciekła razem z nim i wierzy weń dziś niezachwianie. Mieszkali jakiś czas w chacie opodal Piotra Thoreau i może by ich nikt nie znalazł, ale w jakieś święto

pokazali się niebacznie w forcie Smitha. Poznano go i musiał uciekać, a ona została tutaj. Falkner był pewien, że policja trafi po śladach do chaty Piotra, więc pozbyliśmy się ciebie pod pierwszym lepszym pretekstem, żeby cię nie wplątać w te sprawy. Obecnie zabieram żonę Falknera do Stanów. On sam jest już w drodze. Spotkamy się w Chicago!

Filip nie wymówił dotąd ani słowa. Niemal machinalnie dobył z kieszeni fotografię znaną w chacie.

— A to? — rzekł. Doktor roześmiał się wesoło.

— Pani Williamowa Falkner, Fil! No, chodź, mój drogi, chcę was poznać.

ROZDZIAŁ XV

KATASTROFA

Filip, zamiast iść za doktorem, położył mu na ramieniu silną dłoń.

— Niech pan poczeka! — rzekł.

W jego postawie i w oczach było tyle skupionej powagi, że MacGill doznał uczucia lęku.

— Chcę z panem pomówić! — ciągnął dalej Filip. — Przejdźmy się trochę!

Doktor obrzucił go podejrzliwym wejrzeniem, lecz posłusznie zawrócił znów ku osadzie.

— Słuchaj no, Steele! — zaczął raptem, a jego głos brzmiał twardo. — Miałem do ciebie ogromne zaufanie i widać wygadałem się niepotrzebnie. Sądzę jednak, że nie wyobrażasz sobie chyba, by twoim obowiązkiem było mnie zdradzić!

— Nie! Myślę zupełnie o czym innym! — uspokoił go Filip, wybuchając trochę wymuszonym śmiechem. — Cieszy mnie, że ten Falkner ocalał i nie potrzebuje się pan obawiać, że go wydam. Teraz za to ja chcę się przed panem wywnętrzyć! Doprawdy, głowę tracę, a że oboje mamy takie dziwaczne kłopoty i w ogóle... no, więc jesteśmy braćmi w nieszczęściu! Bełkotał trochę niezrozumiale, gdyż trudno mu było zacząć, lecz wreszcie, jednym tchem, nic nie tając, opowiedział o Izabeli Becker i swym daremnym pościgu.

— Straciłem ich ślad między Lac Bain a fortem Churchilla — kończył. — Tam sanie się podzieliły i podczas gdy jedne dążyły do Churchill, drugie poszły na wschód. Trzymałem się tych pierwszych i, jak się okazało, popełniłem fatalny błąd. Gdy wróciłem z drogi, śnieg już zasypał tamte ślady!

MacGill stanął raptem, zastępując Filipowi drogę.

— Nie... Doprawdy? — jękał się zdumiony. — Więc ty, FU...

— Nie rozumiem! — nachmurzył się Filip. Doktor uśmiechnął się dziwnie.

— Jakiż ten świat mały! — rzekł już normalnym tonem. — Jaki ciasny! Niby plac gier, o tyle nawet szczupły, że trudno się na nim bawić w chowanego, bo cię zbyt łatwo znajda! Dowiodłem tego niejednokrotnie! No a teraz...

— Co się stało? — spytał Filip, zdziwiony zachowaniem MacGilla.

— Czekaj, opowiem od początku. Przybywszy w te strony, udałem się najpierw do Nelson House, a stamtąd do faktorii Kompanii Zatoki Hudsona nad rzeką Cochrane, wciąż w poszukiwaniu mojej zaginionej pary. W faktorii powiedział mi Francuz-włóczęga, że w Lac Bain mieszka jakiś obcy mężczyzna w towarzystwie białej kobiety. Naturalnie zaraz skręciłem we wskazanym kierunku. Zapewne działo się to wówczas, gdyś ty podążał do Churchill, trzeciego dnia bowiem spotkałem sanie, których śladem ruszyłem już do Chippewyan. Saniom towarzyszył ów mężczyzna z kobietą: pułkownik Becker z córką!

Filip nie mógł dobyć z siebie głosu. Milcząc, ścisnął ramię doktora. Lecz gdy MacGill nie odzywał się już, Steele wy-jękał:

— Czy... czy pan się dowiedział, dokąd oni jadą?

— Owszem! Obiadowaliśmy wspólnie. Pułkownik mówił, że udadzą się teraz do Nelson House, a stamtąd przypuszczalnie do Winnipeg. Nie pytałem, co prawda, jaką drogę obiorą.

— Z Nelson House pojedą naturalnie na Saskatchewan i Le Pas! — wrzasnął Filip. — Gdyby nie ten przeklęty De Bar, za którym znowu muszę gnać!

— Puść go kantem! — filozoficznie zachęcił MacGill. — Odsadził się tak daleko, że nie

dogonisz go w żaden sposób. Daj mu zresztą pokój!

— Ależ, prawo...

— Do diabła z prawem! — huknął doktor niemal z furią. — Wiesz, co nieraz myślę, że świat byłby równie szczęśliwy bez niego!

Spotkali się oczyma i porozumieli od jednego wejrzenia.

— Pan jest człowiek starszy i uczony — przyjaźnie zakpił Steele. — Zatem wie pan więcej niż taki żółtodzioby dyletant jak ja. Cóż by pan uczynił na moim miejscu?

— Zdobyłbym parę mocnych skrzydeł i poleciałbym! — odparł MacGill bez namysłu. — Na Boga, Fil, gdyby tak szło o moją żonę, o kobietę, którą bym chciał mieć, ganiałbym z jednego krańca ziemi na drugi! Co znaczą prawo i obowiązek wobec tej pary oczu! Znam tylko jedną dziewczynę równie słodką ta, która na mnie czeka w domu!

Filip roześmiał się głośno.

— Dzięki za dobrą radę! Jadę i to niezwłocznie! A pan kiedy rusza?

— Pani Falkner gotowa do drogi! Psy również! Filip odwrócił się szybko.

— Zatem ruszamy razem! — rzucił przez ramię, już odchodząc. — Tylko pożegnaj kolegów i wezmę swój plecak. Za pół godziny będę z powrotem!

Jechali wolno. Droga była żmudna. Nim dotarli do jeziora La Crosse, śnieg zmiękł na kaszę pod ciepłymi promieniami wiosennego słońca. Na dwa dni przed przybyciem do faktorii nad jeziorem Montreal Filip doznał ataku dziwacznej niemocy.

Zataił jednak ból i osłabienie. Lecz wprawny wzrok doktora wykrył ślady cierpienia na twarzy Filipa i gorączkowy błysk w jego oczach.

— Za bardzo się przemęczyłeś — rzekł. — Odzywa się również upadek w pojedynku z De Barem. Musisz poleżeć parę dni.

Gdy dotarli do faktorii, MacGill pomimo protestu Filipa kazał mu iść do łóżka. Steele usłuchał wreszcie, tym pokorniej, że czuł się z każdą chwilą gorzej. Popadł też w silną gorączkę i całe pięć tygodni doktor oraz żona Falknera pielęgowali go z głębokim poświęceniem. Ostatecznie, w drugiej połowie maja, ruszyli w dalszą drogę, lecz Filip był jeszcze zbyt osłabiony, by im towarzyszyć. Dopiero w miesiąc później, blady i wyniszczony okropnie, stawiał się w Prince Albert w biurze MacGregora.

Tu spotkało go nowe rozczarowanie. Sprawa dymisji posuwała się opieszale i nie było widoków na jej zakończenie przed połową sierpnia. Otrzymał natomiast trzytygodniowy urlop i wykorzystał go na natychmiastową podróż do Etomami i Le Pas. Dowiedział się tam, że pułkownik Becker z córką wyjechali półtora miesiąca temu. W Prince Albert nie mógł znaleźć nawet śladu ich pobytu. Podążył więc do Winnipeg i po paru dniach przekonał się niezbitnie, że nie ma co marzyć o odszukaniu Izy w Kanadzie. O tej porze musiała już wrócić do Londynu. Zgodnie z tym ustalił dalsze plany. Dymisji oczekiwał w połowie sierpnia i natychmiast zamierzał ruszyć do Anglii.

Tymczasem jednak urlop się skończył i zwierzchnik wysłał go na dłuższy pobyt w pustynną, preriową okolicę. Roboty nie było żadnej; godziny płynęły wolno na melancholijnym oczekiwaniu.

Pewnego wieczoru Steele grał w karty z zawiadowcą stacji Hymers. Gunn, pełniący także funkcje telegrafisty, mały, czerwonołocy jegomość, stanowił jedną trzecią ludności stacyjnej. W tej chwili zabierał się właśnie do obrachunku lew. Raptem ręka zastygła mu w powietrzu, krzyknął i skoczył na równe nogi.

Telegraf bez drutu, umieszczony na małym stoliku pod oknem, terkotał zapalczywie. Depeszował Billinger, naczelnik stacji Bleak House. Donosił w urywanych słowach, że pociąg transkontynentalny — lokomotywa, tender, wagon bagażowy, dwa wagony pierwszej klasy oraz wóz sypialny —

wszystko poszło do diabła. Pięćdziesiąt, do stu trupów. I nie jest to żywiołowa katastrofa lub niedbalstwo personelu, lecz prawdziwy zamach. Zbrodnicze dłonie wykręciły trzy przęsła szyn. Też same ręce z piekła rodem wtoczyły na tor blok skalny. Billinger nie stwierdził jeszcze, czy ograbiono szczątki pociągu, czy też nie zdołano tego uczynić.

Od północy do drugiej nad ranem tor wrzał gorączkowym życiem. Ze wschodu mknął pociąg sanitarny; z zachodu — umyślny, wioząc władze policyjne. Z Głównej Komendy żądano wciąż nowych informacji dotyczących katastrofy, więc telegrafista donosił o wynikach wstępnego śledztwa oraz o tym, jak nieliczni osadnicy miejscowi niosą pomoc rannym.

Steele, w braku rozkazów, nie opuszczał Hymers. Wreszcie nad ranem otrzymał polecenie od MacGregora. Kazano mu bez zwłoki ruszać na miejsce wypadku, a znalazłszy się tam, postępować według własnego przekonania.

Filip nie tracił ani chwili. Gunn, do którego się zwrócił z żądaniem środka lokomocji, odpowiedział mu, blady jak płótno z wrażenia:

— Mam drezynę! Możecie ją wziąć. Do Bleak House jest czterdzieści mil, to znaczy trzy godziny drogi. A najbliższy pociąg będzie dopiero za sześć godzin.

Filip skreślił parę słów do MacGregora i wręczył je zawiadowcy. Podczas gdy ten telegrafował, Filip zapalił papierosa i zapiął na sobie pas. Po czym wybiegli razem z izby i Steele skoczył na drezynę, stojącą na zapasowym torze.

— Telegrafujcie do Billingera, że przybywam! — huknął przez ramię, podczas gdy Gunn silnym pchnięciem ruszał wehikuł z miejsca.

ROZDZIAŁ XVI

ZŁOTE WŁOSY

Gorące lipcowe słońce weszło właśnie nad spaloną prerią, gdy Filip dostrzegł przed sobą niemalowaną, prymitywnie zbitą z bali szopę — budynek stacyjny Bleak House. W parę minut później jakiś człowiek wybiegł na tor i patrzył ku nadjeżdżającemu, ocieniając dłonią oczy. Był to Billinger. Rumiana zazwyczaj twarz krwistego Anglika bieląca teraz jak papier. Koszulę miał w strzępach, ramiona gołe, a olbrzymie blond wąsiska zrudziały i pokurczyły się pod działaniem ognia. Tuż obok stacji niecierpliwiły się dwa osiodłane wierzchowce, przywiązane do palika. O milę dalej zasłaniał niebo siny welon dymu.

Drezyna stanęła. Filip zeskoczył raźnie i wyciągnął pokrytą bąblami dłoń.

— Jestem Filip Steele z Królewskiej Konnej.

— Billinger, zawiadowca stacji.

Uścisnęli sobie ręce. Filip spostrzegł, że palce Billingera krwawią. Anglik mówił szybko, najwidoczniej nie chcąc tracić ani chwili.

— Dostałem pański telegram oraz polecenie z Głównej Komendy, żebym był na pańskie usługi. Moja żona siedzi przy aparacie i załatwia depesze. Znalazłem trop zbójów i mam dwa konie. Lecz nikt nie zechce ruszyć z panem w pogoń. Wszyscy są zajęci ratunkiem. To... to straszne, co się tam dzieje. Do niedawna jeszcze o milę było słyhać krzyki i jęki. Mówię o rannych, rozumie pan? Nikt stąd nie odejdzie, zanim nie dobędą ostatniego biedaka. Trudno mieć im to za złe...

Przystojna ciemnowłosa kobieta ukazała się w progu stacyjnego budynku. Billinger podbiegł do niej.

— Do widzenia, kochana! — krzyknął, tuląc ją do szerokiej piersi. — Pilnuj depesz!

Steele był już przy koniach. Zawiadowca pośpieszył ku niemu.

— To nie był napad rabunkowy! — wyjaśniał, gramoląc się na siodło. — Ekspres wiózł dwieście tysięcy w banknotach — ciągnął dalej, podczas gdy kłusowali już obok siebie. — Wszystko znikło! Rankiem odnalazłem ich trop, biegnący na północ. Najwidoczniej śpieszą ku tak zwanej Zakazanej Ziemi, o dwadzieścia mil stąd, za rzeką Kojota. Nie ma czasu do stracenia! Prawda?

— Prawda — lakonicznie bąknął Filip. — Ilu ich jest?

— Czterech, może więcej!

Billinger poderwał swego konia w cwał, a Steele, rozmyślnie hamując wierzchowca, pozostał nieco w tyle. Obserwował towarzysza. Naczelnym wskazaniem policji, jeśli chodzi o służbę, była baczna podejrzliwość względem wszystkich obcych. Anglik jechał bez kapelusza. Jasne włosy miał krótko ucięte, a straszliwe wąsiska wyglądały z obu stron twarzy niby giętkie rogi. Koszula wisiała na nim w strzępach. Na lewym ramieniu, poprzez wielką dziurę, przebierała szkarłatna oparzelizna. Filip wiedział, że są to ślady ratowania nieszczęsnych pasażerów. Spojrzał niżej. U boku Billingera kolebał się potężny rewolwer; w łęku lśniła lufa krótkiego karabinu. Mocno siedział w siodle, a rozpiętość ramion dowodziła znacznej siły. Steele uśmiechnął się. Był pewien, że Anglik nie dla parady wozi ze sobą śmiertcionośny arsenał.

Cmoknął na konia i zrównał się z jadącym przodem. Wspinali się właśnie na szczyt małej wyniosłości. U wierzchołka zawiadowca stanął i wskazał ręką wgłębienie gruntu, odległe o ćwierć mili.

— Sądzę, że nie warto zjeżdżać w dół — rzekł. — To będzie znaczna strata czasu, a rezultat

minimalny. Widzi pan ten długi, ciemny kształt w wodzie, niby olbrzymi pień? To szczyt wagonu pierwszej klasy. Spadł do rzeki na sam środek, kołami do góry. Konduktor, który ocalał, twierdzi, że było w nim ze dwudziestu podróżnych. Z brzegu widzieliśmy, jak wóz tonie i nie mogliśmy pomóc, a oni tam ginęli jak w klatce. Drugi wagon spłonął całkowicie, a ten stos żelastwa, to resztki pullmana i wozu bagażowego. Wzdłuż szyn leży już dwadzieścia siedem trupów i sporo rannych. O Boże, Boże, słyszy pan?

Wzdrygnął się, a Steele'a też przebiegł dreszcz. Z dali dolatywał ku nim okropny, wielogłosy jęk.

— Zjeżdżać tam w dół to tylko strata czasu — rzekł znów zawiadowca.

— Tak — przyświadczył Filip.

Płonął cały gorączką czynu. Z ponurego obrazu katastrofy przeniósł oczy na twarz Billingera. W rysach Anglika dostrzegł to samo skupienie; w źrenicach jednaką pasję. Wyciągnął ku niemu rękę.

— Dostaniemy ich! — zawołał. — Klnę się Bogiem, Billinger, złapiemy tych łotrów!

Anglik odpowiedział potężnym uściskiem dłoni. Spod osmolonych wąsów błysnęły zęby w złowieszczym uśmiechu. Poprowadził konia wzdłuż garbu wzgórze, wiodąc go znów cwałem. Po upływie pięciu minut zjechali na równą prerię. U stóp wyniosłości Billinger wstrzymał wierzchowca i wskazał świeże odciski podków na miękkiej glebie. Filip zeskoczył z siodła i zbadał je dokładnie.

— Jest ich pięciu! — zawyrokował krótko. — Wszyscy jechali w tym miejscu wyciągniętam cwałem, z wyjątkiem jednego!

Podniósł oczy na zawiadowcę. Anglik przez łęk siodła gapił się na coś leżącego niemal pod kopytami jego konia.

— Co to takiego? — spytał. — Chustka?

Filip podniósł wskazany przedmiot: kwadrat cieniutkiego batystu, zbrukany błotem i zmięty. Rozpostarł go między palcami obu rąk.

— Tak! Kobięca chusteczka! Co za licho?

Urwał, gdyż, patrząc w twarz Billingera, zdziwił się jej nagłej zmianie. Anglik wyciągnął dłoń po chustkę. Szczęki miał silnie zacięte, a ręka drżała mu jak liść.

— Kobięta członkiem szajki! — zachichotał wymuszenie, podczas gdy Steele wskakiwał na siodło.

Ruszyli cwałem, lecz Billinger wciąż trzymał chustkę w palcach i przyglądał się jej badawczo. Po chwili wręczył ją Filipowi, jadącemu tuż obok.

— Zeszłej nocy stało się coś, czego nie mogę zrozumieć! — zaczął, patrząc wprost przed siebie. — Nie mówiłem o tym żonie. Nie wspomniałem w ogóle nikomu. Lecz sądzę, że pan powinien wiedzieć. Jakby tam nie było, to historia wielce ciekawa i działająca na nerwy.

Otarł spoconą twarz jakąś wybrudzoną szmatą, dobytą z głębi kieszeni.

— Pracowaliśmy, jak szaleni, byle tylko wyciągnąć rannych, pozostawiając na razie trupy własnemu losowi. Wlałem właśnie pod szczątki pullmana. Byłem pewien, że słyszę krzyk, więc pełzałem naprzód, świecąc sobie kieszonkową latarką. W pewnym miejscu żelazne pręty i odłamki drzewa wysadziły się ku górze, tworząc coś w rodzaju jaskini, wysokiej na cztery do pięciu stóp. Sunąłem na czworakach, z gołym łbem, a latarka dawała jaskrawe światło. Na razie jednak nie dostrzegłem nic. Zamarłem, słuchając, czy krzyk się nie powtórzy, wtem czuję, że coś mnie muska po głowie. Patrzę do góry i... o Boże!

Billinger znów otarł twarz, a w miejscach, gdzie pot silniej wystąpił, brudna szmata pozostawiała ciemne smugi.

— Wkręcona w chaos wygiętych sztab wisiała kobięta — ciągnął dalej. — Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknej istoty. Ręce opadły jej w dół; twarz miała zwróconą ku mnie profilem i cała

niemal tonęła w powodzi złotych włosów. Powieki miała zamknięte, ale przysięgłbym, że żyje. Zdawało mi się nawet, że zaraz przemówi tymi małymi usteczkami. Jej twarz była rumiana. Ale to chyba łudził odbłask włosów, czy może promień latarki, bo gdy odezwałem się, a potem dotknąłem jej ręką, milczała i była zupełnie zimna.

Billinger wzdrygnął się i zmusił konia do szybszego cwału.

— Wylazłem stamtąd i pomagałem przenosić rannych. Coś w dwie godziny później wróciłem na poprzednie miejsce, chcąc zabrać jej ciało. Ale już jej nie było. Znikła! Na razie myślałem, że ktoś inny ją wyciągnął, lecz próżno szukałem wśród zabitych i rannych kobiet. Przy dziennym świetle na nowo podjąłem poszukiwania, z jednakim rezultatem. Ani śladu i nikt jej nie widział. Jakby się w powietrzu rozwiła; a przecież, z wyjątkiem stacyjnego budynku, najbliższa chata jest oddalona o dziesięć mil! Co pan o tym sądzi?

Steele wysłuchał opowieści z wielką uwagą, milcząc.

— Może pan nie wrócił na właściwe miejsce? — rzekł teraz. — Może leży tam jeszcze?

Anglik roześmiał się nerwowo.

— Co do tego, nie może być żadnej wątpliwości — zaprzeczył bez wahania. — Kobieta nie kładła się spać tej nocy i miała na sobie suknię. Gdy wróciłem, wśród szczątków znalazłem strzępy materiału. Ponadto ciężkie pasmo włosów zahaczyło o jakiś pręt i ktoś je odciął. Ktoś tam był w czasie mojej nieobecności i zabrał ciało! Chociaż, doprawdy, myślę, że popełniłem omyłkę i... że ona żyła! Ostatecznie, nic nie dowodzi niezbitcie, że poniosła śmierć!

— Kto wie, może... — zaczął Filip, oglądając ponownie chusteczkę.

Urwał w pół zdania. Lecz Billinger łatwo domyślił się reszty. Skinął głową.

— Ja również tak sądzę — rzekł. — Zresztą, po co by im był potrzebny... trup?!

— Więc żyła! — dokończył Steele. — Któryś z tych zbrodniarzy, poszukując kosztowności — a wobec rozgardiaszu mógł działać bezkarnie — znalazł ją i zabrał równiedezwo jako łup!

Billinger wsunął rękę za pazuchę i dobył mały zwitek papieru.

— Sam nie wiem, po co — bąknął — zabrałem pasmo jej włosów! Spójrzcie tylko!

Zwrócił się do Steele'a i, odrzuciwszy papier, unosił dłoń ku górze. Spomiędzy jego palców spłynęło długie jedwabiste pasmo, lśniąc w promieniach słońca niby roztopiony metal. Filip krzyknął; Billinger nie słyszał podobnego krzyku nawet z ust rannych. Po czym wyrwał z ręki Anglika złotą przędzę i, pochylony w siodle, zapatrzył się w nią wzrokiem wariata.

ROZDZIAŁ XVII

KOBIETA, KTÓRA ZNIKŁA

Filip doznał tak szalonego wstrząsu, że omal nie spadł z konia. Zdało mu się w tej chwili, że żadna na świecie kobieta, prócz Izy, nie może mieć złotych włosów. Po pewnym czasie jednak oprzytomniał i podniósłszy głowę, zobaczył Billingera. Zawiadowca gapił się na towarzysza jakby ważąc w mózgu, który z nich dwu oszalał: on czy Steele.

Filip przesunął dłonią po twarzy i znów wpił oczy w jedwabiste pasmo. Teraz już starał się rozumować trzeźwo. Był absolutnie pewien, że jedynie dwie istoty, znane mu bliżej, miały włosy tej niezwyklej, ognistej barwy: Izabella Becker oraz piękna panna z Chicago. Lecz na świecie istniało wiele innych blondynek, których nigdy nie spotykał.

Zobaczył ponownie przerażone i zdumione oblicze Billingera. Roześmiał się z przymusem, a owinąwszy włosy na palcu, skrzył je w pierścień i schował do kieszeni.

— To te włosy tak mnie rozstroiły — rzekł, z trudem opanowując drżenie głosu. — Rad jestem, że pan je zachował. Myślałem przez chwilę, że wiem, do kogo należą, ale obecnie rozumiem, że jest dziewięćdziesiąt dziewięć danych na sto, że się kompletnie mylę. Pojmuje pan teraz? Zresztą, nie traćmy czasu. W drogę!

Pochyleni w siodłach, cwałem ruszyli na północ. Początkowo szlak opryszków był tak dokładnie widoczny, że gnali co tchu, aż im konie poczęły ustawać. Lecz po pewnym czasie spalony słońcem step, porośły niską murawą, ustąpił miejsca wilgotnej równinie, pokrytej trawą długą i gęstą, twardą niby oczerety. Tu i ówdzie przemykały kojoty, wynurzając z zieleni bure karki. Z wysokości siodła niepodobna było dojrzeć odbicia kopyt, toteż dwaj mężczyźni zeskoczyli z wierzchowców. Musieli teraz tropić ślad krok za krokiem, co było żmudne i męczące, słońce bowiem stało już wysoko w nieruchomym powietrzu, paląc niby żywy ogień. Pomimo najlepszych chęci posuwali się naprzód tak wolno, że w pewnej chwili Billinger wyprostował się i zaklął. Po twarzy sływał mu pot dziesiątkiem brudnych strużek. Filip wyczytał w jego oczach złość i obawę; sam zakrył źrenice powiekami, nie chcąc zdradzić ponurych myśli. Nie miał ochoty palić, lecz dla kontenansu wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował nimi towarzysza. Zakurzyli obaj, a poprzez mgiełki dymu poglądali na siebie, milcząc.

— Tak dalej nie pójdzie! — przemówił Billinger, plując na zapałkę, nim ją cisnął w trawę. — Podobnej drogi mamy jeszcze przed sobą pełnych dziesięć mil, zatem, w najlepszym razie, ta mitręga potrwa do nocy. Mam myśl! Pan jest lepszym tropicielem niż ja, więc proszę iść dotychczasowym śladem. Ja znów ruszę na przełaj i zobaczę, czy mi się uda odnaleźć szlak na gołej prerii. Co pan na to?

— Zgoda — rzekł Steele. — Tak będzie dobrze. Billinger skoczył na siodło i z miejsca poderwał konia w cwał. Filip oczekiwał jego odjazdu z gorączkową niecierpliwością. Zaledwie Anglik ruszył, sięgnął do kieszeni i wyjął zbrukaną chusteczkę i pasmo włosów. Z wolna uniósł je niemal do samej twarzy. Chwilę trwał, gorliwie wchłaniając słabą woń. Gdy po raz pierwszy spoglądał na skrawek batystu, zdawało mu się, że bredzi. Teraz był najzupełniej pewien swego. Niewyraźnie, a jednak uchwytne, tchnął mu w nozdrza zapach hiacyntów.

Jakiś czas, rozmarzony, ściagał wzrokiem niknącą na horyzoncie sylwetkę Billingera. Potem znów skrzył włosy na palcu, owinął je chusteczką i całość wetknął do kieszeni.

— Głupi jesteś, Fil! — strofował sam siebie półgłosem. — Jest na świecie dużo pięknych kobiet

ze złotymi włosami, używających wytwornych perfum!

Roześmiał się, ale śmiech brzmiał sztucznie. Pomimo najszczerzej chęci zachowania spokoju czuł, jak każdy nerw w nim drży. W ciągu najbliższej godziny przystawał trzykrotnie i pchany nieodpartym nakazem, dobywał z kieszeni cenne zawiniątko. Wreszcie, krocząc wciąż śladem złoczyńców, dotarł do niewielkiego pagórka, wspiął się nań i ze szczytu rzucił wzrokiem na północ.

Jakiś jeździec rwał poprzez step. Steele poznał w nim Billingera i stanął w strzemiionach tak, by tamten mógł go łatwiej dojrzeć. O pół mili Anglik wstrzymał konia i sygnalizował coś frenetycznie machaniem obu rąk. Filip zrozumiał, że zawiadowca przywołuje go do siebie, więc bez zwłoki puścił wierzchowca cwałem. Koń Billingera ciężko robił bokami, lecz on sam promieniał.

— Tam ktoś jest na stepie! — wrzasnął, ledwie Filip dotarł na odległość głosu. — Konia nie widzę, ale człowieka rozeznałem bez omyłki za tym drugim pagórkiem! Myślę, że urządzili postój, by nakarmić i napoić zwierzęta przed wejściem na Zakazaną Ziemię!

Mówiąc, odpiął od łąku karabin i rewidował naboje. Później z niepokojem spojrzał na Filipa.

— Przyjdzie strzelać na znaczną odległość — rzekł. — Oni zapewne mają karabiny, a wątpię, by się dali zniecka zaskoczyć. Szkoda, że nie udało mi się znaleźć fuzji dla pana.

Filip wyciągnął z olster jeden z dwu wielkich służbowych rewolwerów i, uśmiechnięty złowieszczo, śledził wzrokiem łeb kojota, nurkującego opodal.

— W policji — rzekł — uważa się nas za niezdatnych do pracy, jeśli nie umiemy się tym posłużyć na odległość dwustu jardów. Szkoda, że nie mogę w tej chwili zademonstrować, co potrafię. Huk by nas zdradził. W pościgu wolę stanowczo to niż karabin. Jeżeli zaś zechcą stawić czoło, to i tak wlecimy im na karki!

Obejrzał broń, po czym wetknął ją do pochwy. Gdy mknęli znów cwałem poprzez porosły bujną trawą step, Steele rzucił wzrokiem na Billingera i spotkał jego chłodne oczy. Po wzajemnej lustracji obaj nabrali do siebie nowego zaufania. Steele pomyślał nawet, że jego towarzysz jest czymś więcej niż stacyjnym zawiadowcą. Jest człowiekiem bojowym. Tego rodzaju ludzie byli jakby przeznaczeni do służby w policji i Filip postanowił, że namówi Anglika do zmiany zawodu. Rozważał właśnie wszelkie za i przeciw podobnej propozycji, gdy dotarli do drugiego pasma wzgórz.

O pięć mil na północny zachód czerniała graniczna linia Zakazanej Ziemi. Nowicjusz twierdziłby zapewne, że odległość wynosi zaledwie milę. W pół drogi na burym stepie wlokła się ludzka postać. Pomimo oddalenia widać było, że ten ktoś się rusza, nie tkwi w miejscu; lecz chód był tak powolny, że aż Steele się zdziwił. Stali chwilę, nie spuszczać oczu z zagadkowego wędrowca, podczas gdy konie odpoczywały nieco, ciężko, robiąc bokami. Na przestrzeni stu jardów nieznajomy upadł dwukrotnie. Wstawszy po raz drugi, trwał pewien czas bez ruchu. Potem znów runął. Filip natężył wzrok, aż od wpatrywania się w falującą przestrzeń prerii rozboleły go oczy. Wędrowiec się nie podnosił. Mrugając powiekami, Steele spojrzał na Billingera i w spoconej, szerniałej twarzy Anglika wyczytał pytanie, jakie on sam miał na wargach. Milcząc, ruszyli obaj w dół stoku, a po chwili zawiadowca skręcił w prawo, podczas gdy Filip zawracał na lewo. Trawa rosła tu niżej i mniej gęsto. Jadąc, pochyleni w siodłach, sunęli po niej wzrokiem.

Billinger pierwszy zobaczył tajemniczą postać o sto jardów w prawo. Wołając gromko, zeskoczył z konia. Filip, słysząc krzyk, skręcił w miejscu i przygalopował co tchu.

— To ona! Kobieta, którą widziałem w rozbitym pociągu! — dyszał Anglik.

Filip błyskawicznie znalazł się na ziemi. Nie widział twarzy kobiety, gdyż kryła ją gęstwa złotych włosów, płonąca jaskrawie w świetle słońca. Szczupła postać i dziewczęce ramiona ginęły również pod tą bogatą falą. Lecz Steele ani się zawahał. Wiedział już! Był pewien, że wie! Ukląkł obok zemdłej i, odłoniwszy twarz, ujął ją oburącz. Patrząc w sztywne, blade rysy, bełkotał, niby w

gorączce:

— Izo! Izo! O Boże, Izo!

Powtarzał to imię po raz setny, gdy Anglik, domyślający się prawdy, trącił go w ramię. W dłoni trzymał manierkę wody.

— Uspokój, się, człowieku — mówił. — Ona żyje. Masz wodę! Trzeba ją ocucić!

Filip patrzył na niego jak błędny.

— Och, Billinger! — szeptał półprzytomnie. — Rozumiesz, to ona, ona! Szukałem jej tak długo!

Był zupełnie niezdolny do jakiegokolwiek rozumnej akcji, więc Anglik zabrał się sam do cucenia zemdlonej. Spryskał jej twarz wodą, zwilżył wargi i po chwili zaczęła przychodzić do siebie. Nie otwierała jeszcze oczu, ale jej policzki poróżwiały z lekka. Billinger znów położył dłoń na ramieniu Filipa.

— Trzeba ją przewieźć nad staw — rzekł łagodnie. — Tam znajdziemy cień. Nic jej nie będzie. To tylko słońce i zmęczenie. W ten straszny upał szła po stepie, kto wie, jak długo...

Steele wstał, a tak był roztrzęsiony, że ledwo wgramolił się na siodło. Potem Billinger wziął Izę na rękę i podał mu ją.

Dochodziło południe. Słońce piekło coraz mocniej. Billinger skierował konia szlakiem zbójów w stronę stawu, rozlanego na granicy Zakazanej Ziemi. Wierzchowiec Filipa szedł stępą w ślad za towarzyszem.

ROZDZIAŁ XVIII

BITWA W PAROWIE

Steele jechał przegięty, mając cugle luźno zarzucone na kulę siodła. Baczył jedynie na to, by głowa Izy, wsparta na jego piersi, nie kolebała się zbyt i miała dostateczny cień. Słońce prażyło mu kark — jak płomień ogniska. Chwilami odczuwał niemal zawrót głowy. Nie próbował nawet kierować koniem, który stapał śladami towarzysza, oddalony odeń o kilkanaście kroków

W pewnej chwili Billinger wstrzymał wierzchowca i czekał póty, aż Steele się z nim zrównał. Stając w strzemionach, spojrzał w twarz Izy; w rysach jego zastygło takie piętno zwierzęcego okrucieństwa, że Filip wzdrygnął się i oprzytomniał.

— Chciałbym ich dogonić jak najprędzej! — rzekł chrapliwie. — Zdaje mi się, że ona — tu ruchem głowy wskazał pannę Becker — ocknie się lada chwila. Weźcie moją manierkę, bo ja ruszam przodem!

Podał Filipowi flaszkę oplecioną łykiem i znów spojrzał na Izę.

— Nic jej nie będzie! — oświadczył po raz wtóry. — Nie jest, zdaje się, ranna. Gdy się zbudzi, możesz ją zostawić nad wodą, a sam dościgniesz mnie rychło.

Trącił konia ostrogą i ruszył klusem. Filip mocniej przygarnął Izę do piersi. Patrząc w dół, widział jej twarz, różowiejącą coraz bardziej, i lekko drżące rzęsy. Zapominając, gdzie są, wyszeptał jej imię; powtórzył je raz, drugi, trzeci. Upajał się nim. Bełkotał to najdroższe w świecie słowo czule, miłośnie, błagalnie. Nie zaprzestał i wówczas, gdy wreszcie otworzyła oczy. Wpatrzyła się weń zdumiona i niedowierzająca. Poznała go od razu. On, cały zatopiony w niepewności i trwodze, nie widział tego przebudzenia. Szeptał wciąż, muskając ustami złote włosy:

— Iza! Iza! Iza!

Poruszyła się i wówczas zrozumiał. Umilkł. Zapadła cisza. Miał wrażenie, że serce przestało w nim kołatać i że nie odдыcha nawet. Rozluźnił trochę uścisk ramion. Wyprostował się, a ona podniosła głowę. Oczy ich się spotkały i w krótkim mgnieniu cały świat pytań i odpowiedzi przebiegł ze źrenic do źrenic.

Iza poczerwieniała gwałtownie i znów zbladła. Wtedy Filip zaczął mówić gorączkowo:

— Byłaś kontuzjowana w katastrofie kolejowej, ale to minęło! Pociąg wykoleili zbóje. Ścigaliśmy ich i znaleźliśmy cię na prerii. Lepiej ci już, prawda, że lepiej?

Przytulił ją znów mocniej.

— Lepiej ci już? — powtórzył miękko. Nie czuł wcale, że głos załamuje mu się zdradliwie, jak również nie wiedział, ile miłości ma w wyrazie oczu. Starał się przecież mówić rozsądnie i spokojnie. — Zemdląłeś od gorąca, ale to już przeszło!

Zza linii wzgórz dobiegł raptem dźwięk ostrego i niespodzianego. Słowa ugrzęzły mu w gardle. Był to donośny trzask karabinu. Zahuczał trzykrotnie w nierównych odstępach. Potem zagrzmiało parę strzałów dalszych i z innej broni.

— Dopędził ich! — krzyknął Steele. Twarz zapłonęła mu na nowo gorączką bitewną i pragnieniem zemsty. Ścisnął Izę za przegub ręki, aż syknęła z bólu.

— Czy jesteś już dość silna, żeby jechać cwałem? — spytał. — Mam tylko jednego towarzysza, a ich tam pięciu. Popełniłbym mord, zostawiając go tak samego!

— Oczywiście! Oczywiście! — szepnęła Iza gorączkowo. — Jedź! Albo lepiej pozwól mi zejść i ruszaj sam. Już teraz nie zemdleję. Dogonię was pieszo.

Steele słyszał jej głos po raz pierwszy od owego wieczoru w Lac Bain. Uśmiechnął się do tej słodkiej muzyki.

— Trzymaj się mnie mocno — szepnął.

Spiął konia i ruszył jak wichher. Przelecieli prerię i wpadli na szczyt wzgórza. U wierzchołka garbu Filip zdarł wierzchowca. W odległości trzystu lub czterystu jardów zieleniała kępa topoli, a o milę dalej czarna smuga znaczyła początek chaosu skał, tworzących granicę Zakazanej Ziemi. Pomiędzy drzewami a rumowiskiem głazów jakiś jeździec wściekle cwałował na zachód. Nie był to Billinger. Filip zręcznie spuścił Iżę na ziemię. Gdy skoczyła o krok wstecz, patrząc nań oczyma rozszerzonymi grozą — Steele wyjmował właśnie z olstrów jeden z dwu olbrzymich rewolwerów.

— Tam, między drzewami, jest małe jezioro! — rzekł. — Poczekaj, aż wrócę!

Runął w dół pochyłości — jak lawina. Nie miał zamiaru przecinać drogi nieznanego jeźdźca. Myślał o Billingerze. Zawiadowca strzelił trzykrotnie. Potem strzelali inni, lecz karabin Anglika już milczał. Zatem Billinger był ranny lub zabity.

Poprzez trawy i chaszczę wiódł wygodny szlak, mocno ubity kopytami licznych zwierząt. Zapewne pędzono tu nieraz do wodopoju półdzikie stada. Filip rwał wyciągniętym cwałem, rozpuściwszy cugle, a ponad łbem konia, między uszami, widać było tylko czub jego głowy oraz lśniąca lufę rewolweru. Po upływie stu metrów gąszcz rozstał się w obie strony. Zabeliała piaszczysta kotlina i modro błysnął niewielki staw. Całość miała najwyżej akr średnicy. W wodzie, zanurzony w niej po kolana, stał koń Anglika, pozbawiony jeźdźca. Opodał, na piasku, leżał Billinger, skurczony niemal we dwoje, a po obu jego stronach czerniały dwie ludzkie postacie, rozkrzyżowane na wznak.

Billinger był strasznie blady, ale żył. Z bolesnym grymasem, ruszając konopnymi wąsiskami, spoglądał na zbliżającego się Filipa. Steele osadził konia tuż i zeskoczył. Anglik uniósł się na kłęczkach, podparty na obu rękach, jak kaleka.

— Nic ważnego — rzekł, uprzedzając pytanie Steele'a. — Dostałem kulę w nogę i zdaje mi się, że mam strzaskaną kość. Boli mocno. Nie umrę z tego jednak. Ale patrz!

Wskazał obu mężczyznom, leżących nieruchomo, twarzami obróconych ku słońcu. Filipowi wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że ma przed sobą trupy. Brodate twarze zeszywniały już i zakrzepły w wyrazie przerażenia. Kurtki na piersiach zboczyła krew. Jego uwagę zwrócił błysk sprzączki na pasie jednego ze zmarłych. Przystąpił bliżej, spojrział i cofnął się. Rysy były mu znajome. Zaś biały metal nosił pięć starannie wyrytych liter: K, K, P, Z, P.

— Podejrzywałem, że tak skończysz! — bąknął Steele, mimo woli przejęty. — Nie usłuchałeś dobrej rady, Bucky Nome, i zbierasz dziś, coś posiał! Spłaciłeś dług panu Jeanette'owi!

Odwrócił się szybko i spojrział na Billingera. Zawiadowca, siedząc wsparty o drzewo, zdzierał papier z jakiejś czworogrannej paczki. Drugi podobny pakunek leżał przed nim na piasku.

— Banknoty — wyjaśnił. — To część gotówki skradzionej w pociągu. Dwieście tysięcy, o których wspomniałem, były w pięciu pakietach. Tu są dwa! Ci ludzie już nie żyli, gdy nadszedłem, a każdy miał na piersi jeden pakiet. Ten drab, który mnie ranił, zmykał właśnie!

— Więc to on strzelił pierwszy?! — zdziwił się Filip. — A ja myślałem...

— On! Wpadłem tu jak do pułapki! Strzalałem potem za nim z rewolweru, gdyż karabin został przy siodle, ale wątpię, bym trafił!

Odłożył banknoty i za pomocą noża zaczął rozcinać nogawicę spodni. Filip ukląkł obok. Lecz Billinger niecierpliwie zamachał nań rękami.

— Głupstwo! Zabieraj się! Poradzę sobie sam! — Jesteś pewien?

— Najzupełniej! — ciągnął Anglik i wnet zaciął wargi aż do krwi. — Po co masz tracić czas?

Jedź!

Filip uściśnął jego dłoń.

— Zatem jadę! I, na Boga, stary, muszę się dowiedzieć, co to wszystko znaczy: Iza, pieniądze i ci, tam...

— Życzę powodzenia! — huknął Billinger, podczas gdy Steele, dosiadłszy konia, z miejsca poderwał go w cwał.

Gdy Filip wyjechał spośród drzew, jeździec, poprzednio zauważony na prerii, znikł już między skałami. U wejścia do Zakazanej Ziemi głązy tworzyły chaotyczne rumowisko, dostępne tylko w jednym miejscu, i Filip skierował konie ku tej ścieżce. Nim wpadł do parowu, spostrzegł na drodze piaszczystą wydnię. Odbiły się na niej wyraźnie kopyta zbójcekich rumaków. Dwa wierzchowce szły stępą; trzeci, pokrywając częściowo ich ślady, mknął galopem.

Jar stanowił kiedyś łożysko potoku, biorącego początek wśród czarnych, spękanych i ostrych krawędzi położonych wyżej skał. Teraz dno powlekał sypki nalot wykruszonego piaskowca oraz drobnych kamieni, a pogrzebane w nim większe głązy stanowiły pułapki dla koni i ludzi.

Filip ujął krócej cugle, lecz nie zwolnił tempa. Serce biło mocno nie z trwogi, lecz z bitewnego podniecenia. Lufę rewolweru trzymał wciąż między uszami konia. Wiedział, że z chwilą, gdy doścignie złoczyńców, przyjdzie do walki trzech przeciw jednemu. Ale tego właśnie chciał. Bałby się jedynie zasadzki. Pomyślał, że jeśli zbrodniarze, słysząc tętent, ukryją się po obu bokach ścieżki, wpadnie jakby w gardziel lwa.

Jego koń, półdziki mustang, szedł wciąż tym samym szerokim cwałem, wymijając oślizgłe głązy i ostre krawędzie skał z równie zręczną chyżością, jak na stepie wymijał nory chomików i susłów. Upłynęło dziesięć minut. Steele dwukrotnie dostrzegł przed sobą ruch i za każdym razem palec drgał mu na cynglu. Lecz alarm okazywał się fałszywy. To wilk przeciął drogę, to znów mignął cień orlich skrzydeł, gdy wielki ptak szybował między nim a słońcem. Ilekroć mijali wgłębienie mogące kryć człowieka — Filip obracał się w siodle.

Parów skręcił ostro pomiędzy nawisłymi okapami skał, i raptem koń zarył się przednimi nogami tak niespodziewanie, że Steele omal nie przeleciał mu przez łeb. O parę kroków, na próżno usiłując wstać, miotał się wierzchowiec jeźdźca. W odległości dwustu jardów biegł człowiek, a o strzał pistoletowy przed nim dwu konnych najwidoczniej czekało na towarzysza.

— Ach, gdyby tak mieć karabin Billingera! — syknął Filip przez zęby.

Ścisnął mustanga kolanami, poderwał go cuglami i szerokim łukiem przesadził konia ze złamaną przednią nogą. Uciekający piechur usłyszał tętent kopyt i stanął, oglądając się za siebie. Filip, wyzyskując ten moment, osadził wierzchowca na miejscu. Pociskał właśnie cyngiel, gdy raptem ułowił za sobą dźwięczny niedaleki już brzęk podków na skalnym podłożu. Ktoś zbliżał się cwałem. Billinger — był tego pewien, bo któżby inny? Billinger ze swą złamaną nogą, szaleńczą odwagą i... ze swym karabinem!

Steele omal nie wrzasnął z uciechy i podziwu. Strzelił, lecz w podnieceniu drgnęła mu dłoń. Chybił. Zaklął i strzelił po raz drugi; chybił ponownie. Zbój umykał teraz szybko, klucząc pośród skał. Po trzecim strzale potknął się, chwilę bił rękami powietrze, aż znikł, jakby się pod ziemię zapadł.

Dwaj jezdni nie zawrócili koni do ucieczki i Filip, ładując broń na nowo, wyteżał słuch. Serce łomotało mu w piersi, mustang głośno robił bokami, lecz ponad wszystkimi górował miarowy cwał końskich kopyt. Za chwilę Billinger powinien był wypaść zza zakrętu. Nadjeżdżał w porę, by wziąć udział w walce.

Filip płonął chęcią boju; rozsadała mu ona pierś. Krzyknął wyzywająco i spiął konia. Zbójce stali

bez ruchu. Lecz pędząc już naprzeciw nich, zobaczył raptem, że obaj odskakują na boki, w dwie przeciwne strony. Wiedział doskonale, co oznacza podobny manewr. Jednak, oddalony od nich o sto jardów, jeszcze nie rozpoczął ognia. Dopiero przemknąwszy niemal połowę tej przestrzeni, zdarł cugle i rozplaszczony wzdłuż grzbietu mustanga, niby Indianin, wysunął dłoń z rewolwerem między uszy wierzchowca. Była to jedna z najtrudniejszych sztuk ćwiczonych w kadrach policji. Lufy zbójeckich karabinów błysnęły, uniesione do ramienia. Nad głową Steele'a zaświszczały kule tak blisko, że zmiotłyby go z siodła, gdyby zajmował normalną pozycję. Obecnie jednak chybiły! Steele nacisnął cyngiel. Rewolwery opryszków zagrzmiały mu do wtóru. Steele zobaczył, jak zbrodniarz z prawej strony czyni rozpaczliwy gest rękami i wali się w dół. Strzelił po raz wtóry, mierząc tym razem w lewo, i sięgnął po drugi rewolwer. Lecz nim ścisnął go w garści, jego wierzchovec rzucił się naprzód i runął na wszystkie cztery nogi. Filip mimo woli krzyknął głośno. Popręg siodła, zbyt luźno zapięty, przekręcił się, rzucając go pod brzuch padającego konia.

W ułamku sekundy Steele uprzytomnił sobie dwie rzeczy: że śmierć jest tuż i że Billinger przybywa za późno. W odległości dziesięciu kroków zbój starannie celował do niego z rewolweru, podczas gdy on sam, leżąc na prawym boku, z ramieniem wciśniętym pod ciało, nie mógł użyć broni. Na razie czynił szalone wysiłki, by odzyskać swobodę ruchów; potem, widząc ich bezcelowość, dał pokój. Chłodno obserwował lufę rewolweru i zaciśnięte palce złoczyńcy. Huknął strzał i Filip drgnął — pewien, że to kula przeznaczona dla niego. Lecz nie czuł bólu; z rewolwerowej lufy nie trysnął dym ani ogień. Zbrodniarz siedział nadal sztywny i jakby napięty. Potem ramię mu opadło. Broń z trzaskiem potoczyła się po głazach. Ześlizgnął się z siodła, runął z jękiem, niemal u stóp Filipa, i pozostał tak, martwy.

— Billinger! Billinger!

Filip powtarzał to imię w wybuchu szalonej radości. Anglik przybył w porę, w samą porę! Z trudem odwrócił nieco głowę i spojrzał w dół parowu. Tak, to był koń Billingera, mokry od potu, a na nim...

Steele krzyknął i szarpnął się tak potężnie, że odzyskał nareszcie swobodę ruchów. O Boże, to nie był Billinger, to była Iza! Ześlizgnęła się właśnie z siodła, zrobiła parę chwiejnych kroków wśród rumowiska skał i zachwiawszy się — upadła.

Steele, ściskając jeszcze w dłoni rewolwer, skoczył ku niej. Dziewczyna, siedząc skulona pod wielkim głazem, tuliła twarz w dłoniach i płakała jak dziecko. Filip ukląkł obok, ogarnął ją ramieniem i wszystko o czym kiedy śnił i marzył wypowiedział teraz w gorących, urywanych słowach. Niezbyt sobie zresztą zdawał sprawę z tego, co mówi. Wiedział za to, że jej ręce obejmują go za szyję; że płacze; że policzkiem muska jego twarz i szeptem powierza mu swą miłość.

Wreszcie oprzytomniał. Na razie sam nie wiedział, co go wyrwało z zapomnienia. Potem słuch, nawykły do czujnego łowienia dźwięków, uchwycił chrzęst toczących się kamyków. Wówczas pochylił się ku Izie i szepnął jej na ucho serdecznie, lecz stanowczo:

— Poczekaj na mnie chwilę, krótką chwilkę. Nie odchodź stąd! Zaraz wrócę! Teraz już nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

Przesunął palcami po złotych włosach, potem wstał i podjął karabin Billingera, który wypadł z jej ręki. Sprawdził, że w magazynku jest jeszcze jeden nabój. Własny rewolwer wetknął do pochwy. Na koniec wyprostował się, gotów przyłożyć broń do ramienia i zadać śmierć pierwszemu wrogowi, który się nawinie.

Na ścieżce, nad trupami dwóch opryszków, stał jakiś człowiek. Nie próbował się ukrywać i najwidoczniej dostrzegł Filipa dopiero z odległości pięćdziesięciu kroków. Lecz i wtedy nie porwał się do ucieczki. Robił wrażenie bezbronnego, więc Steele zniżył ku ziemi lufę karabinu. Nieznajomy

uczynił ręką pokojowy gest, po czym, oparłszy dłonie na biodrach, czekał. Był bez kurty i bez kapelusza. Nosił długą, rozwianą czuprynę oraz rudy, niechlujny zarost, kryjący wklęsłe policzki. Tak właśnie mógł wyglądać głodomór. Lecz ten człowiek, pomimo widocznie złego odżywiania, miał potężne mięśnie na szerokim kośćcu i oczy przenikliwe jak oczy gada.

— Spóźniłem się jednak na ostateczną rozgrywkę — rzekł chłodno. — Dobra była zabawa, co? Filip przebierał palcami po kolbie rewolweru.

— Kim jesteście? — spytał surowo.

— O mnie pan pyta? Jestem Blackstone, Jim Blackstone, a mieszkam dalej, za zakrętem. Sądzę, że znają mnie tu wszyscy o dobre pięćdziesiąt mil wkrąg. I zdaje mi się, że ja jeden wiem, co tu zaszło i dlaczego!

Mówiąc, cofnął się nieco i oparł o wystający głaz, jakby był znużony. Filip podążył za nim, nie zdejmując dłoni z kolby rewolweru.

— Umarli obaj! — przemówił znów nieznajomy, ruchem brody wskazując ciało opryszków. — Jeden dyszał jeszcze i skomlał, gdy nadszedłem, ale wsadziłem mu nóż pod żebro i leży cicho!

Uśmiechnął się z tak szatańskim grymasem, że Filip aż zaklął. Blackstone zamachał dłonią pojednawczo.

— Niechże pan czeka! — rzekł trochę niecierpliwie. — Doprawdy, miałem rację! Człowiek, który wespół z tą bandą spowodował wykolejenie pociągu, był i jest moim największym wrogiem. Musiałem załatwić rachunek z jego poplecznikami, zanim się z nim samym policzę. Wobec prawa jestem najzupełniej wytłumaczony! Może nie?

— Co dalej? — burknął Steele szorstko.

Gadzinowe ślepie Blackstona zapłonęły dziko. Jednak ciągnął spokojnie.

— Drab, o którym myślę, przybył z Anglii przed czterema laty. Musiał stamtąd wyjechać, rozumie pan? Prowadził rozmaite brudne interesy i noga mu się powinęła. Został wydziedziczony, a cały fundusz przeszedł na młodszego brata. Matka mu umarła, zaś ojciec ożenił się po raz wtóry. Początkowo otrzymywał miesięczną rentę. Potem przestali mu i to nadsyłać, gdyż broił coraz częściej i coraz gorzej. Zawsze był mało wart, a z czasem to i zupełnie zeszedł na złą drogę. Kradł, oszukiwał, mordował, aż stanął na czele bandy opryszków takich, jak on sam. I wciąż żuł w sobie wściekłość, aż wreszcie oszalał! Żył dla zemsty! Przy pierwszej okazji gotów był zabić ojca i macochę. Przed paru tygodniami dowiedział się, że oboje przybędą do Ameryki i w drodze do Vancouver miną stację Bleak House. Wtenczas to postanowił wykoleić i obrabować ich pociąg. Pan wie, jak mu się ten plan powiódł. Gdy wszystko zostało dokonane, puścił szajkę przodem, sam raz jeszcze wracając do tych gruzów i zgliszczy. Chciał się przekonać, czy ci dwoje, których nienawidził, istotnie zginęli. Rozumie pan?

— Rozumiem! — krótko potwierdził Filip. — Mówcie dalej!

— Lecz skoro tam wrócił — ciągnął Blackstone, nabijając fajkę tytoniem — znalazł zgoła co innego. Dziwi się pan może, skąd znam te szczegóły, ale naprawdę, nie kłamię. W Anglii ten łotr kochał pewną dziewczynę. Mało kochał — ubóstwiał! Ona nienawidziła go całym swym uczciwym sercem. Otóż w gruzach slipingu zobaczył ją i jej ojca, martwych. Wydobył jej ciało spomiędzy zwalisk, a wzięwszy na konia, umknął w step. Poczucie, że spowodował śmierć jedynej istoty, którą szanował i kochał, przywróciło mu rozum. Zapalał znów chęcią zemsty, lecz tym razem — innej! Dla wykonania swego planu porzucił na prerii martwe ciało ukochanej. Potem ruszył cwałem, by dognać towarzyszy. Jako wódz zachował przy sobie całą sumę, zrabowaną w pociągu. Podziału miano dokonać nad stawem. Szajka oczekiwała tam właśnie. Gdy każdy wziął, co nań przypadło, dwóch z bandy ruszyło przodem. Dwaj pozostali mieli jechać w innym kierunku, by zmylić pogoń. Z tymi

pozostał dowódca i zabił ich podstępnie. Teraz był już trzeźwy, rozumie pan? Wspólnie dokonano zbrodni, wspólnie miano za nią odpokutować. Dopiero później herszt chciał pogrzebać ciało dziewczyny.

Głos mu się załamał. Suche łkanie rozdarło pierś. Przetarł dłonią czoło, a gdy znów spojrzął na Filipa, ten mierzył doń z rewolweru.

— Gdzie jest ów dowódca? — spytał Steele przez zaciśnięte zęby.

— Niezbyt dawno koń jego złamał nogę w tym parowie. Potem strzelano doń i udał, że pada, by się lepiej skryć. Zresztą, już mu przecie wszystko jedno! Oto ma go pan przed sobą — Jim Blackstone, do usług!

Odwrócił się nagle skulony, jakby złamany żalem. Trwał tak parę chwil. Raptem huknął strzał i zbrodniarz zatoczył się chwiejnie, a gdy Steele porwał go wpół, zwiśł mu na rękę.

— Chciałem... to uczynić... na jej grobie! — wyszeptał słabo i głowa mu opadła.

Filip złożył trupa na ziemi i okrążając skałę wyszedł spoza niej. Iza, usłyszawszy strzał, biegła naprzeciw.

— Co się stało? — pytała gorączkowo.

— Ostatnia kula, najdroższa! — odpowiedział Filip biorąc ją w ramiona. — Teraz wracamy do Billingera, a potem do domu, razem!

Przygotowano na podstawie bookini.pl